Maj — 1860.

O SZTUCE DRAMATYCZNÉJ W ATTYCE.

I. Tragedya.

Naród Hellenów w dzieciństwie i młodzieństwie swojém, niby kwiat wonny, rósł i rozkwitł na brzegach Azyi i wyspach Archipelagu; w Attyce dopiero mężniał i dojrzał.

Że Ateny na szczupłéj, od natury ani wdziękami ani płodnością ziemi nie uposażonéj przestrzeni tak wzrosły i spotężniały, iż przez lat kilkadziesiąt na losy innych ludów przeważny wpływ wywierając stér rządu nieledwie na całéj wówczas znanéj ziemi objęły, prawie cudem być się zdaje. Lecz potęga moralnego wpływu, co wespół z politycznem znaczeniem Aten wzmagał i ustalał się, nierównie podobniejsza do cudu i w podziw wszystkim być winna. Miasto bowiem i kraik wkrótce

uległy twardym prawom konieczności. Potęga ich runęła, odebrawszy cios śmiertelny od potęgi możniejszéj. Obce okręty, nie Ateńskie okrywały i pruły morskie głębie. Handel upadł, a zamożność, polegająca na handlu i wpływie po za granicami kraju, poszła w niwecz lub w cudze dostała się ręce. Inaczéj działo się z duchową Aten zdobyczą, z duchowem ich bogactwem. Niewzruszone i niepożyte stoją dotąd pomniki ducha i dowcipu Ateńskiego; a ziarno oświaty szczodrze rozsiane, niby owoc ze skrydlatego Demetry rydwanu przez ich Triptolema na kraje z wyżyn napowietrznych rozsypany, bogate wydało plony i na gruntach jeszcze za czasów Platona i Periklesa nocną pomroką nieokrzesania i dzikości pokrytych zaszczepiło łagodne obyczaje i rozkrzewiło miłość do nauk.

Jak zaś Helladę całą, niby przylądek na kończynach Europy ku Azyi i Afryce wybiegający, Opatrzność przeznaczyła na to, aby była szczepnicą ludzkości i uobyczajenia, tak w najmniejszym cyplu Grecyi, w ciasnym kącie Attyki, miało się skupić życie duchowe w największéj zupełności. Tu wszystkie zalety świata helleńskiego czyszcząc się przenikły się wzajemnie; wdzięk żeni się z gruntownością, iońska żywość rozsępia oblicze doryckiéj powadze, statek brata się z żartem, siłę kiełzna rozumne umiarkowanie. A ze związku tego mądrze zawartego zrodziła się niebawem córa zdumiewającéj piękności: doskonałość narodu i sztuki.

Cokolwiek w innych okolicach zakwitło, nie nosi na sobie piękna zupełnéj doskonałości i męzkości. Epos, to nierozwinięty kwiat czarownéj przyrody; liryka, jednostronny wyraz rozbudzonéj wnętrznie ludzkości. Epos w zewnętrznym, liryka w wewnętrznym świecie się zatapia. Attycka zaś poezya sztuce hołduje a natury nie obraża, prawa szanuje a swobody nie gwałci i z dziejów świata wewnętrznego i zewnętrznego splata wonny

i cudowny wieniec. Ale w Attyce nie tylko poezya szczególnie w dramacie dojrzała i stanęła na szczycie doskonałości, lecz w ogóle każdy siew, co pod innem niebem zeszedł i kciał, przeniesiony na jéj grunt ludzkim dowcipem i wytrwałością użyzniony przyszedł do pory. Jak gdyby od ogniska wielkiego biło światło promienne i rozlewało na wszystkie strony dobrodziejstwo oświaty. Wieszczowie, mówcy, dziejopisarze, sztukmistrze wszelkiego rodzaju, jak *kanon* Polykletosa, byli modłą w rzeczach smaku i nawet w najnieprzyjaźniejszych okoliczn ościach podsycali i uzdatniali zmysł Hellenów do uczucia i zamiłowania piękności i umiarów.

Pierwszą przyczyną tego zjawiska rzadkiego w dziejach ludzkości były niezawodnie prawa przez Solona Atenom nadane. One po długich niesnaskach i zaburzeniach zapobiegły nadal walce Arystokracyi z Demokracyą, a naznaczone piętnem prawdziwéj ludzkości, wspierając i ułatwiając szerzenie oświaty między ludem, którego charakter prawodawca dokładnie był zbadał i przeznał, długo wpływ zbawienny wywierały. Tudzież rządy Pejsistratosa, jakkolwiek pod względem politycznym napiętnowane duchem wstecznym, pomyślnie wpłynęły na rozwinięcie i uzacnienie narodu. Pracował ten demagog szlachetny bez przestanku dla dobra ojczyzny swojéj; starał się usilnie o utrzymanie porządku, wspierał sztuki piękne i upiększał Ateny. Jego torem poszli także synowie, aż nienawiść osobista jednemu życie odebrawszy w drugim życzliwość i szlachetne dążności przytłumiła. A kiedy niechęć i oburzenie na ucisk niezasłużony z miasta ciemięzcę wypędziły i uczuciem wolności rozgrzane żywiéj zakipiały serca Ateńczyków, politycznemu ich odrodzeniu się sprzyjało po pierwsze to, że Sparta daremnie o narzucenie nowego ciemiężyciela krajowi się kusiła, a powtóre i więcéj jeszcze Perskie wojny. One wzbudziwszy zapał nieznany przedtem w piersiach wol-

nego ludu zniewoliły go do natężenia wszystkich sił ciała i ducha, aby odeprzeć nienawistnego najezdnika i, niby febra niebezpieczna lecz szczęśliwie pokonana, doprowadziłby naród do dojrzałości. Zwycięztwo przechyla się na stronę śmiałego — i Ateny z popiołów i gruzów wznoszą się piękniejsze potężniejsze i zacniejsze. Od téj chwili stanowczéj charakter narodu wzniosły: gorąca miłość ojczyzny, zapał i gorliwość o wolność tylu ofiarami kupioną, słuszna ufność w siebie i w swe własne siły napełniają pierś każdego obywatela. A jak żywe, jak silne musiały być te uczucia, kiedy jeszcze w czasach, gdy Aten znaczenie sczezło, gdy potęga była starta, gdy cnoty dawne w narodzie były wygasły, zdołały chwilowo w potomkach skarłowaciałych zbawienne sprawić wstrząśnienie i zachęcić do wstępowania w ślady wielkich ojców? Imiona Maratonu, Salaminy, Plateów w uszach onych wnucząt zepsutych brzmiały niby hymn pochwalny, na który sobie sami zasłużyli. Phokion lub Demosthenes wzbiwszy się po nad szczątki wyrodnego kraju zkądże siły ducha i zapału zaczerpnęli, jeżeli nie ze wspomnień po owych czasach, które przykładem i mową pragnęli przywrócić, których powrót nawet sobie w zbytecznem uniesieniu tuszyli?

Zwycięztwa nad Persami odniesione wskazały Atenom morze, jako właściwy i byt im zabezpieczający żywioł. Wkrótce panowanie na morzu zapełnia miasto bogactwami nieznanemi poprzednio, a lud, umiejący godziwie się bawić i sztuki piękne sobie smakować, odbiera nagrodę za znojne trudy i poświęcenie. Uroczystości bez przerwy prawie następowały jedna po drugiéj, święto po święcie; a wśród tych wesołych, pełnych uniesienia natchnionego zabaw i uroczystości kwitnie i dojrzewa każdy kunszt.

Charakterystycznem znamieniem téj najświetniejszéj w dziejach Aten epoki jest publiczne, wspólne, że tak

powiem, obywateli pożycie i gorliwe zajęcie się sprawami krajowemi. W téj publice znajdowano rozkosz największą, z niéj czerpali natchnienie do pomysłów i przewag mężowie stanu; tam krzepili siły ducha artyści. Nie dziw więc, że i sztuka ma charakter publiki, rządu, narodu. Zarząd Aten zaś zmieniał się trzy razy w téj epoce. To też poezya i sztuka trojaki ma kształt i oblicze. Themistokles i Aristejdes kierowali sprawami publicznemi poważnie, wspaniale; Perikles, z kolei trzeci, ponętnie i wabnie ujął wodze rządu, a Kimon, jego poprzednik, był połączył powagę z wdziękiem. Otóż poezya Eschylosowa śmiały ma zakrój, szczytnym stylem zdumiewa i stroi umysły powagą; Euripides powabnym stylem nęci; w Sofoklesie podziwiamy wykończoną piękność.

Chociaż oświata Attycka każdy kwiat duchowy wypielęgnowała tak starannie, że się najpiękniéj rozwinął, to przecie głównie poezya dramatyczna epokę tę promieniami blasku uroczego otacza. W dramacie epos z liryką w jednę zlewa się całość. Zdarzenie z przeszłości przeniosło się w teraźniejszość; opowiadanie przedzierzgło się w akcyą, która, napawając się liryką, żywiéj, wydatniéj wszystko uprzytomnia. Co w eposie było przypadkowością, w dramacie jest wynikłością konieczności; a kiedy poeta epiczny jakby bez trudu z dziecięcą prostotą po ścieżce swojéj bujał i łącząc wypadek z wypadkiem, epizod z epizodem powabną wił równiankę, dramatyk czyniąc mądry wybór pomiędzy pierwiastkami do akcyi mniéj lub więcéj przydatnemi, misterny wieniec splata, tak iż swobodnemu ruchowi i woli nie przynosi uszczerbku wszechwładna i nieuchronna konieczność. Stary dramat łączył w sobie pełność wiersza epickiego i głębokość uczuć liryki z prawą, ściśle zachowaną formą. Przez to powstała organiczna jedność. Ponieważ tragedya, jak to w innem miejscu obszernie opisaliśmy,

z chórowego wywiązała się śpiewu, przeto chór był i pozostał do końca poniekąd jądrem, średnim puuktem całości tragicznéj. Z początku, a jeszcze nawet w tragedyach Eschylosowych, stosownie do pierwotnego znaczenia najgłówniejszym lub jednym z głównych był aktorów. Zwolna jednak ustępował ze sceny i zeszedł na orchestrę. Spiewy jego skracały się i zamiast brać udział w akcyi, stał się, czem miał być właściwie, widzem najżywszéj czułości. Z tego więc, co się przypadkiem połączyło, z chórowego śpiewu i akcyi dramatycznéj, sztuka zlepiła albo raczéj stworzyła całość jednostajną i nierozdzielną. Wszakże nie tylko dla zewnętrznych korzyści, którą chór dramatowi przynosił, że pięknuą rozmaitością, wystawnym przepychem bawił oko i uweselał umysły i że wypełniał próżne między aktami chwile, podobano sobie w nim i zachować go chciano; owszem bardziéj jeszcze dla wewnętrznych korzyści i przysług, które dramatowi czynił i przez które z akcyą w jednę zlewał się całość. Jak na dobrze pomyślanym i po mistrzowsku wykonanym obrazie obok głownéj osoby umieszcza się kilka innych, które dla ozdoby przydane błędny wzrok widza na główny przedmiot zawsze zwracają i przez moralny lub fizyczny udział, jaki w czynności bohatera lub bohaterki każda na swój sposób biorą, zrozumialéj i wymowniéj tłumaczą rzecz, aby tem łatwiéj i pewniéj sprawiła wrażenie, tak chór też akcyą bohaterów scenicznych otacza, przejmuje się nią żywo i pokazując ją niby w źwierciedle w poważnych i głębokich swoich uwagach i w dobranych, dźwięcznych słowach wyłuszcza i przedstawia słuchaczom. Tak więc chór złotemi przekonania lejcami — a środek to prawdziwie poetycki — kieruje sąd moralny i wyobrażając sprawiedliwość, prawdę i bojaźń bożą stawa jako pośrednik pomiędzy działającemi na scenie osobami a patrzącym na widowisko ludem. Hamuje on pośpieszną

ciekawość niecierpliwego widza, która wyprzedzając akcyą z niecierpliwością wygląda końca, i zmusza oczy zwrócić na przebytą już drogę i téj części raz jeszcze sercem i duszą się przyjrzeć. A zatem chór dopiero akcyi nadaje siłę zupełną i wydatne znaczenie. Za przyczyną chóru tragedya stała się szkołą moralności, a wrażenie, jakie miała zrobić na umysłach przez akcyą, chór właśnie umacniał, ustalał i zakorzeniał.

Za ojca tragedyi poczytać wypada Eschylosa, wielkich czasów syna, od Muz i Aresa hojnie obdarzonego. W bitwach pod Marathonem, Salaminą i Plateami, gdzie walcząc obok braci Kynajgirosa i Amyniasa okrył się sławą męztwa, ojczyźnie powinne dzięki złożył a Medom dał uczuć potęgę swojego ramienia, równie dzielnie bronią jak rylcem władającego. Jeszcze dzieckiem będąc widział w sennem objawieniu przyszłe swoje poetyckie powołanie. Oto usnąwszy na winnicy ojca ujrzał przed sobą Dionyzosa, który go wzywał, aby uroczystości jego sztuką swoją ozdobił i uświetnił. Wezwaniu temu chłopczyna natychmiast po ocknieniu postanowił zadosyć uczynić.

Częstokroć zwyciężał w zapasach i zdawało się prawie, że sam jeden panem jest wszechwładnym i niezwalczonym na scenie, gdy młodszy Sofokles starszemu i doświadczonemu szermierzowi Melpomeny wydarł palmę zwycięzką. Zmartwiony tym niespodziewanym wypadkiem i zniechęciwszy dla innych przyczyn sobie spółobywateli, opuszcza po kilka razy ojczyznę i umiera w Sycylii, gdzie długo serce jego zbolałe koiła przyjaźń Hierona.

Poetycki charakter tragedyj Eschylosowych, jak samego autora i jego wieku, jest bohaterski, wojenny. Smiałością, heroizmem wskróś tchną jego dzieła. Wypadki, charaktery osób, założenie akcyi, język, wysłowienie, zgoła wszystko śmiałe, olbrzymie. Gracye wdzię-

czne ich nie wypieściły. Nigdy poeta do tkliwszych uczuć ludzkości nie nastraja wielkosercych tworów swojéj fantazyi. Poczytałby to za poniżenie się. Wielkość, co gigantycznie niekiedy do nieba się wspina, śmiałość często do zuchwałości się posuwająca, oto posady silne, na których oparta budowa tragicznéj jego trylogii. Założenie tak proste, jak tego po czasie spodziewać się można, w którym sztuka dramatyczna dopiero co była wyszła z dzieciństwa; akcya sama po największéj części tylko z postanowienia i z wykonania złożona bez wszelkiego sztucznego zawikłania. Hardo krocząc i niewzruszonem okiem Eschylos zdaje się zmierzać do celu; w dumę i nieustraszoność uzbraja serca bohaterów swoich, a ci z równym skutkiem przelewają uczucia swoje w piersi widzów. Tragiczne wrażenie przeto sprawia u niego rzecz sama i wielkość działających osób, a nie sztuka, która je w ruch wprawia. Jak niezmierna różnica zachodzi n. p. między Choeforami Eschylosa a Elektrą Sofoklesa, acz jedna i ta sama rzecz osnową jest dramatów obydwóch? Tam największa prostota, naturalna, potęgą wypadków jedynie wzruszająca umysły; tu sztuka doprowadzona do najwyższéj doskonałości.

Prostoty Eschylosowéj dowodzi daléj skąpość osób działających, których liczba z mnogością świadków t. j. chóru w dziwnéj zdaniem naszem jest sprzeczności. W *Siedmiu przeciw Tebom* Eteokles prawie sam jeden występuje i działa. Na jego postanowienia wpływa opowiadanie gońca, oznajmującego poruszenia nieprzyjacielskiego wojska, albo bojaźliwa troskliwość niewiast Thebańskich, chór stanowiących. A tam, gdzie więcéj osób występuje, jak n. p. w Prometeuszu, tam nie łączą się jak na obrazie w zbiór kształtnie powiązanych figur, lecz jedna po drugiéj wchodzą i schodzą ze sceny i następują po sobie, niby figury pierwszych płaskorzeźb. Owa

wzniosła prostota bez choru nie byłaby się udała. On to równianką swoich spostrzeżeń i śpiewów przeplata całość i pojedyńcze postacie plącze i mięsza na kształt składanych arabesków. Często nawet sam bierze na się rolę aktora, jak n. p. w Eumenidach, Hiketydach i Persach. Tu zatem śpiewy jego nie są jeszcze zupełnie tem, czém późniéj były, t. j. czystém, szczerém odbiciem się bezstronnie wszystko rozważającego i moralnie jedynie nie samolubnie wzruszanego umysłu. Wszakże w Eschylosie osobisty spółudział chóru nie dzieje się z uszczerbkiem moralnego i to, co w każdéj tragedyi najsilniéj wzrusza umysły słuchaczy, chór też głosem pełnym i z energią serca w głębi wstrząsającą wyśpiewuje.

Środki których poeta używał, aby wzniecić silne, nie przemijające tragiczne wzruszenie, odpowiadają godnie śmiałości jego ducha. Częstokroć na samym wstępie, ufny w tęgość i wyższość swoją i nie robiąc przez to zawodu widzom ciągle nowych wzruszeń chciwym, pokazuje bohatera swojego w najdrażliwszém, w najkrytyczniejszém położeniu, że zdawałoby się żadne późniejsze klęski nań się walące już nie potrafią zająć zebranéj publiczności. Toć w Prometeuszu nie nazywamy tego wyuzdaną śmiałością, że akcyę poeta zagaja kaźnią przerażającą przykutego do Kaukazu Titana. Bo w chwili, gdzie fizyczna siła bohatera uległa przemocy, poczyna się zwycięztwo jego boskiéj, wznioślejszéj natury. Duma wszelkie prośby i rady odrzuca. Nic i nikt nie zdoła go nakłonić do upokorzenia się. Ani nadzieja wybawienia, ani przegrażanie sroższemi karami nie wymoże na nim wydanie tajemnicy tak ważnéj dla Zeusa i którą wiedzieć tak usilnie pragnie król bogów. Tak więc interes pomimo śmiałego początku wzmaga się i akcyą zamykają cięższa jeszcze chłosta i świetne zwycięztwo.

Chętnie Eschylos zacieka i gubi się w świecie bogów, a mięszając ludzi z bogami przenosi tam i wydziera

z świata rzeczywistości widzów, — i nadaje tém samém pozór prawdy olbrzymiéj wielkości, któréj piętnem bohaterów swoich naznacza. Jakby magnaterya wśród ludzi pospolitych, bohaterowie Eschylosowi czepiają się bogów. Często też uczucie własnéj godności i ufność ślepa we własne siły unosi ich i popycha do zuchwałéj pogardy potęgi boskiéj. Ale ramię Zeusa obciąża się silnie nad wszelką największą nawet potęgą ziemską! To też wszystkie tradycye poety zwracają uwagę na wszechmoc losu, któréj wszelkie inne potęgi oprócz moralnéj uledz muszą. Znikome wszystko to, co ziemskie, a nicość ludzkich zamysłów okazuje się tém wyraźniéj, im więcéj zmysły uderzyć ma wzniosłość i potęga moralności.

Prędki postęp, jaki ludność Attycka w oświecie przez kilkanaście ledwie lat zrobiła, po śmiałych i olbrzymich dziełach Eschylosa, którym do zupełnéj doskonałości niedostawało wdzięku uroku, rokował jéj niedaleką świetną przyszłość i mógł wydać wieszcza, jakim był *Sofokles*. Młodszy według powszechnie przyjętego zdania o lat siedmnaście od Eschylosa a starszy dwadzieścia i cztery od Euripidesa, był spółczesny Kimona, pokrewnego mu istotą i charakterem, Periklesa i Thukydidesa; był świadkiem wypadków w dziejach ludzkości bardzo ważnych i dzieckiem wieku najświetniejszego, w którym Ateny, uwieńczone sławy aureolą i dumne z pięknych swoich czynów, wszelkie źródła zamożności miały w swojém posiadaniu i godziwie, szlachetnie umiały ich używać. Jak późniéj dzieła jego dodały blasku sławie grodu rodzinnego, tak już wcześnie lutnia młodzieńca brzmiała pochwały potrzeby Salamińskiéj. W kwiecie wieku hoży, czerstwy młodzian réj wiódł w tańcu w około tropeów Ateńskich. Postać i obyczaje jego wdzięczne, powabne chwalą sta-

rożytni; a nie mogą się dosyć nadziwić niewymuszonéj, żartobliwości jego rozmów.

Kiedy Kimon zwłoki Tezeusza do Aten był przeniósł i wypadek ten ważny dla potomków owego bohatera uczcił świetną uroczystością, dwudziestoletni Sofokles wystąpił z tragiczną kompozycyą przeciw Eschylosowi. Zdania sędziów były podzielone, a że nie śmieli sporu rozstrzygnąć, Kimon z innymi strategami wdał się w rzecz i przechylił szalę zwycięstwa na stronę młodego zapaśnika. Odtąd sława Sofoklesa wzrastała z każdém świętem Bakchosowem, a napisawszy więcéj stu tragedyi zwyciężył dwadzieścia i kilka razy. Charakter epoki Kimona w Atenach, w któréj wielkość i powaga szczęśliwie z wdziękiem i powabem się połączyły, wyrażony jest także w dziełach Sofoklesa. Rzecz ze wszech miar wykończoną przenika sztuka zupełnie, i nie tylko talent ale i dusza poety objawia i maluje się w jego utworach. Charaktery przez niego narysowane i rozwinięte są wprawdzie wielkie, bo tego tragedya wymaga, ale uzacnione przez domięszanie wdzięku i łagodności. Nawet tam, gdzie posuwają się do śmiałości Eschylosowéj, gwałtowność ich złagodzona i uzasadniona. Wynikła bowiem z okoliczności, któreby najspokojniejszy i najłagodniejszy umysł wzruszyć rozjątrzyć mogły.

Gdy Elektra, aby przebłagać cień zamordowanego rodzica, brata przeciw wyrodnéj matce poduszcza i jedynie zemstą oddychać się zdaje, wypełnia tém samém obowiązek pobożności i przywiązania dziecinnego i z tego względu uszlachetnia gwałtowną nienawiść powziętą ku rodzicy. Ażali nadto usposobienia tego córki nie usprawiedliwiają koleje jéj życia? W domu, gdzie krwawy czyn popełniono, gdzie śmierć powracającego do ojczyzny bohaterskiego ojca wciąż się przedstawiała w umyśle i lazła w oczy, gdzie jeszcze ślady popełnionéj zbrodni nie zatarły się zupełnie, tryumfuje i włada bez-

karnie Egirthos, a Klytemnestry bezwstyd codzienny hańbę powiększa. Elektra sama jedna kąpiąc we łzach swoich popioły ojca, wyrzucające nieustannie na oczy zabójcom mord popełniony, za sługę-niewolnicę uważana, doznaje i znosić musi od nieprzyjaciół coraz dotkliwsze obelgi i nieznośniejsze upokorzenie. Ta dola podsyca nienawiść i hartuje do śmiałego i dumnego odporu. Wszakże na tém nie traci delikatność niewieścia. Gdy opór ustaje, miarkuje się jéj zawziętość, a tkliwa i pobożna córka łzy ciche roni rozrzewnienia. To samo serce, oddychające niby jedynie nienawiścią i mściwością, kanie łzy nieutulonego żalu na mniemaną popielnicę ukochanego brata. Tudzież w Philoktecie, jednym z najśmielszych charakterów Sofoklesa, prawy umiar zachowany; i to jest właściwem piętnem tego poety, że umiarkować umiał siłę potrzebną do wyrażenia każdego uczucia i że przesady w każdéj sytuacyi unikał.

Acz bowiem długoletnie osamotnienie i męki srożejącéj choroby zdziczyły Philokteta, uczucie ludzkości nie wygasło w nim zupełnie. Nie przestaje być Hellenem. Z niewysłowioną radością i z zadziwieniem po tylu latach słucha dźwięków mowy rodzinnéj; los bohaterów, co legli pod Troją, wzrusza go żałośnie; lękliwie i uprzejmie błaga syna Achilleusza, aby ocalił go i litość miał nad nim. Nie mniéj piękne i szlachetne jest uczucie wdzięczności, które oświadcza temu, co niebawem przeciw biedakowi ma dopuścić się okropnéj acz koniecznéj zdrady. Z szczególném zamiłowaniem kreślił Sofokles głównie charaktery niewiast: Antygony, która z pobożności i z przywiązania ciemnego rodzica żebrząc po Helladzie oprowadza i na śmierć bieży, aby miłości braterskiéj praw nie naruszyć; Tekmessy, szlachetnéj małżonki zdziczałego Ajasa; Dejanejry wreszcie, wizerunku i wzoru prawdziwéj niewiasty, z jakim zresztą w starożytnéj tragedyi się nie spotykasz. Nigdy

poeta żaden starożytności tak szczęśliwie zazdrosnéj obawy nie złączył z taką wielkodusznością w bezinteresownie kochającem sercu.

Jak w kreśleniu charakterów, tak też w malowaniu namiętności prawa piękności i umiarów nigdzie nie są nadwerężone. Nigdy namiętność nie przerodzi się w dzikość i swawolę, nigdy ból nie zamęczy, nie zabije. Chociaż nieszczęście zabójcze ofiarę powali, przecie niebawem jak n. p. konający Herakles, ona na nowo się dźwignie z upadku i poniżenia i wrodzona siłą moralna swoim orężem pogromczym pokona wszelkie dolegliwości i tém piękniejszéj dobije się chwały. Pomimo tego umiarkowania żaden poeta starożytności nie sprawiał żywszego, głębszego wrażenia tragicznego. Nie wstrząsa Sofokles umysłów, jak Eschylos, co śmiałą walkę wolności fizycznéj z mocą fizyczną przedstawia, lecz uwesela i uspokaja one widokiem na pojednanie po stoczonéj walce. W ogóle tak długo tylko walczą bohaterowie Sofoklesa, aż bogów wolą dokładnie poznają; potem zaś, jak Edyp lub Herakles, uchylają głowy i zginają kornie kolana przed niebian wszechmocą. Zaczem tragedya jego ma głównie i prawie wyłącznie dążność religijną. Ludzie mają poznać ślepotę swoją właśnie wtenczas, gdy, jak Edyp największą ufność w swojéj przenikliwości położą; mają uczuć niemoc swoją, gdy, jak Ajas lub Herakles, całkiem własnéj sile zaufają; mają być strąceni w przepaść biedy i niedoli, gdy, jak Kreon, na szczycie potęgi i wielkości już stać myślą bezpiecznie; słowem nicość ziemskiej wielkości ma się okazać dowodnie w obec niepożytéj władzy niebian, nierozsądek usiłowań ludzkich i niespracowanéj ich żarliwości uprzytomnić się snadniéj naprzeciw cichéj woli i nieuchronnego wpływu boskiéj wszechmocy.

Mądrości i geniuszu Sofoklesowego dowodzi nadto misterne opracowanie mitu. Tragiczne bowiem wrażenie wynika częściowo z przymiotów treści, częściowo i więcéj prawie z jéj opracowania. Zadaniem tragedyi nie jest nagle przerazić, (bo zdarzenie smutne samo przez się tego dokaże), lecz głęboko i trwale wzruszyć umysły. Tego celu dopiąć jedynie można przez zręczny układ poematu. Wrażenie jedno i to samo powinno się powtarzać i wzmacniać. Uderzenie gromu z pogodnego nieba przerazi silnie, lecz zwolna się zbierająca i, im więcéj się zbliża, tém czarniejsza burza napełnia duszę bojaźnią, a nęci przecie. Otoż więc obawę taką i zarazem pociąg do grożącego coraz jawniéj i widoczniéj niebezpieczeństwa powinien starać się wzbudzić układem dramatu każdy tragik. Z jednéj strony on potęguje, wzmacnia wrażenie, z drugiéj łagodzi na korzyść piękna; gdyż to, coby wyobraźnią nieprzygotowaną przestraszyło, w skutek powolnego przygotowania do widowiska owego traci siłę odurzającą. Tak sobie poczynał Sofokles, wierny zasadzie umiarkowania. Długo przysposabia widzów, zanim cios spuści na głowę bohatera; zwolna zmierza do końca, kilka zawięzuje węzłów, zanim ostatni rozwiąże i widok na katastrofę odsłoni, która, jakkolwiek okropna, przecie tylko następstwem naturalnem i nieuchronnem być się zdaje działającéj przed oczami naszemi konieczności. Z téj to przyczyny w żadnéj tragedyi akcya nie jest tak misternie zawikłana, jak w Edypie którego koniec, z osobna bez względu na poprzedzające go wypadki uważany, okrutnością oburza i wstręt czyni. Z wielkim podziwem już starożytność rozważyła i rozwodziła się nad tem, z jakiem mistrzostwem poeta drogę wiodącą do celu przedłużył i jak zręcznie cel poprzednio po kilkakroć ukazywał, aby nie nagle, lecz zwolna poważanego przedtem króla, zbawcę Teb, a teraz przyczyńcę

strasznéj zarazy z wysokości szczytu strącić w najopłakańszą niedolę. Zasłona, pokrywająca mord na Laiosie dokonany w skutek zbiegu okoliczności zwolna się uchyla i tajemnica początek Edypowy otaczająca, po któréj odkryciu los jego stanie na widoku, tak sztucznie się odsłania, że widza żaden wypadek nie zaskoczy niespodzianie; nie, stopniowo i przezornie wtajemniczony w dzieje smutne, sam wreszcie naprzód przewiduje i odgaduje klęskę straszną na bohatera się walącą. Nawet okrucieństwo, z jakim Edyp sam siebie karze, nie zadziwia. Kiedy Jokaste życie sobie odebrać mogła i musiała, większe zbrodnie słusznie cięższe spotykają kary; a ponieważ inne przepowiednie Tejrezyasza dosłownie się ziściły, nie wolno wątpić, aby groźba dotycząca ślepoty Edypowéj była daremną i płonną. — W ogóle charaktery Sofoklesa odznaczają się siłą, śmiałością i łagodnością. Obca im swawola, zuchwalstwo, miękkość. Cierpienia bohaterów uszlachetniają i nadawają im piętno wzniosłości, która nęci i wzrusza, nie odurza, ani przeraża. Toż i w języku i wysłowieniu poety najpiękniejsza jest równowaga siły i wdzięku, jędrności i słodyczy. Kiedy tragedya zaledwie z dithyrambu była się wysnuła, śmiałość tego gatunku poezyi, niby wspomnienie z lat dziecinnych w sercu młodzieńca, nie tylko w chórach daléj brzmiała, ale nawet w dyalogu częstokroć się odzywała. Sofokles pojąwszy lepiéj istotę tragedyi, nie tylko ciaśniejsze granice chórowi naznaczył, aby obszerniejszą mieć przestrzeń dla akcyi zdaniem jego ważniejszéj, i obciął tym końcem pieśni jego, ale umiarkował także gwałtowność języka i burzliwość bakchantyczną. Stósownie do zmiany w chórach zaszłéj, tok dyalogu zwolniał i złagodniał, a język wszędzie szczero poetyczny, umiarkowany jest i ze wszech miar wykończony.

Aby przejść wszystkie koleje, tragedya doczekała się *Eurypidesa.* Nie mogąc wyrównać Sofoklesowi wyższemu geniuszem i charakterem, a nie chcąc naśladować Eschylosa, którego posągowe postacie nie ziemskiéj wielkości nie byłyby zyskały poklasków wybrédnych i w światowości zagrzęzłych Ateńczyków, wpadł w przeciwną ostateczność i starał się wyłącznie o to, aby wzruszyć widzów niedolą i opłakanemi przygody swoich bohaterów. Euripides, jak opiewa podanie, urodził się dnia tego, w którym o losie Grecyi rozstrzygnęła stanowcza bitwa w zatoce Salamińskiéj. Ztąd wyspę Salaminę szczególnie upodobał sobie podobno poeta i często tam w cieniu dzikiéj i ponuréj jaskini przesiadywał, zajęty układem tragedyj, które na scenach Ateńskich zjednały mu tyle świetnych zwycięztw i chwały następnie. Mnesarchos, ojciec jego, źle zrozumiawszy wyrocznią przepowiadającą synowi jego zwycięztwa, kazał go ćwiczyć w zapaśnictwie. Wszakże wnet tego rzemiosła się wyrzekł, aby w wymowie z Prodikosa w filozofii z Anaksagorasa nauk korzystać. Jednego i drugiego nie słuchał bez korzyści, jak tego dowodzą dramata. Późniéj zaprzyjaźnił się z młodszym od siebie Sokratesem, od niektórych za przyjaciela jego, od innych za współpracownika dzieł poetycznych uważanym. Rzeczywiście poezya Euripidesowa przypomina niekiedy prostą (gminną), przystępną wszystkim Sokratesa metodę. Wszakże wieści te wiary niegodne urosły ztąd zapewne, że Euripides miał szczególną słabość do filozoficznych wywodów i lubił, jak żaden inny poeta, popisywać się przy każdéj zdarzonéj lub naciąganéj sposobności postrzeżeniami arcyuczonemi. Nadużywa nawet częstokroć tego przywileju sceny. To też dramatyczny zapał ustąpił miejsca dydaktycznéj pouce. Wszędzie przejawia się poeta sam i zapomina o działających

osobach, aby zaspokoić do przesytu moralne potrzeby słuchaczy.

Z tém wszystkiem dzieła jego jak utwory wszystkich gienialnych Hellenów napiętnowane są duchem wieku, który ich wychował. Kiedy Sofokles się kształcił, naród był się wspiął do szczytu zupełnéj doskonałości. Lecz chwila kwitnienia nikła, szybko przemija. System zarządu po klęsce Persów nad Eurymedontem doznał wielkiéj zmiany. Nieprzyjaciel, przedtem groźny i straszny, wszystkich obywateli Ateńskich wzywał do wytężenia sił w obronie ojczyzny. Po téj klęsce przestrachu roznosić już nie mógł i dalsze prowadzenie wojny nie wielkiego wymagało poświęcenia. Nie celem dźwignienia ojczyzny z toni, nie celem zachowania niepodległości, lecz aby żądne skarby Perskie owładnąć i plon obfity uprowadzić i ziemie bogate zagarnąć pędzono żołnierzy najemnych przeciw nieprzyjaciołom. Samolubstwo przytłumiło szlachetniejsze dążności. Charakter ludu się zmienił, wybujał. Ufność w siebie przerodziła się w zuchwałość, żywość w swawolę, skłonność w namiętność, zabawa w rozpustę. Stare, prawe obyczaje wyśmiewano; karności dawnéj surowość znikła. Wkrótce po Kimona szczęśliwym zarządzie prawie wszędzie gwałtowna namiętność wzięła górę nad rozważném umiarkowaniem, we większéj cenie było to, co nęciło, od tego, co pięknością mogło podziw wzbudzić. Równowagę sił zniesiono. W tym wieku powolnego wyradzania się, które się, poczęło wraz z rozrzutną demagogią Periklesa, a wzmogło za czasów niestatecznego a jednak ubóstwianego Alkibiadesa kształcił i rozwijał się tragiczny gieniusz Euripidesa. To też w jego utworach widocznie równowagi nie ma, już to dla innych niedostatków, już też dla tego, że za pomocą rozmaitych sofistycznych fortelów i patetyczności przesadzonéj dobijał się o poklaski widzów. Tą żądzą wiedziony nadużywa częstokroć wymowy, już wten-

czas narzędzia w rękach zbytku, i poświęca dla jéj blasku wyższe cele sztuki. Ufny w swój talent retoryczny i polegając na usposobieniu słuchaczy, ilekroć się zdarzy pora, obszerne retoryczne rozprawy miesza do dyalogu; a zniewala i krępuje umysły pełnością mowy, dyalektyki swobodą i urokiem wysłowienia. Nawet złéj sprawy według okoliczności broni z wszystkich sił; często tak dobrze i tak skutecznie, że mylnym pozorem uwodzi i do fałszywego sądu o rzeczy pobudza. Ileż to mów nie zawiera Hekabe, Orestes, Andromache! Żaden dramat bez nich obyć się nie może. Często mowa po mowie, spór po sporze się toczy; a gdzie walka zdań ścierających się ustaje, tam opowiadanie z całą okazałością i rozwlekłością retoryki występuje. Pełnia pięknego talentu zachwiała wszędzie równowagę, a z téj jedynie, jak Afrodyta z cichych głębin morza, wzejść może piękność. Dla niestósownych pretensyi wymowy, w wielu miejscach akcya, myśl, namiętność swobodnie się nie rozwija. Akcya wlecze się i pełza pod ciężarem zbytecznego dodatku; sposób myślenia nie dobywa się na jaw, ginąc w blasku świetnéj wymowy; żar namiętności ostudza się, używając ozdób niepotrzebnie i bez celu.

Ponieważ głównym celem Euripidesa było obudzać litość, tragedye jego nieprzerwanem są pasmem scen i przygód roztkliwiających. Zamiast jak Sofokles, przez powolne rozwinięcie akcyi głęboko wzruszyć umysły, klęskę po klęsce, cios po ciosie opisuje, zapominając przytem o jedności, bez któréj nie ma sztuki. W Alkestis dramat, aby nie skreślić płaczliwych scen pożegnania, zawcześnie się zaczyna. W Andromasze rozczulają w pierwszym akcie widzów losy nieszczęśliwéj małżonki Hektora; po jéj ocaleniu uprowadzenie Hermiony pobudza do litości, a zamyka dramat morderstwo na Neoptolemie dokonane, zdarzenie wcale z poprzednią akcyą nie

powiązane. Wszystkie te przygody w ogóle wiąże słaba bardzo nić nierównoczesności; żadna z drugiéj niewywięzuje się, każda ma osobny swój cel. To samo da się o Trojankach powiedzieć. Początek dramatu zapełniają cierpienia Hekaby, drugą część los Kasandry, w trzeciej rozstrzyga się los Heleny, a w końcu zabicie Astyanaksa widzów pogrąża w smutku.

Lecz nie chcąc popełnić niesprawiedliwości i dać sąd jednostronny o Euripidesie, który pomimo błędów i niedostatków wysokie zajmuje stanowisko, trzeba mniéj na całość, na pojedyńcze części więcéj uważać. Wiele epizodów jest wykończonych, wzorowych i silnie wzruszających, kiedy tymczasem całość na naganę zasługuje. Możnaby prawie powiedzieć, że to najpiękniejsze u Euripidesa, co, jako zbyteczny dodatek dla tego jedynie wmieszał, że ponęcie sytuacyi oprzeć się nie zdołał. I tu jednak nagromadzenie treści zbyt różnorodnéj przeszkadza rozwinięciu się pojedyńczych części czyli szczegółów; a zatem wrażenie nie dosyć wypracowanych epizodów jest niedostateczne. Jeżeli bowiem wrażenie tragiczne ma być zupełne, poeta powinien dokładnie przygotować i rozwinąć akcyą i stósowne dać jéj rozwiązanie. Do tego jednak często nie ma miejsca. N. p. w Trojankach treści jest tak obficie, że o śmierci Polykseny ledwie kilku słowy wspomniano.

Stósownie do dążności, jaką w ogóle ma poezya Euripidesa, malował najchętniéj zmysłową siłę i nieukrócone namiętności. Nie ma dramatu, w którymby pod tym względem gieniusz poety się nie okazywał. Nikt energiczniéj prawdy i rzeczywistości nie uprzytomnił. Ale prawda ta i rzeczywistość niekiedy jest podła, nikczemna. Idealizować nie chciał poeta; chodziło mu o wrażenie, a tego dopiąć było najsnadniéj przez energiczne skreślenie obrazu rzeczywistości. Z tego stanowiska rzecz uważając spór osławiony Alkesty wcale

doskonale przedstawiony; ze względu zaś na przyzwoitość i godność potępienia godny. Bo że syn z ojcem jak z najpodlejszym niewolnikiem się obchodzi i lży dawcę życia w najochydniejszy sposób dla tego iż za niego umrzeć nie chciał, uniewinnić chyba można nadmiarem niepowściągliwéj boleści. Nie mniéj obraża, acz silna i malownicza jest wściekłość, z jaką Polymestor, któremu oczy ręce Hekaby wykłóły, ściga nieprzyjaciołki i krwią i kośćmi ich nasycić się żąda. Słowem, wszędzie prawie u Eurypidesa wybuchy namiętności są obrane z godności, a osoby sceniczne rzadko szlachectwem, nigdy wzniosłością duszy się nie odznaczają. Prawda codziennego życia więcéj u niego znaczy niż piękność idei, siła więcéj niż powaga. Szlachetniejsze rysy tu i owdzie się objawiające jakby mimowolnie wyszły z pod pióra. W ogóle piękne charaktery tylko tam się znachodzą, gdzie téj piękności potrzeba poecie do dopięcia głównego celu, do obudzenia litości. Dla tego w Polyksenie, Iphigenii widzimy tyle słodkiego powabu, młodzieńczéj żywości, dziewiczéj czystości, dziecięcéj prostoty, aby najponętniejsze wdzięki stoczyły walkę z najsmutniejszym losem i najwonniejsze kwiaty uszczknęły najdziksze ręce.

Zebrawszy więc pokrótce spostrzeżenia nasze nad trzema Titanami tragedyi greckiéj, następny o nich sąd wydamy. U Eschylosa silna, ogromna treść nie zawsze dostatecznie rozwinięta; u Eurypidesa rozmaitość górę bierze nad formą; u Sofoklesa treść z formą w najzupełniejszéj równowadze i bogactwo myśli bez przymusu w największym jest ładzie. U Eschylosa natura potężna, sztuka nie zręczna; u Euripidesa sztuka wątła pobłażająca, u Sofoklesa sztuka w karbach trzyma swobodną i uroczą naturę. Eschylos hołduje wielkości bez wdzięku, Euripides ubiega się za powabem, Sofokles skojarzył powagę z pięknością. Pierwszy zdumiewa, drugi litość

wzbudza, Sofokles zadziwia. Eschylos często w początku zaraz wzbija się do wysokości, na któréj go duch jego olbrzymi utrzymać zdołał do końca bez uszczerbku dla sztuki; Sofokles prowadzi widzów od szczebla do szczebla; Euripides powtarza od czasu do czasu te same dźwięki roztkliwiającego smutku. Eschylos od postanowienia przechodzi szybko do rozwiązania; Sofokles zwłocznemi kroki zbliża się do katastrofy; Euripides krokiem obłędnym ściga celu niepewnego, nie potęgując nieszczęścia, jeno nowe do dawnych dodając. Eschylos jest prosty bez sztuki, u Sofoklesa prostota wynikłością jest sztuki, u Euripidesa jest rozmaitość ze szkodą sztuki. Zdarzenia ważne i tragiczne, które u pierwszych dwóch stanowią osnowę dramatu, u Euripidesa uboczne wypełniają epizody, chociaż główna rzecz mniéj ważna i mniéj zajmuje. Córka wydarta z łona matki ofiarą pada dziczy, niewinnego chłopca zabijają, małżonka dobrowolnie poświęca się za męża na stósie dla niego przeznaczonym; młodzieniec pada w obronie ojczyzny, dziewica dla ocalenia rodziny ginie, oto zdarzenia, któremi Euripides przeplata tylko celem urozmajcenia treści, główną zdaniem jego a częstokroć jałową i oschłą rzecz i dla których w ramach obrazu jego zaledwie pokątne jakie miejsce udało się pozyskać.

Z. Węclewski.

O PISOWNI POLSKIÉJ

I

GRAMATYCE KONKURSOWÉJ

z roku 1860.

Franciszek Palacki rozpocząwszy z polecenia Stanów czeskich historyą kraiu swego, przyłączył do niéj na końcu tomu pierwszego uwagi nad pisownią, któréj zasady, iak twierdzi, w piętnastem stuleciu przez Husa podane, służą dotąd za regułę.

Szczęśliwa budowa, która trwa tak długo cała!

U nas dzieje się w tym względzie co innego. „U nas, mówi Biblioteka Warszawska z 1853 r. co kraina, co dziennik, co pisarz, to inna ortografia". Dla téjto zapewne przyczyny ogłosiło ces. król. Namiestnictwo Galicyi w skutku uchwały sejmowéj z roku 1845 konkurs do napisania gramatyki polskiéj z wymienieniem nagrody przyznać się mającéj za taką, która celowi swemu odpowie.

Daj Boże! aby ten środek zaradził gruntownie złemu, o którem mowa. Zapewne rzucą się znowu gramatycy na to swoje pole, które im piękny plon obiecuje. Ja się iednak obawiam, ażeby, gdy zaczną po dawnemu wywoływać „ducha ięzyka polskiego“ nie obiawili nam nowych widzeń apokaliptycznych, iak to mamy we dwudziestu kilku gramatykach po Kopczyńskim napisanych.

Ażeby medyk mógł działać z samowiedzą w leczeniu iakiéj choroby, musi koniecznie wprzód dowiedzieć się, gdzie tkwi iéj zaród. To samo pytanie musi się zrobić i względem naszéj pisowni. Jakaż tedy iéj zamętu przyczyna?

Wiadomo iż nieraz szukamy rzeczy, która nam leży nieiako pod ręką, albo dobiiamy się o drugą, która więcéj szkody iak pożytku przynosi. Krasicki pisze, ieśli się niemylę, w „Panu Podstolim“ iako ten będąc na wsiadaniu do powozu biegał po pokoju za czapką i niemogąc iéj znaleść, wołał, aby mu iéj poszukać. „Czego szukać? Czapki? Wszakże ią Pan masz na głowie“, odpowiedział sługa. Tak biedzą się nasi gramatycy i szukają w swoich głowach reguł, to iest tam, gdzie ich niemasz, a nie widzą tych, które na odwiecznym fundamencie głosu ludzkiego i zasadzie historycznéj spoczywaią.

Powodem, przyczyną i początkiem zagmatwania naszéj pisowni było zniesienie dyftongów. Rzecz trudna do uwierzenia dla tego, kto nie studyował tēj sprawy. Sniadecki, ten wielki pedagog swoiego i naszego czasu, karcił słusznie tę nowość w „Towarzystwie Warszawskiem przyiaciół nauk“, ale większości przemódz niemógł. I oto źródło, z którego niemoc dotychczasowa gramatyki płynie.

Są czasy, w których powstaią ludzie z geniuszem; są inne, w których nikną. W razie ostatnim oddaią się

literaci całkiem wyrabianiu formy dłubiąc ią ciągle i wystrugując, iak się wyraża Mickiewicz. Przyjście tego rodzaju ludzi nieobiecuie dobrego powodzenia dla nauk. I tento iest czas za dni moich rozpoczęty, w którym gramatycy, iak grzyby w borach trafiwszy na porę sobie przyiazną naraz wyskoczyli.

„Towarzystwo królewskie przyiaciół nauk w Warszawie obrawszy, iak samo mówi, za główny przedmiot prac swoich język ojczysty, niemogło pominąć ortografii owéj tak ważnéj części ukształcenia onego“. Jakoż i niepominęło. I chociaż dzieła Karpińskiego i Krasickiego przez Dmochowskiego w ówczas wydawane stano.ły zawsze wzór pisowni dla wszystkich, iednak gdy w względem znamion, akcentów i innych nad dwugłoskami wprowadzanych znaków niebyło zgody, została wysadzona deputacya 1827 r. w celu wynalezienia środków ustalenia ortografii z tem wyraźnem zastrzeżeniem „ażeby do proiektu niewprowadzać żadnych nowości“. Jak ten przepis wykonano, obaczymy zaraz.

„Toute erreur est fondée sur quelque vérité, dont on abuse“ powiedział raz Bossuet. Pomysł ten przez sławnego biskupa wyrzeczony, do którego opinii dziś iescze Napoleon w sprawie kościoła galikańskiego odwołuie się, może być i do naszéj sprawy za godło zastosowany. Zasada myśli względem ustalenia ortografii była dobra, ale iéj wszechstronne zastosowanie było złe. Rzecz tak się miała:

Właśnie wtenczas, kiedy Towarzystwo przyiaciół nauk zwróciło swoją uwagę na poprawę pisowni nieużywaiąc nigdzie „j“ i nierobiąc o niéj najmniejszéj wzmianki, Lelewel nasz znakomity historyk, był pierwszy z uczonych, który przemówił za potrzebą téj litery i zaczął iéj sam 1811 r. używać.

„Trudno wyrazić (są iego słowa) iak liczne mogą powstać zamięszania w nazwiskach za odmianą „y“

albo „i“ lub dodaniem albo uięciem iednéj tylko litery; np. Lighi byli mieszkańcy Liguryi, a Lygi krainy Lachów. Massili siedzieli na brzegach południowéj Galii, a Massyli na brzegach północnéj Afryki w Numidyi. Dla okazania zaś trudności, do których daie powód zacieranie dyftongów, dosyć wspomnieć o mieście w Azyi „Elaja“ czyli „Elaea“, ktore dobrze potrzeba odróżnić od miasta iońskiego w Grecyi Wielkiéj „Eleas Velia“ pospolicie „Elea“ zwanego, zkąd ma nazwisko szkoła elejska filozofów“.

Niepodobna iest tu zarzucić co przeciw tym uwagom i nieuznać z Lelewelem potrzeby zachowania dyftongów i wprowadzenia litery „j“ do polskiego abecadła.

Zwrócona raz uwaga na „j“, którą dotąd przez „y“ zastępowano, dostrzegła w krótce, że w „żyy“ albo „stryy“ iak dotąd pisano, różni się całkiem między sobą w wymawianiu iedno „y“ od drugiego, i że ostatnie brzmi iak „j“ w słowie „Elejska“. A zatem wypada odtąd pisać: „żyj“ „stryj“.

I tu niemasz co powiedzieć na przeciw téj prawdzie.

Nakoniec w słowach „my i mey“ takąż samę różnicę postrzeżono, i takimże samym sposobem iak wyżéj zaradzono téj potrzebie pisząc: „méj“ „swéj“.

A i tu zdrowy rozsądek niema co wytknąć w takim rzeczy składzie.

Tak więc stanąwszy na tym punkcie przyszliśmy wreszcie do owych Horacego granic, quos ultra citraque nequit consistere rectum.

Jest to iuż w naturze ludzkiéj, że gdzie namiętności rozpoczną grę między sobą, tam trudno, a nawet niepodobna ostać się na przyzwoitem miejscu. Ten nieład w pisowni, o którym prezes Towarzystwa dnia 10 stycznia 1814 r. wyrzekł, iż się posunął aż do obłąkania, niezmniejszył się przez działanie obranéj deputacyi, ale owszem głębiéj się wkorzenił. Dla czego? Bo ciągle

około niéj, iak się wyraża genialnie Mickiewicz, gramatycy dłubali, a ludzi z geniuszem nie było.

Józef Mroziński powiedział na pierwszém posiedzeniu deputacyi:

„Od lat kilkunastu zaczęły się u nas spory o ortografią; nic w niéj nie iest ustalonem. Typograf pyta każdego, kto mu przynosi rękopism: „„Jaka iest twoia ortografia?““. W tym zamęcie nie może być zamiarem Towarzystwa przyiaciół nauk tworzyć dla siebie oddzielną, chce ono przeciwnie wskazać dla wszystkich iednę ortografią“. *)

W takiem położeniu znajdowały się rzeczy, kiedy Feliński wydał pierwszy tom dzieła swoiego proiektowaną przez siebie ortografią, a Mroziński zasady ięzyka polskiego z wielkiem dla siebie powodzeniem. Nowy stan ortografii! Deputacya, która miała niewprowadzać żadnéj nowości do proiektu, tylko wziąść pod rozwagę te szczegóły, względem których niezgodność zachodziła, znalazła się raptem na polu szermierki, o którem dawniéj niemyślała. Nie iuż owe szczegóły pisowni chwiéjnéj, ale każda litera, rozmaite brzmienia głosu, postać litery wężykowata, podniebienne spółgłoski, formy ięzykowe, sąd ucha, względy większego lub mniejszego ust otwierania, występują w szranki i zadziwiają nie małą erudycyą. Ale to mniejsza. Proszę zajrzeć do Warszawskiéj gazety literackiéj z sierpnia 1822 r., w któréj mieści się rozbiór zasad gramatyki ięzyka polskiego przez J. Mrozińskiego wydanych. Tu masz dopiero morze erudycyi! Tu iest mowa o ięzyku hiszpańskim, o anusvara Indyan, o sanskryckiéj i greckiéj mowie, o głosce odpowiadaiącéj co do brzmienia „j“ przez Bengalczyków wymawianéj, o hebrajskich spółgłoskach „Alef Jod“ będących u greków samogłoskami „Alfa Jota“, o dyalekcie... Któż to wszystko opowie?

Tomi uczony! gdy się człek aż zlęknie,
Kiedyto raz wraz i górnie i pięknie [1])!

Powiedziałem wyżéj, że każda litera była pod rozbiór brana, i w miarę swych przymiotów oceniona. To winienem teraz udowodnić.

Litery „i“ „y“ „j“ dostały się do gabinetu anatomicznego Ludwika Osińskiego. „Weźmy najprzód, mówi, dwie pierwsze. Według iednych zachodzi ta różnica, że na pierwsze ściskamy gardło, a na drugie więcéj ie otwieramy. Według innych pierwsze wymawiamy przez kanał ust zupełnie ścieśnionych, drugie przez obszerniejszy. Różni różnie nazywali tę dwoiaką odmienność brzmienia &“. Otworzywszy nam tym sposobem podwoie do nauki, rozpoczyna ią temi słowy:

„W żadnéj podobno części pisowni naszéj niedaie się postrzegać większa niedokładność i zamięszanie, iak w używaniu liter „i“ „y“ „j“. Tak iest; odpowiadamy Wszyscy iesteśmy tego samego zdania. Jakoż inaczéj być nie mogło, kiedy fundament budowy został zwichnięty. I tu nic nowego niepowiedział uczony Osiński.— Za to opowiedział nam wiele innych rzeczy, iako to, że iest dwoiaka postać alfabetyczna iednéjże samogłoski, — że w ięzyku polskim ta sama spółgłoska może być miękką lub twardą, że wymawianie u Greków i Rzymian litery „y“ najpodobniejsze było do głoski „u“ w mowie francuzkiéj, — że ani autor żąda, ani ktokolwiek przypuścić może, iżbyśmy starożytne ojców naszych pismo przetwarzać mieli, — że w słowie „miała“ i podobnem iemu używa się litera „i“ za znamię miękczące, — że sam mechanizm narzędzi mownych niedozwala nam wydać twardego brzmienia w pewnem liter położeniu, — że litera „j“ iest spółgłoską, — że własność głoski nie

---

[1])! Krasicki.

ztąd powinna być ceniona, co w piśmie oko nasze uderza, ale ztąd, co w budowie ięzyka słuch nasz przekonywa, — *że nigdy samogłoska po samogłosce bezpośrednio następować nie może*, — *że bardziéj dla pokrycia niż wytłumaczenia trudności zrodziła się ciemna nauka dyftongów.*

Tak rzecz wyłożywszy stanowi, albo raczéj radzi sprawozdawca:

„Iżbyśmy stale używali postaci „j" wyrażaiącéj brzmienie spółgłoskowe tam, gdzie dotąd pisownia nasza mieściła literę „i" „y" iako część dyftongu".

Joty zostawszy tym sposobem, że tak powiem, sukcesorkami dyftongów i znalazłszy sprzyiaiące k'temu okoliczności, wystrzeliły w górę z nadzwyczajną bujnością i zaległy swemi ogonami szeroko pismo nasze. Jakoż stało się to bardzo naturalnie. Młodzież będąc obowiązaną uczyć się ięzyka łacińskiego, niemieckiego, greckiego i francuzkiego, znajduie wszędzie niemało jotów. Nawyknąwszy tedy od dzieciństwa do nich w „jus" „jeder" „joli" „jerach" sypie niemi hojną ręką po pismie polskiem bez względu, czy ich tam tyle potrzeba, czyli nie. Dodajmy do tego wysoką sztukę „Mowni" o dwu jotach w „jje" i przemianę litery „i" w znamię miękczące Mrozińskiego, a będziemy mieli klucz tem lepszy do całego przybytku jotowego, im więcéj pisarzów mamy nauczycielami młodzieży, którzy udzielaią iéj zaraz téj mądrości jotowéj pod wpływem całego nacisku posady swoiéj. Sypią tedy joty, iak dary z rogu Amaltei i nauczyciele i uczniowie, i z tyłu i z przodu niepomni, że gdy Łacinnik albo Niemiec pisze ie na początku sylaby, nie pisze ich na końcu; lub gdy Rosyanin kończy sylabę miękkim „jer" nie zaczyna iéj nigdy takąż literą. Wiedząc o tem dobrze nasi literaci nie mogli byli nakłonić się w początkach do takowéj pisowni, o czem iuż „Deputacya" wzmiankę czyni. Ale kiedy iuż raz

popuści sobie cugle nowatorstwo, gdzież znajdzie się hamulec na to? I na takiéj to drodze postępu odkryli nam gramatycy zasady, podług których iedni piszą „jich“ „jéj“ „komend- janci“, drudzy komedy- janci trzeci: „Daniji“ „liniji“ inni „instancij“, znowu inni: „cywilizacji“. Ale niedosyć na tem.

Mamy z tego popędu rzecz zrobioną, iaką się podobno żaden kraj pochwalić nie może. Proszę posłuchać. Jan Kochanowski należy do wielkiéj epoki żywota politycznego i literackiego Polski. Był to wiek Stefana Batorego i Jana Zamoyskiego; w nim spisał kasztelan Herburt prawo kraiowe; w nim powstała akademia na Rusi. Naturalną iest rzeczą, że temu, który uiął mowę naszę w pewne prawidła i władał nią po mistrzowsku, chcielibyśmy się ze wszech stron przypatrzyć i tokiem téj mowy przeiąć. Jeżeli przeto radzi widzimy wizerunek Kochanowskiego na początku dzieła iego wybity, to równie chcemy wiedzieć, w iakim kształcie przesyła on myśli swe do potomności. A tu iuż trafiamy na bolesny zawód. Kochanowski, który w edycyi Januszewskiego mówi: „żebych“ „knam“ „wzdy“ „Szwecyéy“ występuie w wydaniu Bobrowicza z temiż w prawdzie słowami, ale iuż ubrany w nowomodnę ortografią i pisze pod rószczką swego wydawcy: „jéj“ „pij“ „niechcij“ i tym podobnie. To samo dzieie się z Lindem i wielu innymi „Biblioteką Polską“ pana Turowskiego obiętymi. Jakaś ckliwość i mimowolna niechęć zbiera człowieka przy czytaniu tych autorów, chociaż radby poznać takowych. Uczucia tego, wypływającego ze zestawienia albo raczéj pomięszania dawnych rzeczy z bredniami tegoczesnemi nie umiem opisać. Patrząc na taką książkę zdaie mi się, jak gdyby kto włożył na ubranego w kontusz ojca naszego kusą bluzę zamiast delii. Jan Kochanowski i Naruszewicz Bobrowicza nie są naszymi klasykami. My chcemy ich mieć takich, iakimi byli rze-

czywiście, kiedy myśleli i pisali; my chcemy mieć całą ich indiwidualność nienaruszoną. Jeżeli po nich rzeczy pozostałe, iakie niedawno widzieliśmy w Krakowie: biórko, przy którem siedzieli, albo karabelę, którą nosili, oglądaliśmy z pewną czcią, iakżeby wyrób ich ducha, chce mówić pisownia miała być mniéj ceniona? W reszcie przypuśćmy, że po upływie iakiegoś czasu znowu powstanie nowy „uprawiacz ięzyka" i wpadłszy iak często bywa, z pierwszéj w drugą ostateczność, zechce według skazówek Mowni §. 13. pisać: „smrt" „smrk" „brk" „krk" „prst", iak dziś piszą nasi pobratymcy, Czechy, to znowu musi iaki pan Bobrowicz przerabiać Kochanowskiego i Naruszewicza, którzy tym sposobem przez różne ręce nicowani, wyjdą na owe po sklepach drewniane głowy, którym wkładają nowe peruki albo kapelusze za każdą zmianą mody. Godziż się tak postępywać z naszymi ojcami? Ej panowie! Jeżeli wam wolno szaleć, to przynajmniéj niewciągajcie do waszego tańca umarłych.

Macieiowski układając trzechtomowe „Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych" równie iak i wydawca edycyi „Woluminów Legum" zachowuią całą ortografię, iaką w każdem piśmie dawnem znajduią. I to biorę nie tylko za zaletę tych dzieł ważnych, ale za ich niezbędną wymagalność. Gdyby wszyscy poszli byli drogą wydawców „Lindego" i „Biblioteki Polskiéj" tobyśmy dziś historyi wiernéj piśmiennictwa naszego niemieli. Ale powróćmy do naszego zadania.

To gdy się działo z nową pisownią, autor „Mowni" był szczęśliwszy od Osińskiego, bo znalazł fundament dla niéj na rodzinnem polu, to iest, w książce Św. Jadwigi, iak o tem sam na stronie 129. wspomina, i wywinął z niego regułę podwójnego „jj" pisania w „jjém" „jjész" „jjé".

Głośny ten w świecie literackim wypadek związany

tak ściśle z nauką pisania „j" niepowinien być tutéj ominiony.

Było to w roku 1823. kiedy Jan Motty, profesor przy gimnazyum poznańskiem, wydał książkę do nabożeństwa z rękopismu gockiego, i nazwał ią książką Ś. Jadwigi, ponieważ na prawéj stronie skrzyneczki, w któréj schowaną była, stał napis: „Libellus precarius, quo utebatur S. Hedvigis Ducissa". Znalazł się zaraz iakiś literat, który utrzymywał, iż to iest ta Św. Jadwiga, która była przełożoną klasztoru w Trzebnicy. A więc książeczka po niéj byłaby iednym z najdawniejszych zabytków piśmiennictwa polskiego, bo księżna umarła 1243 roku. Jak i którą drogą dostał się manuskrypt do Poznania, to opuszczam.

Ponieważ iednocześnie zaczęli Feliński, Mroziński i Osiński przerabiać regóły polskiéj gramatyki i dla ich utwierdzenia aż do ięzyka bengalskiego się uciekać, iakże miał przeoczyć autor Mowni książkę Ś. Jadwigi, mianowice, kiedy z niéj wystawały niewzruszone podwaliny do iego dzieła? A więc zrobił, co robić był powinien. Prawda, że w całéj téj książeczce niemasz ani iednéj joty; prawda i to, że iest w niéj niemało nieiednostajności, ale za to stoi „gye" i na tem dosyć [1]). Dobry gramatyk i z tego coś zrobi. Jakoż na fundamencie tego „gye" i „jest jeść" wzniósł swój system pisania „jje". Zasady takiéj ortografii zostały iasno iak słońce w Mowni wyłożone.

Ależ niestety! wielkie odkrycia zawsze na wielkie trafiają przeszkody. Jest iakiś wróg na świecie, iest pierwiastek złego na ziemi, istny Aryman perski, który znajduie w tem upodobanie, aby wszystko, co szczytne i urocze, niszczyć, tępić, poniżać, wywracać. Tak się działo i tutaj. Słuchajcie!

---

[1]) „Ktho czyebye gye" ma znaczyć: Kto ciebie ié czyli pożywa.

Przez trzydzieści lat stała książka Ś. Jadwigi niezachwiana w swojéj poważnéj starożytności, i przez tyleż lat czerpali z niéj natchnienie gramatycy dla swéj ulubionéj litery „j“ kiedy się ziawił ieden i drugi niedowiarek utrzymuiąc, iakoby ona była płodem wieku piętnastego. Niepodobna w prawdzie zaprzeczyć, aby ieden z nich, Wacław A. Macieiowski, niezarywał już swoiemi dziełami na imię europejskie. Ale cóż to znaczy? Gramatyki on przecież nie napisał, a teraz gruntem sławy iest gramatyka. Posłużył mu w prawdzie i tu ieden przypadek, bez którego iak wiadomo, trudno aby się gdzie obeszło. Lecz i tak nie wiele zyskał, ponieważ właśnie ów przypadek, owo odkrycie stało się źrodłem tryumfów, iakie odnieśli gramatycy na polu lingwistyki. Słuchajcie! Między wierszami oryginału odkryto na kilku miejscach następuiące wyrazy: „mnie Nawóyce“ „ija Nawóyka“ „wesprzyy mnie Nawóykę“. — Te słowa podały znowu broń do ręki panu Macieiowskiemu, z którą wystąpił naprzeciw starożytności rzeczonego pisma. Atoli teraz właśnie zaiaśniał najczystszem światłem rozum gramatyków w stylu lapidarnym. Autor Mowni dowiódł, iż „Nawóyka“ znaczy ni mniéj ani więcéj, tylko grzésznicę, to jest kobiétę, która wiele nawoiowała. Święta Jadwiga (mówi) czy to przez pokorę, czyli może dla tego, że sama kiedyś „nawoiowała“ nazywała siebie w modlitwie „Nawóyką“. Patrzcie, iak to pięknie i logicznie. I drugi wykazał dobitnie za pomocą niewiem już iakich wywodów, że Jadwiga i Nawóyka iest iedno i toż samo; tylko Jadwiga iest po gocku, a Nawójka po polsku. Panowie Macieiowski i Bartoszewicz umilkli. Bo gdzież sposób oparcia się takim argumentom? Była to Minerwa, która żywcem wyskoczyła uzbroiona na przeciw nim z głowy Jowisza.

Gdy to się działo, nasi gramatycy zostawali w pełni swojego szczęścia, podobni do owego doktora, który

wynalazł tam gdzieś lekarstwo na wszystkie słabości tak, że już niemiało być śmierci na tym bożym świecie. Mam o tém książkę przed sobą, która mieści piękną apostrofę. Zgadnijcie do kogo? do Eskulapa? Nie, Do Minerwy? Do czytelnika? Ej gdzież tam! Do poduszki. „O szczęśliwa poduszko, mówi na któréj spocznie głowa laurami uwieńczona! głowa gramatyków!“

Ależ o biedna dolo wielkich ludzi, którzy tyle cierpią dla sławy. Słuchajcie!

Są w Warszawie stare księgi, które się nazywają metryką koronną. Nieszczęście mieć chciało, że pan Wieczorkowski wziął je w ręce i wynalazł Nawojkę, żonę Macieja ze Służewa 1474. r. — Nawojkę, żonę Macieja z Bnina 1490. r. — Nawojkę z Koniecpola 1531. r. — Nawojkę żonę Koniecpolskiego. Teraz już wiecie wszystko.

Trudno tu co innego przypuścić, jak tylko to, że książka, o któréj mowa, należała była do iakiéjś kobiéty imieniem Nawójka [1]), a nie do św. Jadwigi, bo ta będąc Niemką nieumiała nawet po polsku. Sic transit gloria mundi.

Pan Wieczorkowski zburzywszy cały system derywacyi tyle ulubionéj od gramatyków litery „j“ przemawia do nich nakoniec temi słowy: „Wolno wam Panowie lubiącym snuć etymologiczne tkanki dowodzić wszystkiego. Będziemy was czytać; będziemy podziwiać głęboką erudycyą; będziemy unosić się nad zręcznością nakręcania dowodów, słowem, na wszystko się piszemy. Ale nie poświęcimy wam wolności niewierzenia w te wasze brednie“.

---

[1]) Nawój byłoto imię tak, jak było Borzywój, Sędziwój, Mściwój. Nawój Toporczyk kasztelan krakowski wspominany jest w historyi. Widoczna jest, że z męskiego wyrobiło się imie chrzestne kobiece. Bibl. War.

Te „verba veritatis“ pana Wieczorkowskiego są nietylko bardzo piękne, ale stały się razem bardzo potrzebne do zwalczenia błędu szeroko rozgałęzionego, względem owéj książeczki i z niéj przez Mownię rozwijanéj nauki, ponieważ ona w dziełach dydaktycznych w Krakowie 1849. r. — w Warszawie 1852. r. — w Wiedniu 1852. r. — we Lwowie 1853. r. za istotną książkę ś. Jadwigi poczytaną iest [1]). Uczony Miklosicz cytuje ją przy rozwiianiu nauki o nosowych samogłoskach, a na drugiem miejscu raduierad mówi, że Polak oprucz jednego „miauczę“ unika (meidet) dwugłoski. Bo iakże miał lepiéj wyrazić się w Wiedniu ten światły badacz słowiańskich narzeczy w obec Magistra nauk i nauczyciela literatury polskiéj, który pisze, że język polski niema dwugłoski czyli inaczéj mówiąc dyftongu?

Ja sam będąc na examinach synów moich w R. słyszałem w 1853. roku, jak na nich profesor wyższych klas gimnazyalnych przemawiał z wiarą niezachwianą w książkę ś. Jadwigi. Rozpisałem się nieco szeroko o tym epizodzie woiuiącéj pisowni, bo czas jest aby władza szkolna iéj koniec położyła.

Teraz powstaje mimowolne zapytanie, iakimżeto dziełem zniewalaią nas gramatycy do odstąpienia od zasad Kopczyńskiego i Sniadeckiego względem dyftongów? Kto ich upoważnił do przerabiania dzieł naszych klasyków nową pisownią? Sąli oni drudzy Karpińscy, Krasiccy i Sniadeccy? Nie i ieszcze nie; chyba weźmiemy to za ich zasługę, że każdy z nich dmie pełną gębą w trąbę patryotyczną. Narobili przeto, że użyię własnego ich wyrazu, zamętu niemało, ale pożytku dla języka nieprzynieśli.

Dziwić się zaprawdę potrzeba, i dziwić się będą na

---

[1]) **Vergleichende Gramatik der slavischen Sprachen von Fr. Miklosich. Wien, 1852. p. 53. 445.**

sze wnuki, iak można było zagmatwać jasne gramatyki zasady przez usunięcie dyftongów, i znowu dziwić się oni będą niepomału, ile potrzeba było wysileń, aby powrócić na prawą drogę.

Franciszek Miklosicz, sławny filolog słowiańskich narzeczy, którego dzieło osiągnęło główną nagrodę w akademii Wiedeńskiéj [1]), utrzymuje po kilkadziesiątletniéj pracy w swoim zawodzie, że starodawny w księgach świętych zawarty dyalekt stanowi środkowy punkt podpory dla żyiących narzeczy, który chociaż nie iest dla nich bezwarunkowym źródłem, iednak stanowi zawsze ich formę, a w niéj najgłówniejsze reguły, jakich dziś ieszcze trzymaią się ludy pochodzenia słowiańskiego. Przechodząc on wszystkie dyalekty, znajduie wszędzie dyftongi. Jeżeli przeto widzimy, że po iednéj stronie stoi odwieczna Greków powaga, nasi wzorowi pisarze, Miklosicz i zdrowy rozsądek, po drugiéj nasi gramatycy nowomodni z dyalektyką nastrzępioną subtelnościami, do któréj powinniśmy się przychylić? Ta sama okoliczność, iż tak długo pracując nie mogą się wydobyć ze swego zamętu, powinna była ich oświecić względem przyczyny złego, o którém mowa; a ta raz poznana, powinna była zaradzić wszystkiemu. Ależ gramatycy, którzy przez dwadzieścia lat nad iedną i tąż samą ideą pracowali, sąż oni w stanie poznać iéj nicość, albo iak Horacy mówi: „senes perdenda fateri?“ Przenigdy.

Autorowie z geniuszem piszą niemyśląc o nauce gramatyki tak, iak śpiewają słowiki nie znając reguł śpiewu. Są rzeczy w nauce ięzyka, które poza obrębem wszelkich więzów leżą, a temi są litery i ich brzmienia. Jak pierwsze dzielą się od wieków na spółgłoski i samogłoski, tak te ostatnie, gdzie się ich dwie albo trzy

---

[1]) **Vergleichende Gramatik der slavischen Sprachen von Fr. Miklosich. Wien. 1852.**

za iednym tchem wygłasza, stanowią dyftongi albo tryftongi, iako to: „miau“ „au“ „ia“ „ie“. Téj łatwéj i pojedynczéj zasady w gramatyce trzymali się Grecy i Rzymianie; z nią wzrośli nasi Skarga, Krasicki i Karpiński, téj reguły ja się uczyłem. I dobrze nam wszystkim z nią było. Teraz kiedy ją zarzucili z Osińskim, Felińskim i Mrozińskim gramatycy, wyrobili z naszéj pisowni budowę dziwnego kształtu, któréj iak wieży babilońskiéj dokończyć na fundamentach nowych nikt nieumie, albo ieżeli kończy, to się budowa sama wali. Nic dziwnego! Prometeusz zdobył ogień z nieba i ożywił nim człowieka, Epimeteusz chcąc naśladować brata, stworzył małpę.

Gramatyka powinna według przeznaczenia zawierać w sobie ięzyk jako fakt dany i skończony. Gramatyk zwraca uwagę na iego szyk, ale go niepoprawia; wskazuie reguły, ale ich nietworzy; przypomina co jest, ale nic nowego nieuczy, słowem, cała gramatyka spoczywa na zasadzie historycznéj. Gramatyk niestanąwszy sam w liczbie klasyków, ieżeli się posunie poza te granice, zrobi niezawodnie coś podobnego do utworu Epimeteusza.

Dyftong słowo od Greków przez wszystkie narody w Europie do gramatyki przyięte, znaczy dwugłoskę, czyli wygłoszenie dwu samogłosek iednym tchem sprawione. Jestto fakt gramatyki od kilku tysięcy lat w niéj trwaiący. Osiński zarzuca Kopczyńskiemu „iż nietłumaczy głębiéj teoryi polskich dyftongów [1])“. Kopczyński dobrze robi, bo same ucho ten fakt słysząc nie potrzebuie dowodu a priori. Godzi się iednak z tego względu o Grekach coś powiedzieć.

My, iak iuż się rzekło, przyięliśmy dyftongi od Gre-

---

[1]) Rozprawy i wnioski o ortografii polskiéj Warszawa. 1830. str. 146.

ków, a litery od Rzymian. Rzymianie przyięli tamte od Greków, ponieważ wedle historyi, i oni sami byli pochodzenia starogreckiego, czyli pelazgijskiego. Pierwotne to pokrewieństwo stało się daléj ściślejszém przez późniejszą kolonizacyę grecką.

Literaturę Homera, Demostenesa, Pindara nazywamy klasyczną, bo czuiemy iéj doskonałość, bo cały świat za taką ią uznaje. I o tém niemasz co rozprawiać. Ale warto iest zapytać się coto iest, co ią zrobiło klasyczną? Na to odpowiadam: Niebo i ziemia.

Niebo i ziemia połączyły się z sobą aby synów Hellady niepospolitymi ludźmi utworzyć. Jéj przestrzeń zawiera wszystko, co tylko człowiek od ojca swojego, Boga, mógł był w upominku odebrać; niebo łagodne, powietrze czyste, ziemię błogosławioną, owoce rozliczne. I aby miał nad czém siły swoje rozwiiać, kazała natura otoczyć go rzekami, morzem, górami i ludami różnego plemienia. Jakoż te siły ciała i duszy tak rozwinął, że żaden naród niezrównał mu w starożytności.

Zdumienie porywa nad wszechstronnością ducha greckiego, który wszystkie kierunki literackiéj czynności nietylko wykształcił, ale nadto tak uporządkował, iż we wszystkich piśmiennictwa rodzaiach dosięgnął szczytu doskonałości. Ta ścisła i bezprzykładna wynikłość, ten organiczny ład i porządek, ta logiczna normalność, z iaką rozwiiał się stopniowo u Greków rodzaj z rodzaiu, sposób ze sposobu, objaw życia wyższego z niższego zadziwia dotąd każdego, kto umie czuć to wszystko. Tak więc starożytność helleńska przedstawia się nam iakby wzór plastyczny iednym odlewem wykonany, albo iakby dzieło wyrozumowane w myśli iednego mistrza, według którego narody, państwa i literatury powinny się rozwijać na tle przyrodzonych swych zasad. Naród grecki iest pod tym względem iedyném w historyi zjawiskiem. Nikt go nieprzewyższy, nikt mu niezrówna,

ile kroć chodzi o to, aby słowo w szatę dźwięku przyodziać, albo ciało uidealizować [1]). I dlatego nazywamy język, literaturę i wszystko, co on wykonał, normalnem, wzorowém, klasycznem.

Literatura rzymska inaczéj łaciną zwana, iest odblaskiem greckiéj, któréj życiem i zasobami ona się zasilała i w Swojéj dążności kierowała. — Z tego względu nazywamy i tę klasyczną, to jest wzorową.

Polska literatura będąc najprzód ludową, stała się następnie na łacinie rozwiiana narodową, uszlachetniona iak Macieiowski mówi, przez pracę najznakomitszych pisarzów piętnastego i szesnastego wieku. Uczeni pisząc w duchu czasu obiawiali dążenie wieku; a daiąc poznać stan umysłowego wykształcenia reprezentowali razem naukowość swoiego czasu. Tak za polotem myśli szedł iezyk, a gdy się wzięli do pisania Polacy, sprawiły dzieła genialnych autorów, że małopolskie narzecze wzięło górę nad innemi. Bielscy, Kochanowscy, Klonowicz, Gabriel, Leopolita, Skarga, Karpiński, Krasicki są w pisaniu wzorami naszymi, którym mógł kto sprostać ale ich dotąd prześcignąć niepotrafił.

Pominąwszy kilka ustalonych już poprawek, ortografia powyższych klasyków jest zawsze jeszcze ortografiją naszą. „Najpowszechniejszą była (powtarzam ieszcze raz) w dziełach Karpińskiego i Krasickiego, które Dmochowski wydawał“. Tak jest. Gdziekolwiek podobny wydawca takich autorów znajdzie, tam nieprzyjdzie na myśl gramatykom „dłubać“ około ich pisowni. Jak długo to „dłubanie“ trwać u nas będzie, niewiadomo. W stanie w iakim rzeczy i osoby dziś znajduią się, chociaż możemy obok powyższych klasyków kilka no-

---

[1]) Prelekcye o filologii klasycznéj przez A. Małeckiego Kraków. 1851.

wych imion postawić, to zawsze niedostawać nam będzie wydawcy Dmochowskiego.

Dzień ostatni maja 1860 bieżącego roku jest terminem, przed którego upływem mają być przysłane elaboraty ubiegaiących się o nagrodę za napisanie najlepszéj gramatyki. Ortografia każdego języka stanowi zasadniczą część jego gramatyki, a tu w danym razie tem mocniéj ta część spaja się z całością, im większy wpływ wywiera znoszenie dyftongów tak na ortografią, iak i na reguły syntaktyczne. Wyglądamy przeto z niecierpliwością rozwiązania będącego w mowie przedmiotu.

Program konkursu ze Lwowa d. 10 lutego 1859. r. ogłoszony chce mieć nową gramatykę dla niższych szkół realnych i gimnazyalnych, ponieważ tym, które mamy *„brakuje powiększéj części głębszego poglądu w istotę języka polskiego, jakiego jedynie badanie gramatyki staropolskiéj mowy i na drodze porównawczego śledzenia z pokrewnionych języków słowiańskich nabyć można“* [1]). A zatem żądany elaborat ma być podobny do porównawczéj gramatyki Miklosicza z tym jeszcze dodatkiem, że *„przy zestawieniu reguł składni należy czynić porównanie z językiem niemieckim i łacińskim“*.

Czyli taka gramatyka dla szkół niższych jest koniecznie potrzebna? niewiem. Czyli ucznie ze szkół niższych powinni nabyć *„głębszego poglądu w istotę języka polskiego?“* i tego niewiem. To wiem, iż to zadanie iest niełatwe dla obojéj strony. Obawiam się, ażeby, gdy konkurenci zaczną wykładać w elaboratach „istotę języka“ niedowodzili nam przez regóły, że widzieli jego „ducha“, że się wpatrywali „w całkowite mowy naszéj oblicze“, że „zgłębili na wylot język polski“, jak o tém

---

[1]) „Czas“ z d. 15. lutego 1859. r. Nr. 36.

wszystkiem mamy przekonywające dowody w gramatykach niedawno wydanych.

Kto zgłębił istotę wiedzy iakiéj, tego nazywamy uczonym. Uczony musi naukę fachu swego przez studya metodyczne przywłaszczyć sobie. Gruntowność, wyrazistość i porządek z łatwością zjednoczony, są znamionami charakterystycznemi, które wiedzę uczoną od pospolitéj odróżniaią. Liebig, ten sławny profesor chemii, ten mistrz nauki za najtrudniejszą dotąd mianéj, wykłada ią dziś z iasnością do poięcia każdego ucznia stosowną i dodaie [1]), że dzieła natury daleko prościejszemi drogami wywołuje Bóg na iaw, aniżeliśmy sobie dawniéj wyobrażali, i że tę poiedynczość powinniśmy właśnie za największy cud iego mądrości uważać. Jakoż we wszystkiém, co iest piękne i wzniosłe nieżnajdziesz niepotrzebnéj plątaniny. Zdrowy rozsądek przewodniczy wszystkiemu. Niedosyć jest być uczonym w swoim zawodzie, mówi pięknie Stanisław Kostka Potocki, potrzeba być do tego ieszcze rozsądnym człowiekiem.

Ja zachęcony taką nauką i wsparty radą zdrowego rozsądku pytam dzisiejszych gramatyków, dlaczego kiedy pisze się dobrze „siadaj" ma być źle „iadaj?"

Dlaczego „ciasno" jest dobrze napisano, a „iasno" ma być źle napisano?

Dlaczego „mniéj" jest dobrze napisano, a „iéj" ma być źle napisano?

Dlaczego słowo: „mię" albo „Namiestnik" piszemy temi literami dobrze, a „ie" albo „iest" ma być źle, że nie przez „j" napisano?

Dlaczego „zieleni" jest dobrze napisano, a „ieleni" ma być źle napisano?

---

[1]) Die Thier-Chemie von J. Liebig. Braunschweig 1843.

Dlaczego „siodła“ „wiodła“ jest dobrze napisano, a „iodła“ źle, że nie przez „j“ napisano?
Dlaczego „niucha“ jest dobrze napisano, a „iucha“ źle, że nie przez „j“ napisano?

We wszystkich tych słowach przedstawiaiących różne przedmioty, niedzieie się z literami nic innego, tylko że w następnych pierwsza odpada. W takiem położeniu rzeczy, kiedy niemasz błędu pisowni w słowach: „niucha“ i „siadaj„, to go niemasz i w „iucha“ i w „iadaj“. A idąc daléj, ieżeli pierwsza sylaba ostatniego słowa „ia“ napisana jest dobrze, to musi być podług wszelkich regół zdrowéj logiki i „mo-ia“ a nie „moja“ pisano.

Otóż sam naturalny skład liter z ich wygłoszeniem okazuje w powyższych przykładach, iż sylaby „ia„ „ie“ „io“ „iu“ iednakowo iak dyftong „miau“ pisane niepotrzebuią ogonów. Tym sposobem wracamy mimo wiedzy do dyftongów tak, iak tam ktoś gadał mimo wiedzy prozą podług wszelkich reguł Kwintyliana.

Alboli może staje się doskonalszą mowa i ortografia polska, ieżeli odstępuiąc od klasyków, będziemy pisali „jéj“ „ja“ „jimiona“ „żmije“ „pojezyja“ „Galicyja“ „Francij“ „Rossji?“ Czyli tu kształt liter, czy prozodya z wymową, czyli może szyk gramatyczny słów przy ich spadkowaniu zyskuią co na ogonach jotowych?

Tak każą pisać gramatyki w 1852. roku dla szkół we Lwowie, i w Warszawie wydane. Sądząc po analogii regół niemi objętych, zdaie się, że nauka Mrozińskiego i Osińskiego względem przemiany litery „i“ w znamię w pewnem położeniu, każe przypinać ogony téj saméj literze „i“ w „siadaj“ pisząc: „jadaj“ po odsunięciu spółgłoski „s“.

Co Osiński o literze „i“ napisał, tośmy iuż czytali; co nasi gramatycy o niéj piszą czytajmy:

„Pamiętaj sobie! Kiedy cienkie „i“ stoi przed jaką samogłoską, to ono jest wtedy samogłoską; tylko „znaczkiem“, aby poprzedzaiącą spółgłoskę cienko wymówić“ [1]).

Mownia (co ma znaczyć gramatyka) w Warszawie 1852. r. wydana, uczy w §. 13. iak następuie:

„To *i* uważać należy za kreskę czyli znak zmiękczenia poprzedzającéj spółgłoski, i moglibyśmy, gdyby się wszyscy zgodzili, tak pisać: „ćebe“ „pękńe“, co znaczy: ciebie, pięknie“.

Pan nauczyciel literatury i ięzyka polskiego pisząc o głosce „j“ mówi, że ta wątłego ciała ale silna swoim duchem, otrzyma prędzéj czy późniéj zwycięztwo nad swoimi przeciwnikami (§. 39.), a usprawiedliwiając dalsze iéj użycie tak kończy:

„Jeżeli dla zadosyć uczynienia rodzie (sic) języka używamy spółgłoski „j“ na przegradzanie samogłosek w tych wyrazach, w których nigdy jéj niebyło, dla czegóż mamy ją znowu wyrzucać z wyrazów, których jądro składa? Chyba dla tego, aby kaleczyć wyraz i robić go ułomnym, aby stawić obok siebie samogłoski; a tym samym aby gwałt duchowi języka zadawać i samym sobie się przeciwić. Czyliż i w tym razie mamy pokazać, że zły nałóg więcéj ma u nas wartości, jak najświętsza prawda? Dajmy się nareszcie przekonać i piszmy: moji, goji, szyji, żmij“.

„Ah! qu'on ne peut inoculer le sens commun“ napisał był przed laty jeden z akademików francuzkich w podobnym do naszego sporze. Wszakże zaszczepić go iak ospę niemożna, ale westchnąć do niego wolno.

---

[1]) Wstępna gramatyka polska. Lwów 1852. §. 15. Nauka języka polskiego. Lwów 1849. str. 17. Towarzystwu naukowemu akademii Jagiellońskiéj w Krakowie poświęcona.

O zdrowy rozsądku! O z darów nieba użytecznych najużyteczniejszy! Gdybyś ty z nami przebywał, niegonilibyśmy za kołyszącemi się w powietrzu światełkami i niewpadali w zdradliwe doły, których wszędzie pełno, a zatem i na polu literatury.

FRANCISZEK RYCHLICKI.

UKRYTY KLEJNOT.

DRAMAT W 2. ODDZIAŁACH.

MIKOŁAJA KARDYNAŁA WISEMANNA.

TREŚĆ.

Podczas panowania Cesarza Honoriusza (395 — 423 po Chr.) i papieztwa Inocentego I, żył w Awentynie wielce zamożny rzymski patrycyusz, nazwiskiem Eufemian. Miał syna jedynaka Alexia, którego wychował w zasadach prawdziwéj pobożności i w ćwiczeniach pokory, i uległości nieograniczonéj. Gdy Alexius doszedł już lat młodzieńczych, głos boży rozkazał mu dom rodzicielski opuścić, i pędzić żywot biednego pielgrzyma. Posłuszny temu wezwaniu udał się do Edessy, gdzie lat kilka przebywał, przez które po całym świecie na próżno go szukano. Nakoniec ten sam głos boży kazał mu wrócić do domu, którego Alexius usłuchawszy powrócił i był jako obcy przyjęty we własnym swoim domu.

Tu zostawał tyle lat, co i w swéj pielgrzymce, pogardzany i znieważany od swoich własnych sług aż do chwili śmierci. Wtedy dopiero głos we wszystkich kościołach miasta słyszany upewnił, że on był świętym, a kartka jego ręką pisana wyjaśniła jego historyą.

Ponieważ liczba lat, które Alexius w obu epokach swego życia strawił, od różnych pisarzy, różnie jest podawaną, ograniczyliśmy ją w tym dramacie w całość na 10 łat to jest po pięć na każdą epokę.

Początek i koniec drugiéj epoki to jest czas, który Alexius po swoim powrocie w domu rodzicielskim przepędził stanowią treść utworu; tak więc między Iszym a IIgim oddziałem upływa lat 5. W Rzymie stoi do dziś dnia piękna Kaplica na Awentynie, Świętego Alexiusa: tłumy spółmieszkańców odwiedzają ją w dzień jego uroczystości. Bazylika Śtéj Sabiny stoi tuż obok Kaplicy Świętego Alexiusa.

OSOBY:

Eufemian patrycyusz rzymski.
Alexius pod imieniem Ignotus jego syn.
Karinus młodzieniec.
Prokulus rządca domu Eufemiana wyzwoleniec.
Euzebiusz niewolnik w IIgim oddziale wyzwolony.
Bibulus, *Dawus* } niewolnicy.
Ursulus, *Werna* } czarni.
Gannio żebrak.
Poseł cesarza.
Niewolnicy czarni i biali.
Dwóch zbójców.

Rzecz dzieje się na pagórku Awentyńskim w Rzymie, częścią przed domem Eufemiana; częścią na podworcu i przedsionku tegoż; za panowania cesarza Honoriusza Igo, papieztwa Inocentego Igo.

ODDZIAŁ I.

SCENA I.

Otwarte miejsce na pagórku Awentyńskim; po jednéj stronie domy, po drugiéj drzewa. W tyle drzwi od domu Eufemiana. Pod drzewami ławka marmurowa.

ALEXIUS.

(Występuje znużony niosąc płaszcz; na chwilę siada — potem zaraz powstaje).

Dotąd jak myślę spełniłem do słowa
Wyraźny rozkaz niebios; on był taki:
„Gdzie ci zabłysła pierwsza światłość dniowa
„Tam ci ma zgasnąć — gdzie się twoje oczy
„Otwarły — niech je cień śmierci tam mroczy“.
Ten głos tajemny od Boga był taki.
Stęskniony kończąc już pielgrzymkę swoję
Znowu więc w miejscu upragnionem stoję —
Awentyn dumnie w niebo się wypręża
Stopą skalistą depcząc Tybru fale,
Co się tak wiją w namiętnym zapale
Jak szyja nogą deptanego węża.
Wzgórze Sabiny! — tam na każdy listek
Słońce rozsiewa ze skarbnicy złotéj
Rozrzutnie skarb swój — poranku klejnoty.
Włochy, Awentyn, Rzym — i ten świat wszystek
Jestże znaczeniem tajemnego słowa? —
Więc je spełniłem i dopiąłem celu; —
Lecz może aby posłusznym być Bogu
Trzeba iść daléj — stanąć na tym progu —

(patrzy się na dom Eufemiana).

Aby tam umrzeć? — bo tu światłość dniowa
Najprzód nie błysła — tum wziął pierwsze tchnienie.
To być nie może. Dziś pięć lat upływa
Gdym jak Abraham został powołany
Od łona ojca i matki kochanéj.
Jakżeż, rodzina moja nieszczęśliwa,
Jakżeż te lata spędza w utrapieniu,
Ileż tam cierpią w smutku i zwątpieniu?
Ty matko moja czy ty żyjesz jeszcze?
Twa siwa głowa drży z przestrachu jeszcze,
I drży twa ręka do błogosławieństwa
Cobyś je chciała złożyć na skroń moję,
Na skroń dziecięcia, na te skarby twoje
Co ci zginęły, choć w sercach rodzeństwa
I żal i pamięć po niem tkwią na zawsze?
Czy też niebiosa Tobie, najłaskawsze
Mnie tu na ziemi ukazują z góry
I strojną w szaty chwały i purpury
Śmiejąc się patrzysz w me szaty pielgrzymie?
Ojciec mój żyje, wiem — bo jego imie
W najodleglejszych wpisane świątyniach
Złotemi głoski ku czci i pamiątce
Tak, jak się w serca wpisują u ludzi
Ci — których cnota wdzięczność k'sobie budzi.
Lecz jak mi przed nim stanąć i zagadać
Gdyby mię poznał? — wszak oko ojcowskie
Umie przeczuciem tajemnice badać —
Ani go złudzą łachmany dziadowskie
Ani kij w ręku, ani nędzy bladość —
O! straconego ojciec pozna syna
Bo trudno dziecku ukryć serca radość —
Lecz co wyrzekłem — jestżem ja stracony?
Alboż nim byłem? — Jak serce spomina:
Niegdyś te drogie zamieszkując strony
Młody, bogaty, na licu rumiany

Nie za marnością światową goniłem —
Z kielicha życia rozkoszy nie piłem,
Lecz w sercu, w duszy byłem nie skalany.
O! mnie łzy tylko płynęły palące
I jęk pożerał serce bolejące.
On tylko jeden téj strasznéj godziny
Mógł mię ocalić w okropnéj zawiei
On — On, za którym w morzu Galilei
Jan Święty uczył nawrócone syny.
On mówił do mnie: „porzuć tę czerń kłamną,
„Porzuć to wszystko, i chodź tylko za mną". —
Lecz co to? brama otwarta od domu
Toż on! mój ojciec o wspierajcie Nieba!
By przenieść ciężar mych uczuć ogromu
Wiele wytrwania i łaski potrzeba!

(*Ustępuje na stronę*).

EUFEMIAN.

(*Wychodzi z domu, spostrzega Alexiusa*).

Żebrak! To dla mnie miłosierdzie boże
W tym dniu żałoby, smutku i spomnienia
To dowód łaski i litości może
Wszakże jałmużna jest ulgą strapienia.
O niech westchnienia i modły żebracze
W błogosławieństwo zmienią łzy tułacze.
Lecz cóż to: słyszę utrudzenia jęki
A on po żebrę nie wyciąga ręki.
Więc mi potrzeba przemówić do niego.

(*Do Alexia*).

Z szat twoich nędznych i z oblicza twego
Wnoszę — iż przyjmiesz jałmużnę odemnie?

ALEXIUS.

O! ja z radością wszystko to przyjmuję
Co tu ku sobie nas obowiązuje
Robiąc nas sobie dłużnemi wzajemnie.

EUFEMIAN.

(Wyjmuje woreczek — ale powstrzymuje się).

Lecz nie — ty złota tak nie potrzebujesz
Jak wypoczynku, przytułku, schronienia
Drogą snać wielce strudzonym się czujesz —
W bliskości nie masz miejsca do wytchnienia —
Przyjm je więc u mnie — mnie każdy gość drogi
Błogosławieństwo on wnosi w me progi.
Hola! hej — służba!

ALEXIUS *(wstrzymując go).*

Dobry Panie — proszę. . .

EUFEMIAN.

Ach przyjacielu — nie będziesz wydzierał
Pierwszéj pociechy w dniu mego strapienia
Ona tym modłom, które w Niebo wznoszę
Udziela świeżéj woni i natchnienia —
Przecież mi tego nie będziesz odbierał.

ALEXIUS.

Wonną ofiarę złożyłeś już jednę
Pierwsze twe słowo litość wymówiło
A mnie, by skrzepić cielsko moje biedne
Nie wiele — wcale nie wiele potrzeba
Ot tamto źródło — okruszyna chleba
I znów się będzie, jako dotąd żyło
A ten tu marmur szlachetny — to łoże,
Na którem kości strudzone położę.

EUFEMIAN.

Nie, przyjacielu — nie, tak być nie może
Nigdym tak nauk Mistrza nie pojmował

Aby przed mego pomieszkania drzwiami
Miał leżeć nędzarz okryty ranami
A ja bym hucznie strojny — bankietował!

ALEXIUS.

Ależ mój Panie, dla mnie dla pielgrzyma
Innego łoża oprócz ziemi, nie ma.

EUFEMIAN.

To tylko zwiększa to moje życzenie
Byś w moim domu miał dobre schronienie.
Zapewneś w twojéj dalekiéj podróży
Zwiedzał świętości i drogie pamiątki
Cudowne miejsca, świętych pańskich szczątki —
Powiesz mi — z serca posłucham najdłużéj.

ALEXIUS.

Jest co powiadać — i jam jest gotowy
Pobożnym chęciom uczynić zadosyć
Lecz późniéj.

EUFEMIAN.

O nie — ja muszę cię prosić
Aby to *teraz* było — ja na chwilę
Idę do świętéj Sabiny kościoła
Moja mię służba tam do Boga woła —
Za nim powrócę, pokrzep się na sile.

ALEXIUS (*d. s.*)

Nie poznał. Chwała — chwałać Panie w Niebie!

EUFEMIAN (*idąc ku drzwiom*).

Niechno tu który przyjdzie.

PROKULUS (*wychodzi z domu*).

Jestem Panie
Na twe rozkazy.

(*Patrzy się podejrzliwie i z pogardą na Alexia*).

EUFEMIAN.

To wkładam na Ciebie,
Byś pielgrzymowi temu dał mieszkanie
I żebyś jemu nieszczędził niczego
Przyjm go tem, co masz w domu najlepszego.

PROKULUS.

Stanie się jak chcesz (*do Alexiusa*) A zkąd to idziecie?

ALEXIUS.

Ze świętych Syryi powracam wybrzeży,
Wczoraj wieczorem stanąłem w przystani
Ostyi — a ztamtąd jak zapewne wiecie
Chcąc dziś być w Rzymie dobrze biedz należy —
Ja też śród chłodnéj nocy pośpieszałem
I dziś Awentyn, i Rzym dziś ujrzałem.

EUFEMIAN.

Zaprawdęć bardzo potrzebne wytchnienie.
Śpiesz się Prokulu, przyrządź mu schronienie.

PROKULUS.

Lecz niepodobna spełniać *tak* rozkay
Przyjąć tak łatwo nieznanego wcale.

(*Do Alexiusa*).

Czy w Syryi wtedy nie było zarazy
Gdyś do niéj przybył?

ALEXIUS.

Nie słyszałem. Ale
Ja sam zarazą jestem, co się szerzy
W pańskich pałacach z nędzarskiéj odzieży.
Dozwól mi panie niechaj w tych drzew cieniu
Pokrzepię siły w najmilszem wytchnieniu.

PROKULUS.

(Odprowadzając na bok *Eufemiana* — *Alexius* usuwa się).

Pozwolisz panie, że też wolno będzie
Słudze staremu, jak sądzę wiernemu
Powiedzieć jedno słowo po swojemu.
Trzeba być Panie ostrożnym w tym względzie
Takich włóczęgów w dom swój nie przyjmować
Może skraść, zabić lub spisek uknować —
Jeszcze to wraca z Syryjskich wybrzeży
Kędy zaraza — więc ją tu rozszerzy.

EUFEMIAN.

Przyjdzie dzień w którym ktoś powie do Ciebie:
„Ja byłem obcym — a ty mię przyjąłeś“,
Ten ktoś — co w nędznym prochu dziś się grzebie
Powie tak kiedyś bogaczu, do ciebie.

PROKULUS.

Ty bądź spokojny, tobie tak nie powie
Bo zanim taki dzień sądu nadejdzie
Ostatni szeląg z twéj skarbnicy wyjdzie —
Dwakroć większemu braknie bogaczowi
Jeśli tak szczodrze rozdaje jałmużny
I lada komu tak jak ty, usłużny.
Przebacz mi panie, są to szczere słowa
Dzień i noc o tem myśli moja głowa.

EUFEMIAN.

To myśl bezbożna — bo litość prawdziwa
Jak rak nie cofa szczodréj swojéj ręki —
Litość swych skarbów w ziemi nie ukrywa,
Uczynność — wszystkich winna koić jęki —
Ona stokrotnie, nagradza jak rosa
Którą na rolę zsełają niebiosa
By nocą — hojnym zyskiem kwiatom spłacić
To co w dzień mogły ze życia utracić.

PROKULUS (*niechętnie*).

No — to o jadło będę miał staranie.

EUFEMIAN.

Lecz i o łoże spoczynku.

PROKULUS.

Gdzież, — Panie?

EUFEMIAN.

Gdzie bądź — by tylko wprowadzon łagodnie
Zacny ten pielgrzym odpoczął wygodnie.

PROKULUS.

Panie, nie mamy izby innéj — tylko —

EUFEMIAN.

Którąż?

PROKULUS.

— Tę, którą przed pięcioma laty
Opróżnił. —

EUFEMIAN.

Nie, nie; téj nie wolno tylko —
Otóż go wprowadź do mojéj komnaty —
Tam — nie dam nigdy odpocząć nikomu
Póki me dziecię nie wróci do domu.
Biedne me dziecię!

ALEXIUS (*w uniesieniu*).

Jeszcze raz Cię proszę.

EUFEMIAN.

Dosyć już tego — idźże za mym sługą
I przebacz, żem cię zatrzymał tak długo;
Zbytnią grzecznością natrętnym się stałem. —
Jak ci na imię?

ALEXIUS.

Ignotus mój Panie.
Proszę cię pozwól, niech Ci towarzyszę
Do owéj pięknéj świątyni Sabiny —
Dziś tu dzień święty — jak o tem słyszałem.
O! błogosławion od pierwszéj godziny
I to w dwójnasób — bo ciebie spotkałem.
O weź mię z sobą!

EUFEMIAN.

Chodź, pochwalmy Boga!

(*Obaj odchodzą*).

PROKULUS.

Święty napozor służka — próżno chcesz mu kadzić
Wpijesz się w jego serce, wiem jak cię odsadzić.
Zdobędziesz tu przytułek, nie martwię się wcale
Szczęście potrwa sześć godzin — toć nie straszne żale.
Dobrześ zrobił, że się tu nieznajomym stałeś —
Będziesz nim — i zostaniesz, jakkolwiek się zwałeś.

SCENA II.

Przedsionek w domu Eufemiana. Po prawéj stronie sceny drzwi na ulicę; po lewéj wchód do pokoju — w głębi sceny maleńka izdebka z zamkniętemi drzwiami, nad nią schodki — na przodzie sceny stół suknem nakryty, spadającem aż do ziemi — za nim stołek.

BIBULUS.

(*Idzie od domu — ogląda się ostrożnie — potem zwraca się ku drzwiom*).

Wszystko w porządku! Chodźcie no tutaj. Jeszcze świeżego powietrza będziemy mieli z godzinkę.

URSULUS.

(Wychodzi z białemi i czarnemi niewolnikąmi, którzy się z bojaźnią oglądają w około, niosąc narzędzia domowe i ogrodowe, żelazne drzewniane, łopaty, łyżki, grabie, rydle, kopaczki itp. stawają w rzędy po obu stronach. *Bibulus* staje za stołem — za niemi wchodzi *Euzebiusz* z książką w ręku, spokojny; i stawa w głębi sceny).

I po cóż to właściwie wszystkich nas tutaj spędzono?

BIBULUS.

Zaraz się dowiesz.

DAWUS.

Poczekajno — nie ma trybuna [1]) żebyś mógł z niego twój języczek rozpuszczać — muszę ci go zrobić.

(*Obraca stołek, a Bibulus wchodzi na niego*).

No— otóż zrobiłem ci go ze stentorskiego krzesła [2]) — co się zowie karłem — patrzcie—no!

---

[1]) Trybuny. [2]) Senatorskiego.

BIBULUS.

Otóż teraz szanowni koledzy, przyszedłem tu z wami pomówić o różnych krzywdach, które nam wyrządzają. Pokrzywdzono mię ze wstydem; — rozumie się że ja myślę iż bezwstydnie, skoro powiadam że ze wstydem.

KILKU.

Jak to?

BIBULUS.

Jak to? Wsadzono mię na całą noc do dziury, do piwnicy i to zważcie dobrze, do suchuteńkiéj piwnicy z próżniusieńkiemi beczkami — z trupami, w których duch wygasł zupełnie; i całą noc gryzły mię muchy, i to wszystko za nic.

WSZYSCY.

A wstyd — wstyd!

BIBULUS.

I wy to zniesiecie? Zezwolicie na to, aby nasze prawa tak deptano nogami?

DAWUS.

Prawo? Przecieżeś chciał mówić o naszem bezprawiu, a teraz pleciesz tam coś o prawie! o czemże więc właściwie chcesz mówić.

BIBULUS.

Oj ty gapiu! Niewiesz to ty, że im kto więcéj ma bezprawia, tem też więcéj ma prawa? Za każde odniesione bezprawie musi mu być przyznanem jego prawo.

WERNA.

Pewno! Bibulus to wyraża dobitnie: wszelkie bezprawie jest prawem. Nie prawda?

BIBULUS.

A tak.

DAWUS.

Więc każde prawo jest bezprawiem.

BIBULUS.

A oczywiście. To jest najnowomodniejsza ekonomia polityczna.

WERNA.

Więc prawo i bezprawie to wszystko jedno! Hurra!

WSZYSCY.

Hurra! hurra!

BIBULUS.

Więc ja miałem prawo, widzicie — nie, to było bezprawie— Jakżeż mam powiedzieć?— to było albo prawem mojem albo bezprawiem, według tego, jak się te rzeczy uważa, mnie na całą noc do dziury wpakować; tym zaś sposobem na mnie, popełniono bezprawie wbrew waszym prawom.

URSULUS.

Aleś ty nam jeszcze nie powiedział zaco dostałeś się do dziury?

DAWUS.

Tak, tak — objaśnij nam, jakeś to ty za nasze prawo, cierpiał bezprawie?

WSZYSCY.

Powiedz-no, jak to było?

BIBULUS.

Dwie albo trzy głupie butelczyny wina wypróżniłem za zdrowie naszego pana.

WERNA.

A — jak widzę, to było bezprawie, żeśmy w tém nie wzięli udziału. To było naszém prawem — a tyś nam wyrządził bezprawie. Na dół z nim!

WSZYSCY (*napadają na niego*).

Tak — nadół z nim!

EUZEBIUSZ
(*zbliża się śmiejąc i wstrzymuje ich*).

Stójcie przyjaciele, dosyć tych niedorzeczności! Cała rzecz ma się tak: on rzecz pańską zhaczył, a pan go uraczył. To się nawet składa ze sobą, a to, co się z sobą składa, to się też do siebie nada.

BIBULUS.

No — już ja ta wolę, żeby się składało, aniżeli żeby się miało nadawać. Ale pomówmyż teraz rozsądnie: dość już tych błazeństw.

DAWUS.

W rzeczy saméj, Bibulus ma słuszność, pomówmy rozsądnie.

EUZEBIUSZ.

Dobrze. Pozwólcież mi więc spytać się, czy wino nie jest własnością naszego pana?

KILKU.

Naturalnie.

EUZEBIUSZ.

A więc on ma prawo wlać je do beczek i trzymać w piwnicy.

BIBULUS.

A tak, dotąd, dopóki my się do niego niedobierzemy.

EUZEBIUSZ.

Zamknijno gębę, aż wypowiem wszystko! Więc gdyby jak to czasem bywa, zlano wino w skórę owczą, czy nie może też wtedy zamknąć go do swojéj piwnicy?

KILKU.

A pewno, dla czegóżby nie?

EUZEBIUSZ.

Albo jeżeli wino będzie w ośléj skórze — czy jest w tém jaka różnica?

KILKU.

Naturalnie, że nie ma żadnéj różnicy.

EUZEBIUSZ.

Otóż tedy macie historyę!

WSZYSCY.

Jak to?

EUZEBIUSZ.

Proszę was, czy to nie wszystko jedno, jeżeli wino będzie wlane w skórę Bibulusa, albo też jakiego innego osła? Pan ma prawo każdą razą zamknąć je w swéj piwnicy? A właśnie tak też zrobił.

WSZYSCY.

Brawo! brawo! Bibulus osieł!

BIBULUS (*w gniewie zapalony*).

Już ja ci za to odpłacę kiedyś, Euzebiuszu! słuchajcie mię, moi przyjaciele! To wszystko pochodzi ze złéj logiki, mówię wam, jeżeli kto przypuszczenia stawia przed wnioskami! Ja was dopiero nauczę prawdziwéj logiki! Powiedzcież mi, do czego służy nam wino?

URSULUS.

Aby je pić — toć przecie widoczna!

BIBULUS.

Ano więc, spytajcież się tego mędrka, na cóż wino ma być do picia, kiedyby go pić nie można?

WERNA.

Bardzo dobrze!

BIBULUS.

Więc widzicie, ja, pijąc wino, zrobiłem z niego taki użytek, na jaki jest przeznaczonem, ergo, miałem zupełne prawo.

DAWUS.

Tém samém zupełne bezprawie.

BIBULUS.

Ale w gruncie rzeczy wino jest tak samo mojém winem, jako też winem mojego pana. Któż mu dał ziemię? Któż mu dał winnicę? To natura zrobiła, i natura tak dobrze mnie dała, jako i jemu. W obec natury jesteśmy wszyscy równi.

WSZYSCY.

— Pewno, że jesteśmy!

BIBULUS

Dla czegóżby więc wino nie miało tak do mnie należeć, jako do pana?

EUZEBIUSZ.

Boś go nie robił.

BIBULUS.

A i on też nie.

WSZYSCY.

Słusznie, bardzo słusznie!

BIBULUS.

Jeden człowiek nie ma prawa do owocu jaki praca kilkudziesięciu wydaje. Skoro jesteśmy wszyscy równi, jasna rzecz, że wszystkie rzeczy muszą być wspólne. Precz z temi sztucznemi różnicami już raz! Dla czegóż to jeden ma nosić sukno cienkie, a drugi grube? Jeden pije faleryjske wino, a drugi sabińskie? No — odpowiedźcież na to?!

EUZEBIUSZ.

Oho — Bibuluszu, stajesz się zjadliwym. My chcemy być równi; a dla czegóżto ty masz stać na krześle a my wszyscy na ziemi? Ty jeden masz paplać, a my wszyscy przysłuchiwać się tobie.

KILKU.

Daléj, daléj!

WERNA (*wywijając grabiami*).

Więc równouprawnienie idzie na wielkie rozmiary, — to mi się podoba! Jeszczeby tylko temi grabiami trzeba powyrównywać. Lecz jakże tu wszystko na równe części podzielić? żeby to tak pięknie i równo było — jak grządki w ogrodzie.

BIBULUS.

Bardzo łatwo. Tyś powinien wziąść ogród. Euzebiusz bibliotekę i tak daléj.

EUZEBIUSZ.

Slicznie dziękuję. A z czegóż bym żył?

BIBULUS.

Co? Małoś to razy mówił, żeś nowe książki „*połykał*“, żeś tam w jakiéj nowéj poezyi doszedł „*smaku*“, żeś się „*do sytu*“ napracował w naukach; że ta lub owa książka napisana jest „*z dobrym smakiem*“, inna znowu że jest tylko „*czystemi zléwkami*“? Mówiłeś nie raz że jeden pisarz umie dobrze „*pieprzyć*“ drugi „*zaprawiać*“, trzeci znowu jest „*chudy*“ i że biedaczysko „*posiekane zostało*“ od tych kannibalów, jak krytyków nazywają, lub że go „*zjedli na potrawkę*“.

DAWUS.

Brawo! On więc już ma swoją porcyę; teraz drudzy!

BIBULUS.

Z drugiemi tak będzie: Strygil dostanie konie i stajnie. Fumatus kuchnie, a ja — piwnicę.

URSULUS.

Byłoby to wszystko bardzo ładnie: ależ jakże my dojdziemy do naszych własności? Czy to Eufemian odda tak dobrowolnie swoje.

BIBULUS (*ociągając się — z rozwagą*).

Tak co do tego, nie jestem jeszcze zupełnie ubezpieczony. W ciuciubabkę grać — to głupstwo. Nie widzę innéj drogi, jak tylko dom podpalić.

URSULUS.

A tobyśmy nasz cały majątek zniszczyli!

BIBULUS (*n. s.*)

Wyjąwszy piwnicę. (*głośno*) Ale toby była najszlachetniejsza droga, po którejbyśmy swoje prawa przeprowadzili.

DAWUS.

Doprawdy żeby było ładnie — i do tego co za piękny dowcip?

EUZEBIUSZ.

Milcz, Bibuluszu, milcz, zadaleko posuwasz twoję głupotę. Toby było haniebnie i niewdzięcznie. Moi przyjaciele i koledzy, wy nie będziecie takiemi szaleńcami, żebyście o takich bezwstydnych zamiarach myśleli.

URSULUS (*ponuro*).

Dobrze, to zrobimy sobie choć tę przyjemność, że komu innemu dom podpalimy. To by było przecie jakąś nagrodą za to, że nas tu tak depczą nogami.

KILKU.

Czyjże dom?

BIBULUS.

Ta myśl mi się podoba. Wiécie, będzie to niejaką rozrywką w naszéj nędzy. Zobaczmy tylko! Jest tu

dość sąsiadów w około: ich domy i służba muszą się mieć dobrze: lecz jest tam kilku między niemi, którym to rozrywką będzie, skoro ujrzą płomienie. Nie mamyż więc prawa, sprawić im tę przyjemność?

EUZEBIUSZ.

Co mówisz?

BIBULUS.

Co mówię? mam do tego 50 powodów. Najprzód oni, tak jak i my, nie dostają wołowiny: a powinni mieć wołowinę.

WERNA.

Powinni — powinni kapitalny powód! Cóż więcéj?

BIBULUS.

Potem oni nie są takiemi ludźmi jak my. Żaden z nich nieśmiałby mówić o tem, iżby chciał dom swego pana podpalić — my śmiemy.

EUZEBIUSZ.

I wcale nam tu dobrze.

BIBULUS.

Dobrze i swobodnie. To wypływa z ducha czasu, Panie Euzebiuszu. Stokraci nas nie obchodzą, my jesteśmy Dömonokraci. Nie prawda?

WSZYSCY.

Tak tak.

BIBULUS.

My się nie troszczymy ani o pana, ani o rządzcę. Czy nie tak?

WSZYSCY.

Bynajmniéj.

BIBULUS.

Wyrzucimy ich wszystkich za okno?

WSZYSCY.

Dobrze, dobrze — wyrzucimy.

BIBULUS.

Najprzód Prok — Cyt! otoż on idzie.
(*Zeskakuje ze stołka i kryje się pod stół*).

PROKULUS (*wchodzi wszyscy zadziwieni*).

Hej! panowie, a cóż to ma znaczyć to dziwne zbiegowisko w przedsionku? Dla czegóż to wszyscy tutaj jesteście, a nie przy robocie? No! odpowie który? Dopieroście tak krzyczeli.

DAWUS.

Oto, widzi pan, dziś jest smutna rocznica w rodzinie naszego Pana, więceśmy uznali za stósowne zrobić pewien rodzaj zgromadzenia, aby o naszym smutku pogadać: i tak jakoś w rozmowie wyszło na nasze bezprawia.

PROKULUS.

Wasze bezprawia?

WERNA.

Trzeba Panu wiedzieć, że to znaczy: na nasze prawa.

PROKULUS.

Jeszcze lepiéj. Pewno to pomysł Bibulusa: zdaje mi się, że tu i jego głos słyszałem. Gdzież on?

DAWUS.

Zabrał nogi zapas, ale nie może być ztąd ani o ćwierć mili.

PROKULUS.

Już my go pokrzepimy, a wtedy otrzyma słuszną nagrodę.

BIBULUS

(*wygląda z podstołu i pięścią zamierza się na* Prokulusa *który go nie widzi. Wszyscy się śmieją.*)

PROKULUS.

Czego się śmiejecie? Odechce mu się śmiać, zaręczam wam. Ale, żeście tu tak ładnie zgromadzeni, powiem wam coś nowego.

WSZYSCY.

Cóż takiego?

PROKULUS.

Otóż to, że się wasz Pan dał okpić żebrakowi.

WSZYSCY.

Żebrakowi?

PROKULUS.

Tak — żebrakowi: człowiekowi, który się nazywa pielgrzymem. On tu ma wejść w dom, tu spać i co najlepsze jeść i pić. Tak pan rozkazał, i dla tego musicie mu jak najsumienniéj służyć.

URSULUS

Fe! a to czysta hańba!

DAWUS.

My tego nie zrobimy! To uchybia naszéj godności.

WERNA.

Takich rozkazów nie słuchamy, to do nas nie należy.

PROKULUS (*z ironią*).

Jednak bezwątpienia wszystkobyście uczynili coby mu życie zrobiło znośniejszém.

DAWUS.

A pewno!

PROKULUS.

Gdy zaśnie będziecie przestrzegali, aby mu żaden szmer nie przeszkodził.

WERNA.

Rozumie się.

PROKULUS.

A gdy mu wasz Pan pośle przysmaki jakie, to nie odniesiecie na stronę, ale postaracie się aby się do woli najadł i nasycił.

URSULUS.

A dla czegóżby nie?

PROKULUS.

On musi mieć całkiem przyjemne życie, nie prawda?

WSZYSCY.

Spuść się tylko na nas, kochany Panie. Żebrak! tego tylko brakowało?

PROKULUS.

Dobrze więc. Zdaje mi się, że w tym względzie jesteście jednéj myśli.

DAWUS.

Delikatnéj myśli, jak to pan mawiasz. Lecz gdzież on ma mieszkać? Musimy przecie wiedzieć, gdzie się mamy cicho zachowywać.

PROKULUS (*wskazując izdebkę*).

Tam pod schodami.

WSZYSCY.

Ha, ha, ha!

DAWUS.

Toż dopiero będzie miał widno!

WERNA.

A jakie świeże powietrze!

URSULUS.

A co miejsca do przechadzania się! — ledwie się obróci.]

PROKULUS.

Tem prędzéj zabierze się w drogę.

EUZEBIUSZ (*n. s.*)

Ten taki sam, jak Bibulus. (*głośno do Prokula*) Czy nasz Pan tak kazał obchodzić się z jego nowym przyjacielem?

PROKULUS.

Stul gębę, ty niewolniku! Zawsze mówisz, choć cię nie pytają. — No więc cóż, moi ludzie, rozważyliście, co się ma stać z żebrakiem?

WSZYSCY.

Już.

PROKULUS.

Jak ma spać?

WSZYSCY.

Wiemy, Panie.

PROKULUS.

Jak ma jeść?

WSZYSCY.

Wiemy, Panie.

PROKULUS.

I jak go możemy się pozbyć?

WSZYSCY.

I to wiemy.

Chór niewolników.

Nie dajmy mu spocząć nie dajmy wytchnienia,
Niech siły zakrzepną znękane —
Z ołowiu przykryciem, poduszką z kamienia
Mieć będzie swe łoże posłane.
Nie jemu zajadać przysmaczki, łakocie,
Ni miłym się poić napojem
Co zbierzem okruchów pogniłych na błocie
Tem głód — i pragnienie ukojem.

SCENA III.

BIBULUS (*wychodzi z pod stołu*).

Tak mi dobrze! żem sobie trochę posiedział pod stołem! Wstrzymałem się trochę od napoju. Doprawdy, gdyby nie ten nałóg przeklęty, z którym się już od dzieciństwa oswoiłem, to jabym był najsławniejszym przywódzcą partyj w całém państwie. I żeby nie Euzebiusz, który zawsze najlepsze rzeczy psuje, byłbym już te przewrotne pałki namówił do podpalenia domu Eufemiana. Tym sposobem nasyciłbym się zemstą i zemknąłbym potém w zamieszaniu. Niejeden, którego początki daleko mniéj zapowiadały, doszedł przecie po téj drodze do rzymskiéj purpury.

Więc jedno już się nie udało; muszę ja przecie na prawdę jakiś plan ułożyć. Tysiąc razy powtórzę, że się ze mną haniebnie obchodzono aż do wczorajszéj nocy. O! ta wczorajsza noc! To już przebrało miarę! Ta hańba jedynym tylko środkiem zmytą być może. W głębokiéj samotności tego brudnego więzienia — w piekle téj wrzącéj pieczary — w ciemności téj nocy bez końca — jeszcze więcéj — w goryczy zatrutéj duszy — w wściekłości zwątpienia, śród zgrzytania zębów łaknącem garłem, ja, Bibulus przysiągłem zemstę, okropną zemstę! Muzyką cymbałów brzmiały na rękach moich żelaza i okowy krępujące moje członki, gdym te palące słowa wyrzucał z ust moich, — a echo sklepienia, jakby ponurym jękiem lub śmiechem — niewiem doprawdy co to było, moję przysięgę odbijało.

Kiedyż to, który Azyata taką przysięgę odwołał? Kiedyż zapomniał téj słodkiéj, drogiéj myśli, téj jedynéj rozkoszy niewolnika — jaką jest zemsta!

Eufemianie — nie będziesz już moim panem! Aleź Eufemian jest zacnym panem — uprzejmy i miły — A kiedy tak pocóż zezwala na to, żeby mię codziennie bito jak psa — jak psa na łańcuch wiązano?

Ale tego wszystkiego narobił ci Prokulus, biedny Bibuluszu. — A któż to jest Prokulus? Co to jest Prokulus? Jestto tylko ramię swego Pana — jego ręka — jego narzędzie. Co mi tam po tem, ja w to niegodzę— ja chcę serca, duszy. Ja nie potrzebuję nikogo pozbawiać ręki lub nogi: ja zabiję — zniszczę!

A jak Prokula zabiję, czy mi będzie lepiéj? Pięćdziesięciu innych zostanie, gorszych od niego, i gotowych zająć jego miejsce. Otóż n. p. idzie już jeden.

EUZEBIUSZ (*wchodzi*).

Dobrze że cię spotykam; jest tu coś dla ciebie.

(*daje mu pismo*).

BIBULUS.

Co to jest? Wiesz, że nie jestem uczonym.

(*Próbuje czytać*).

EUZEBIUSZ.

Cała rzecz da się powiedzieć w paru słowach. Prokulus dowiedział się o twéj ostatniéj sprawie, i donosi ci tutaj, żeś z liczby domowych niewolników w liczbę wiejskich został przeniesiony; i że masz dzisiaj zaraz popołudniu udać się Ardei i tam zacząć swoją robotę.

BIBULUS (*przestraszony*).

Do Ardei! Właśnie w najokropniejszym skwarze lata! Do najniezdrowszego miejsca w całém państwie rzymskiém, gdzie najsilniejszy w jednym roku umrzeć musi, jeżeli tam nie urodzony. Ja mam tam iść — i do tego

eszcze z hańbą i wstydem wygnany z domu, aby może w miesiącu już umrzeć, jak żaba w mule z którego słońce pożywne soki wysuszyło. Czy Prokulus rozważył to wszystko?

EUZEBIUSZ.

Niezawodnie; i nie tylko wie o tem, ale wyraźnie tak wymyślił, żeby ci to było łagodniejszą karą, aniżeligdyby cię na śmierć bić kazał, na coś właściwie zasłużył: ty wkrótce tam skończysz, a my się niepoprawionego zuchwalca pozbędziemy.

BIBULUS.

Lepiéj umrzeć od niedźwiadków, aniżeli być skazanym na męczarnie długiego konania od jadowitych owadów i palącéj gorączki. Czy wie o tém Eufemian?

EUZEBIUSZ.

Jeszcze nie; ale on bezwątpienia zatwierdzi wyrok. Bądź zdrów, Bibuluszu, i znoś mężnie to na co najsumienniéj zasłużyłeś.

BIBULUS.

Bądź zdrów — ty cymbale! bądź zdrów — nie! Tak daleko jeszcześmy nie zaszli; wprzód muszą w tym domu skarżyć się na śmierć kogoś innego, zanim ja się spotkam ze śmiercią. Któż mię zgani, jeżeli starać się będę uniknąć tak okrótnego losu? Lecz teraz zachodzi pytanie, kto tu jest winnym? Prokulus. Czyby więc nie powinna moja zemsta jego dosięgnąć? Lecz cóż — jak umrze Prokulus — Euzebiusz będzie jeszcze okrótniejszym. Ale gdy Eufemian umrze, ha! to wcale co innego. Wiemy, że on w ostatniéj swéj woli wszystkich niewolników wolnością udarował. Kiedy umrze, ja będę wolny!

Ale czy to będzie szlachetnie, uczciwie? Ej, co tam! Kto był kiedy dla mnie szlachetnym lub uczciwym? I ja mam rozpoczynać od cnoty? Precz z takiemi myślami — nie!

Lecz trzeba bardzo ostrożnie tę rzecz ułożyć. Zawsze to coś strasznego: morderstwo, chociażby nawet z zemsty pochodziło. Trzeba je okryć zasłoną — powinno się zdawać nawet i temu, który je popełni, że było tylko przypadkiem. Ha! szczęśliwa myśl! wiem już doskonałą drogę, a zarazem — Ten pielgrzym, co ma tam spać— (*wskazuje na izdebkę*) wybornie! cóż może być lepszego? Niema wątpliwości, że on ma coś takiego w sobie; a oprócz niego nikt spać nie będzie w bliskości. Nie będzie wcale trudno zrzucić podejrzenie na niego.— Brawo! Bibuluszu jesteś mądrym łajdakiem! Jednym pociągiem uwolnisz się od kary, pozyskasz wolność — i dokonasz zemsty!

Zemsta, w sobie już słodka, słodszą mi się zdaje,
Gdy to, co mnie korzyścią, im się zgubą staje.

SCENA IV.

Wzgórek Awentyński.

GANNIO

(*w łachmanach — z torbą dziadowską drżąc staje*).

Mądry to był ten stary poeta, zdaje mi się że go Enniuszem nazywają — który te wiersze napisał:

Najlepszy stan w świecie nędzarza,
Bo gdzie się tylko obróci,
Tam kości strudzone rzuci,
Rad z tego co się nadarza.

A ponieważ i ja do tego zaszczytnego klubu należę, muszę więc korzystać z mego przywileju (*siada i ociera*

czoło). Sześć mil przegnałem aby tu dzisiaj stanąć w tym błogosławionym dniu — w domu zowią go dniem najboleśniejszym; zdaje mi się że to z powodu szczodrych jałmużn, które w tym dniu rozdają; to sprawia dużo boleści chciwym służebnikom.

(Bibulus niepostrzeżony wchodzi).

Zresztą za moję pilność i trudy będę dobrze nagrodzonym; gdyż najpierwszy i najwcześniéj jestem w tém miejscu. Zdaje mi się, że mię tu żaden z naszego klubu nie wyprzedził; mogę więc spodziewać się najtłuściejszych kąsków!

BIBULUS *(zbliżając się).*

Oj zmyliłeś się, stary chłopcze.

GANNIO.

Dzień dobry, Bibuluszu. Coś to ty powiedział?

BIBULUS.

Że cię tu już jeden wyprzedził, a lepszy jest od ciebie i podkopał dołki pod tobą: jestto młody żebrak, jakim ty nie jesteś — piękny żebrak, jakim ty nigdy nie byłeś — cnotliwy żebrak, jakim nigdy nie będziesz. On był tu dziś rano, kiedy nasz pan pierwszy raz z domu wychodził, wśliznął się natychmiast w jego łaskę i jest już zaproszony w dom nasz, będzie tu jadł, pił i spał — rozumiesz — u nas w domu. Już wydano rozkaz, żeby wszystko najlepsze dostawał. To cię też już ze wszystkiém prześcignął.

GANNIO *(wściekle)*

A łajdak! Wydarł mi prawo pierwszeństwa, prawo że tak powiem pierworodztwa. Każde słowo powiedziane

na jego pochwałę będzie kolcem dla mnie, sztyletu ciosem. Gdzież on jest?

BIBULUS.

Oto idzie tu z panem.

(Kryją się na stronę — Eufemian z Alexiusem *rozmawiając przechodzą i wchodzą do domu).*

GANNIO.

Aha — idzie tu. A gładki, zwinny i filuterny rywal!

BIBULUS.

Rywal? Jakto, ty jeszcze nie widzisz, że on u pana jest już zupełnie jak w domu?

GANNIO.

Widzę — widzę.

BIBULUS.

Przynajmniéj z łaski Pana niezawodnie cię już wypchnął.

GANNIO.

Oj widzę, gdybym tylko tego łajdaka mógł —
(robi giest zabícia.)

BIBULUS.

Pst! My tu wszyscy tak go znieść nie możemy, jak i ty.

GANNIO.

Cieszy mię to. Lecz jakżeby się go można pozbyć?

BIBULUS.

Gannio, ty sprzedajesz — już wiesz, co?

GANNIO.

Trucizną na szczury? (*Bibulus skinął*) O mam ją zawsze przy sobie.

BIBULUS.

A skuteczna pewnie?

GANNIO.

Jak najpewniejsza.

BIBULUS.

Jakże ją trzeba zadawać?

GANNIO.

Wsypiesz szczyptę proszku do szklanki — to jest niby do naczynia z którego szczury pić mogą; a kto — to jest niby który szczur napije się z tego kropelkę, w okamgnieniu zginie bez ratunku. Bez rozlewu krwi, ledwie będzie miał czas pisnąć; ty mię rozumiesz, ja mówię o szczurach.

BIBULUS.

Naturalnie. Ej jabym sobie życzył pozbyć się tu kogoś.

GANNIO.

Szczurów, chciałeś powiedzieć. Uważajno, że ja tylko o szczurach mówiłem. Kto inny zupełnie mię nie obchodzi. (*wydobywa pudełko z torby*).

A w cóż to weźmiesz?

BIBULUS

(*szukając w kieszeni wyjmuje papier, który mu dał Euzebiusz*).

W to, będzie dobrze. Czy dość tyle?

GANNIO

(*wsypuje trochę prosaku na papier.*)

Wystarczy na 150 szczurów.

BIBULUS.

No to - toż samo, co jeden żebrak.

GANNIO.

O tém nic nie wiem. Lecz spodziewam się, iż o *nim* już nic słyszeć nie będę. (*odchodzi*).

BIBULUS.

Oj stary błaźnie! Myślisz, że ja narażę swą szyję, aby ciebie od twych nieprzyjaciół uwolnić? Ja mam daleko wyższe cele: Los najszlachetniejszego patrycyusza z Rzymu leży na tym papiérze. Ale szkoda czasu! (*odchodzi*).

SCENA V.

Przedsionek. Stół bliżéj jednéj strony tak że widać drzwi pod schodami.

EUFEMIAN i ALEXIUS (*rozmową zajęci wchodzą*).

EUFEMIAN.

Czyś też ty w twojéj pielgrzymce przypadkiem
Nie spotkał kiedy jakiego młodziana
Coby Aleksiem zwał się, lub czyś miana
Nie słyszał tego?

ALEXIUS.

Imię nie jest rzadkiem —
Lecz gdybyś mi go bliżéj mógł określić
Mógłbym się z znaków szczególnych domyślić.

EUFEMIAN.

Niestety oprócz smutnego zdarzenia
Bliższego o nim nie wiem określenia.
Z świetnéj on bardzo pochodził rodziny
Lubion od wszystkich bo był syn jedyny —
W zbytkach chowany, miał dziedzicem zostać
Ogromnych skarbów. A taką miał postać,
Jak szlachetnego malują anioła
Który czystością serca i słodyczą
Do serca ludzi w imię Boga woła.
Przecież nam życie przepełnił goryczą —
Gdy go nam ten sam, który mieszka w niebie.
Który go zesłał, odwołał do siebie.

ALEXIUS.

Czy umarł?

EUFEMIAN.

Gorzéj — stokroć jeszcze gorzej,
Z rodzicielskiego domu znikł bez wieści
Nie pomny, że tam z przesytu boleści
Serca pękały na grom woli bożéj.
W łzach się najdroższa matka rozpływała
A i w skonania chwili na jéj wardze
Co już półzmarłem wstrząśnieniem zadrżała
Ostatniém słowem było imie jego. —
I dziś rocznica właśnie dnia owego
Pięć lat minęło, téj bolesnéj skardze
Temu strapieniu ojca nieszczęsnego.

(*patrzy się z uwagą w Alexia.*)

Zda mi się wiekiem był ci równym prawie
Cokolwiek może wyższym był w postawie —
Nie — nie, zupełnie i wzrostu był twego.

(*Alexius usiłuje się usunąć Eufemian zatrzymuje go silnie i patrzy mu w oczy*).

I wżrok twój, wżrok mi przypomina jego
Taki był jasny, łagodny, niewinny
Lecz na obliczu on był krasy innéj
Twarz białą miał, jak frygijskie marmury
Poprzeciągane żyłkami purpury.
Ale i jemu jak tobie w podróży
Spadnie z oblicza krasa świeżéj roży.
I twarz okrągła pewno się przedłuży.
I tyś zapewne wyglądał inaczéj
Nimeś wdział na się ten ubiór żebraczy.
Ach on wyglądał tak miło, tak rzewnie
Ja bym z tysiąca rozpoznał go pewnie.
I ty już płaczesz i ty mój pielgrzymie —
Za te łzy twoje przyjm ojcowskie dzięki
Lecz powiedz że ci znane jego imie.
I choć nadzieją ukój starca jęki.

ALEXIUS.

Tak drogi ojcze! przebacz to nazwanie
Boś ty tak zacnym, litościwy Panie
Obudzasz we mnie bolesne spomnienia —
Tak — czekaj.

EUFEMIAN.

Wiesz co — o mów mów na Boga!

ALEXIUS.

Boję się — wieść ta, która ci tak droga
Zbyt mało będzie miała pocieszenia.

EUFEMIAN.

O mów — mów tylko!

ALEXIUS.

Jak spominam sobie
Lat temu może cztery lub pięć będzie
Posłańcy z Rzymu w zbroi i żałobie
Z hojnemi dary szukając go wszędzie
W Edessie byli także goniąc za nim.

EUFEMIAN (*z westchnieniem*).

A więc to wszystko? — Powrócilić oni
I nie przywieźli nic z swojéj pogoni,
I nie przywieźli — i smutek ojcowski
Sroższemi tylko powiększyli troski —
Lecz choć się serce od zwątpienia chwieje
Stroskany bólem przecież mam nadzieję —
U stołu miejsce wciąż się dlań nakrywa,
I jego łoża nikt z nas nie używa —
Z równą radością i z równą wygodą
Przyjmiem go sercem, niech tylko przybywa!
Czy w dzień czy w nocy Nieba go przywiodą.

ALEXIUS.

Zaprawdę ojcze miłość taka święta
Nie trać nadziei nie trać jéj do końca
Bóg miłosierny on o tych pamięta
Których nadzieja pokrzepia gorąca.
Miéj ją, miéj, syn twój zapewne powróci.

EUFEMIAN.

Czy ty w to wierzysz, czy też mowisz na to,
Abyś pocieszył ojca, co się smuci?

ALEXIUS.

Nie karą miłość twoję lecz zapłatą
Bóg ci nagrodzi.

EUFEMIAN.

Co, co, miłość moję?
Cóż to za miłość?

ALEXIUS.

Miłość gościnności
Czemuż, gdy anioł tak chętnie tu gości
Czemuż by syn twój nie wszedł w progi twoje?

EUFEMIAN.

Drogi Ignocie! dzięki za to słowo
Bodajby ono w prawdę się zmieniło —
Teraz mi przebacz, że ci się na nowo
Spytam o twoje rodzinne nazwisko.
To mi jest obcem, choć tyś już tak blisko.
Powiedz gdzie miejsce twego urodzenia,
Gdzieś spędził chwile swéj pierwszéj młodości?

ALEXIUS (*d. s.*)

O Boże — Boże! dodaj wytrwałości!

EUFEMIAN.

Lecz nie — z méj strony zbyteczne zachcenia —
To inną razą powiesz mi; dziś tobie
Trzeba spoczynku — nie będęć go burzył
Ot idzie Prokul on ci będzie służył
Bóg z tobą synu! (*odchodzi*).

ALEXIUS.

Chwała Panie Tobie
Już pierwsze przeszło, a to co zostaje
To wszystko teraz łatwem mi się zdaje.

(*Prokulus* wchodzi niosąc potrawy i napoje).

PROKULUS.

Zdaje mi się, żeś ty bardzo zmęczony, panie Pielgrzymie. Twój pokój już gotowy; lubo nie tak się stało, jak'em sobie życzył.

ALEXIUS.

Każda dziura, każdy kącik jest dla mnie dostatecznym.

PROKULUS.

Ja to już wiedziałem, że tak powiesz, i jużem cię dla tego naprzód wziął za słowo. Bo widzisz, choć ten dom jest duży, ma bardzo wiele mieszkańców.

ALEXIUS.

Niezawodnie, lecz proszę, nie mówmy więcéj o tem.

PROKULUS.

Kilka pewnych pokoi nie wolno wcale użytkować; zjeżdżają się zresztą często niespodziani przyjaciele z licznym dworem — a są to ludzie znakomici, bogaci, rozumiesz? porządni.

ALEXIUS.

Proszę cię, oszczędź sobie tych wymówek. Mnie wszędzie dobrze.

PROKULUS.

Ja bo przypuszczam, że ty potrzebujesz wypoczynku na kilka godzin, a potem znowu sobie pójdziesz w pielgrzymkę, maleńka więc izdebka i niekoniecznie pyszne łoże może ci będzie dosyć?

ALEXIUS.

Dosyć mi jaki kącik, dobry Panie.

PROKULUS (*wskazując izdebkę*).

A więc może będzie ci dobrze tu odpocząć?

ALEXIUS (*śmiejąc się*).

O dosyć — to pałacem będzie dla mie.

PROKULUS.

Tu masz trochę do pokrzepienia sił: życzę ci miłego spoczynku.

(*Odchodzi*).

ALEXIUS.

A kiedy do snu zamkną się powieki
Nie będzie-ż sen ów spoczynkiem na wieki?
I ja dopóki sen mi ten nie minie
Mam serca mego jeszcze nie otwierać,
I dusza moja tam w bożéj krainie
Będzie dopiero plony swoje zbierać?
Tak tak podobnoś. Toż mój dom ojcowski
Krótkie w nim chwile rozkoszy przeżyję,
Tu mi ostatnia godzina wybije
Muszę być gotów na każdy głos boski.
W lepszym dziś ręku, niśli ręka moja
Los mój spoczywa = Boże w twojéj pieczy
I śmierć i żywot położon człowieczy —
Niechaj się dzieje święta wola twoja.
Więc niech modlitwa sen pobłogosławi
Czy on przed życiem, czy śmiercią mię stawi.

O Panie stworzeń! myśmy wszyscy twoi
Śpiąc i czuwając, żywi i umarli
Igra łagodnie w świętéj ręce twojéj
Naszego życia struna, aż zabrzęknie
Ostatnią, głuchą nutą — i rozpęknie.

I wtedy znowu z pod Twéj świętéj ręki
Budzą się na niéj innych uczuć dźwięki.
Dziś ją całuję w pokorze i cześci
Ach ona struny na harfie méj duszy
I do miłości, lecz i do boleści
Naciągła, że mi o mało nie pękły
Taką okropną nutą bólu jękły.
Przestrój tę nutę, niechaj z pod Twéj ręki
Zagra mi słodszéj rozkoszy piosenki.

(*Klęka*).

Z nędznego prochu obrałeś o Panie
To nędzne ciało na duszy mieszkanie.
I na Twój obraz stworzyłeś człowieka —
Dziś on rozkazów Twojéj woli czeka
Lub go zachowaj, lub rozsyp w powietrzu!
Mnie dozwól spocząć obok ojców kości
Rzuć między ciała grzeszników nicości
Na pożywienie daj mię robakowi
Lub na pożarcie daj mię sokołowi.
Niech za to dusza ma przeistoczona
Gorejąc wzleci do Twoich jasności
Niech jako perła w morzu Twego łona
Spadnie na głębie najświętszéj miłości
Na niezmierzone — nieograniczone
Ja ją ukryję, ale jéj nie zgubie
Niech on ją pozna — lecz niech wytrwa w próbie.

(*Wchodzi do izby i zamyka drzwi za sobą*).

SCENA VI.

BIBULUS.

(***Wchodzi: niesie talerz z potrawami i kubek z napojem wszystko ustawia na stole; w prawéj ręce flasza***).

Za kilka minut nadejdzie Eufemian na swoją zwykłą przekąskę. Znajdzie ją na swojem miejscu. Napój wyda mu się smaczniejszym, zaprawniejszym jak zwykle —

i potem umrze. Co za łatwa i przyjemna śmierć! (*uderzając się w piersi*). Precz z mojéj piersi wy szczekające psy! Cicho, ty ryczący wężu sumienia! Zapóżno przychodzicie — napój już zaprawiony a nieszczęsnéj trucizny wyciągnąć już nie można. A potem myśl o Ardei — jeszcze dziś popołudniu! masz tam umrzeć jak wściekły pies z zapienioną paszczą, albo jak żmija w rozżarzonych piaskach. Nie! nie osłabnę! To, co chcę dzisiaj zrobić jest zbawiennym środkiem na wszystkie moje cierpienia, jestto najłatwiejsza droga, po któréj dopnę swych celów: i to jest ów cały morał, któregom się nauczył w dniach powierzchownéj cnoty!

Poszukajmyż już raz naszego pielgrzyma (*wydobywa papier i zagląda drzwiami*). Mocno śpi! jak zabity. (*Wchodzi i po chwili wraca*). Nikogo nie widziałem, co by tak mocno spał. Papier leży tuż obok jego łoża. (*Wlewa z flaszki do kubka*). Mogę powiedzieć, że napój stał tu chwilę, i że naturalnie ja nie mogę być za niego odpowiedzialnym. Otóż i pan. — O Nieba! chciałbym, żeby to już było przeszło! Lecz muszę być pod ręką, abym pierwszy, zrobił hałas w domu.

SCENA VII.

Tamże.

EUFEMIAN.

(*Wchodzi drzwiami od ulicy*).

O tak, ten gość mi się bardzo podoba —
Głos jego miły, oko i osoba
Ten sam mi obraz przed duszę sprowadza
Którym ukochał niegdyś. — I on zdradza
Synowską miłość ku mnie, serce swoje
Napełnia czuciem na zgryzoty moje. —
Ach pragnę.

(***Bierze kubek i myśli go zanieść do ust w tem z pokoiku, którego drzwi się otwarły zabrzmiał głos***).

ALEXIUS.

Strzeż się Eufemianie!

EUFEMIAN.

(Przestraszony odstawia kubek).

Czy wyobraźnia poigrała zemną?

(Ogląda się).

Nie ma nikogo — to było złudzenie.
Czuję pokusa panuje nademną
Jak nad owemi z Emaus chłopcami —
Nakłonię gościa aby został z nami
I jako syna przyjmę go do siebie.
Ach pali!

(Bierze kubek; — ten sam głos).

ALEXIUS.

Strzeż się Eufemianie!

EUFEMIAN *(stawia kubek).*

Mam się strzedz, czego? zwykłego napoju?
Nie! — znam ja głos ten, to głos Alexiusa
Daleki ciałem w grobowym spokoju
Ostrzega z góry, że tu jest pokusa,
Co się z mych cierpień szydersko urąga
I biedne serce do grzechu pociąga —
Gani mię za to, że miłość nie trzyma
Serca na wodzy; chciałem wziąść pielgrzyma
Na jego miejsce *(z mocą)* Nie, synu nie — dziecie,
Nie zrobię tego. Lecz czemuż tak skrycie
Przemawiasz? czemu w postaci właściwéj
Przed twym się ojcem nie ukażesz żywy.
Lecz gdy mię słyszysz — a więc słuchaj — proszę
Ja twoje zdrowie tym kielichem wznoszę.

(Podnosi kielich do góry; a w chwili gdy go chce wychylić, wpada Alexius ze swéj izby i wyrywa go z rąk jego).

ALEXIUS.

Wstrzymaj się, nie pij, to zatruty trunek!

EUFEMIAN (*woła*).

Hej ludzie moi śpieszcie na ratunek!

Prokulus i niewolnicy występują na scenę, Alexius wydziera z rąk Bibulusa flaszę i stawia ją na stole. *Alexius* w środku *Eufemian* po prawéj stronie. *Prokulus* i *Bibulus* po lewéj, reszta po bokach sceny.

PROKULUS.

Ach panie, powiedz co się tutaj stało?

EUFEMIAN.

Okropna zdrada — nie — zdrada to mało
Zabójstwo! napój w kielichu zatruty.

PROKULUS.

Któż to powiedział?

ALEXIUS.

Ja!

PROKULUS.

A zkąd wiesz o tem?

ALEXIUS.

Każda kropelka trucizną się sączy.

PROKULUS.

Ty Bibulusie, tyś napój przyprawiał
Mów, lub nikczemny, życie twe się skończy.

BIBULUS.

Kiedym ten kielich na stole ustawiał
Był taki czysty jak rosa niebieska,
Jak niewinnego niemowlęcia łezka.
Lecz skorom odszedł, co się tutaj stało
Tego ja nie wiem kto tu co przyrządził.
Niechaj sam powie, kiedy się wydało.

PROKULUS.

Więc ty nam powiedz, kogobyś ty sądził
Sprawcą téj zbrodni

BIBULUS.

Kto ją odkrył — tego.
Zkądżeby wiedział, że tu jest trucizna
O jest lecz właśnie na języku jego
Którym twe serce chciał zatruć tą wieścią —
Niech że dowiedzie.

PROKULUS

Każdy słuszność przyzna.

EUFEMIAN.

Prawda dowodu nie mamy żadnego.

ALEXIUS (*wyjmuje papier*).

Macie tu dowód! Tom znalazł u siebie
To mi do łoża zostało wrzucone
Gdym złożył do snu ciało utrudzone.
Czy znasz to pismo? (*do Prokula*).

PROKULUS.

Litościwe nieba!
To rozkaz, który przed godziną może
Bibulusowi posłałem o! Boże!

EUZEBIUSZ (*zaglądając*),

Jam go zanosił.

EUFEMIAN.

I jakże opiewa?

URSULUS.

To mi się zdaje trucizna na szczury.

BIBULUS (*n. s.*)

Oj dałem sobie, tak to głupcom bywa.
(*Głośno*) Ze zbójców jestże nie złodziejem który?

WSZYSCY.

A widzieliśmy.

ALEXIUS.

(*Bierze próżny kubek i nalewa weń z flaszy*).

Nie o tem tu mowa.

(*Podaje mu kubek*).

Masz wypij, tylko w oczach twego Pana.

PROKULUS.

Tak wypij.

BIBULUS.

Jakżeż zdrada ukarana.
Ginąć więc u nóg Twoich o mój Panie
O miéj nademną biednym zmiłowanie.

EUFEMIAN.

Nieba! więc prawda — więc to Tobie dzięki
Łaskać to wielka!

PROKULUS.

Panie! niech z twéj ręki
Należna kara dosięgnie zbrodniarza
On godzien śmierci, zwiążcie go.

WSZYSCY (*rzucają się na niego*).

Tak panie!

ALEXIUS (*wstępując między nich*).

Panie — niech czyn twój twą wdzięczność wyraża
Żem cię ocalił, ty mi jego daruj
Lub lepiéj, twemu synowi ofiaruj.

EUFEMIAN.

Nic ci odmówić dziś nie jestem w stanie.

ALEXIUS.

A mnie w nagrodę —

EUFEMIAN.

Żądaj wszystkoć zrobię.

ALEXIUS.

Daj mi twój worek.

EUFEMIAN.

Co? więc marne złoto?

ALEXIUS.

Nigdy tak złota nie życzyłem sobie
Jak teraz — teraz zaklinam cię o to.

EUFEMIAN (*zdziwiony daje mu worek*).

ALEXIUS (*do Bibulusa*).

Masz, weź to — i ztąd natychmiast uciekaj
Jest w porcie Ostyi okręt z Palestyny
Tam spiesz! i módl się i tam łaski czekaj
Tego, co śmiercią wszystkich zmazał winy.

(*Bibulus odchodzi*).

EUFEMIAN.

Teraz Ignocie jam twoim dłużnikiem
Choć ci się z długu nigdy niewywdzięczę
Tyś mię wybawił przed własnym nędznikiem
Wszystko — więc tobie, tak wszystko zawdzięczę
Cokolwiek w mojém tu życiu uczynię —
A więc co moje, niechaj będzie twojém
Tyś panem odtąd nad majątkiem moim.
Zezwól na prośbę moję boć przysięgam
Że póki sama śmierć nas nie zawoła,
Nikt nas od siebie odłączyć nie zdoła.
Gdzież spoczywałeś?

PROKULUS.

Panie, racz darować, że z powodu reparacyi—i—i—

EUFEMIAN.

I co? mów!

ALEXIUS

Zupełnie jestem zadowolniony z mego mieszkania.

PROKULUS.

Bo to ten młody pan życzył sobie mieszkania cichego, aby w niém mógł żyć samotnie — on jest pielgrzymem, panie. —

EUFEMIAN.

Gadaj mi wyraźnie, gdzieś go umieścił?

PROKULUS *(pomięszany za siebie wskazując).*

Tam, Panie.

EUFEMIAN.

Jakto? więc to psie schowanie
Dałeś gościowi memu na mieszkanie?
Takaż gościnność w mym domu się godzi
Pielgrzymom? wstydź się Prokulusie!

ALEXIUS.

Zważ przecie
Gdybym tu nie był, byłbyś w tamtym świecie,
Więc niech się w sercu twoim gniew nie rodzi.

EUFEMIAN.

Tak jest zaprawdę!

ALEXIUS.

Tutaj do około
Przy tobie przy mnie miejsce uświęcone.
A więc i jemu będzie przebaczone.
Ja tu zamieszkam — i jak Bóg powoła
Tu umrę.

EUFEMIAN.

Tobie muszę ustępować.
Ależ mi powiedz, co ci to mówiło
O tem nieszczęściu, które mi groziło
I czyj głos wołał, chcąc mię uratować?

ALEXIUS.

Kiedy nadeszła snu mego godzina
Który strudzone pokrzepić miał ciało,
Wtedy się oczom du zy méj wydało,
Że jakaś piękna istota koło mnie
Stoi, błyszcząca poranku ślicznotą
A purpurowe jej skrzydła jak złoto
Lśniły się jasno, rażąc wzrok ogromnie.
Cedrowe słońcem ozłocone drzewa,
Tak się kołyszą, gdy je wiatr powiewa
Jak kołysały się jéj skrzydła złote.
I mnie ruszyła leciuchném dotknięciem.
Powstałem. Wtedy z podłém przedsięwzięciem
Twój sługa walczył, i zwyciężył cnotę
I zbrodni swojéj idąc ślepym torem
Wrzucił ten papier oto tym otworem,
Zląkłem się: wstałem i czyu popełniony
Okropnéj zbrodni ujrzałem.

EUFEMIAN.

Ignocie!
Błogosławieństwo w dom mój weszło z tobą
Lecz któż jest ów duch? Czyś go także z sobą
Sprowadził, aby blasku dodał cnocie?

ALEXIUS.

O znam go dobrze to anioł pielgrzymi
Czuwa nad temi, co są gościnnymi.
Zważ to u siebie że czterech nam takich
Pomoc dodaje tutaj do litości,
A tam nagrodą jest naszéj miłości.
Pierwszy na srebrnych misach chléb podaje
Drugi z puharu złota nędzę koi
Trzeci przepyszną szatą nagie stroi,

Lecz wszystkich ręka jednoczy czwartego
Ręka anioła stróża gościnnego.
On diamentowym kluczem dom otwiera
Daje przytułek i ocala życie
I daje wszystko i jadło i picie —
W jego miłości wszystko się zawiera.
Z radością jemu inne duchy służą
On nie zazdrości, że jaśnieją złotem;
Kornie cześć Mistrza wszyscy razem wtórzą
Wiedząc że on jest ukrytym klejnotem.

KONIEC ODDZIAŁU Igo.

ODDZIAŁ II.

Między I a II Oddziałem upływa lat 5.

SCENA I.

Przedsionek — Eufemian *i* Euzebiusz *występują w płaszczach i kapeluszach podróżnych. Euzebiusz odbiera szaty i oddala się.* Karynus *ze złotą bullą na szyi* [1]) — *Pod schodami widać łoże wzniesione nad ziemię z jednego końca.*

EUFEMIAN.

Bardzoś się zmęczył mój drogi Karynie?

KARYNUS.

Nie ojcze kiedy tak cię nazwać mogę
Miła, przejażdżka w porannéj godzinie
Czarowną Tybru ukazując drogę,
Była uroczą. Te dworków marmury
Które odziewał Piniów cień ponury!
Listeczki cypru zaledwie drgające,
Co swym szelestem ciszy nam nie psuły. —
Jestże gdzie obraz jak ten uroczysty.
Ta cisza! tylko na powierzchni szklistéj
Okrętów dzióby lazur wody pruły,

---

[1]) Bulla jestto figurka zazwyczaj w kształcie serca lub wydrążonéj kulki, którą dzieciom zawieszają na szyi; u dzieci wolno urodzonych bywała powiększéj części złota, a składano ją na ofiarę Bogom wtedy, gdy jéj właściciel przywdziewał (toga virilis) mężczyzny szatę. (Porównaj Fabiolę 5. wydanie str. 8 i 18).

Jak w nocy letniéj robaczki świecące
Niby tonące, gasły, nie tonące.

EUFEMIAN.

A więc się rozgość w swoim własnym domu.
W nowéj ojczyźnie —

KARYNUS.

Zaprawdę, żeć ona
Piękna, lecz moją niezwać ją nikomu.

EUFEMIAN.

A wszakże jutro chwila wyznaczona
W któréj za syna ja przyjmuję ciebie.
Odtąd, co widzisz na około siebie
To wszystko twoje.

KARYNUS.

Lecz jakże mój Panie?
To być nie może, syn twój żyje jeszcze.

EUFEMIAN.

Ach ta nadzieja, którą się tak pieszczę
Teraz zagasła!

KARYNUS.

Dla czegóż to — ojcze!

EUFEMIAN.

Napróżno wszystkie kraje przeszukałem
Próżnom nagrody ogłaszał po świecie
Dziś tę nadzieję nawet postradałem
Że miłość dziecka, że wrodzony przecie
Ten pociąg serca, powróci mi dziecię.

KARYNUS.

Napróżną była twa nadzieja cała
Kiedy go boża wola zawezwała.

EUFEMIAN.

I Maryi także Syn najdroższy zginął
I ona także w strapieniu bolała
Lecz skoro trzeci dzień zgryzoty minął
Znalazł się — Marya dłużéj nie cierpiała.

KARYNUS.

Ojcze te krótkie dni bolesnéj troski
Wiekiem dla serca były Matki Boskiéj.

EUFEMIAN (*n. s.*)

Jakaż to mądrość w tém dziecku wysoka!

(*głośno*).

Moja nadzieja, już się wyczerpała,
Dla tego jutro niechaj z mego oka
Otrze łzy bolu i radość i chwała.
I na uczczenie téj uroczystości
Honoriusz przyjdzie we własnéj osobie,
Co najlepszego mam w swéj majętności
Z tego mu ucztę najwspanialszą zrobię.
W końcu muzyka zagra hymn radości
I pośród huku bębnów on sam ciebie
Uzna za mego dziedzica i syna.

KARYNUS.

A gdyby przedtém, niżli ta godzina
Przebrzmi wesoła, jak pieśń świętych w niebie
Gdyby Alexius sam się tutaj zjawił.

EUFEMIAN.

O nie, nie — nigdy, bo to być nie może —
O nie wywołuj złudnéj wyobraźni
Pięć lat nadzieją ten pielgrzym mię drażni!
Ten młody, święty, co w murach tych bawi —
Wszystko napróżno — boleść serce trawi
Dziesięć lat dosyć łudzić się nadzieją —

KARYNUS.

Powiedz mi ojcze, czy to w rzeczy saméj
Syn twój był takim, jak go opisują:
Łagodny, cichy bez najmniejszéj plamy
Taki więc, jako świętych nam malują?
Czysty na sercu, przed Panem pokorny
W wierze w miłości, we wszystkim wyborny?

EUFEMIAN.

O był tém wszystkiem, był sto razy więcéj.

KARYNUS.

Więc ja cię błagam teraz najgoręcéj
Zrób mię dziedzicem cnót twojego syna
Bo ja majątku jego nie przyjmuję
Bo syn twój żyje, i przyjdzie godzina,
W któréj powróci.

EUFEMIAN.

Ja cię nie pojmuję.

KARYNUS

O ten jest świętym, co go opisałeś.
A czy ty kiedy mój Ojcze słyszałeś,
By święty człowiek umierał bez wieści

Żeby się Kościół niedowiedział cały
Wiesz — żebrak Senvul w jakiéj umarł części [1]),
Chóry aniołów pieśni mu śpiewały
Kiedy w Klemensa świętego kościele
Umierał, w życiu cierpiąc nędzy wiele.

EUFEMIAN.

Jeźli to prawda, nie trzebaby jemu
Ani majątku ani próżnéj chwały.

(Euzebiusz wchodzi).

EUZEBIUSZ.

Przebacz! tam sługi twoje się zebrały
Chcąc złożyć korną cześć panu przyszłemu.

EUFEMIAN.

Wprowadź ich.

(Dawus, Werna i inni niewolnicy wchodzą i ustawiają się po obu stronach).

EUZEBIUSZ.

Panie wierni twoi słudzy
Pragną, po długiém z tobą rozłączeniu
Powitać ciebie i w szczerém życzeniu
Powiedzieć słowa szczęścia i rozkoszy.
Niech los szczęśliwszy tę chmurę rozpłoszy
Co domu twego szczęście zaciemniła —
Ufaj w los lepszy, i zapomnij bóle.

(na Karyna wskazując),

A ten kwiat życia, ta młodzieńcza siła
Niechaj wygładzi zmarszczki na twém czole
Które ci zima srodze nakreśliła.

---

[1]) Sty Grzegórz 4. 14.

KARYNUS.

Dojrzały owoc jesieni spadł z drzewa
Kwiat go wiośniany nigdy nie nagrodzi
Jam jest dziecięciem, w tych, co tak są młodzi
Męzkiego wieku cnota nie dojrzewa.
Dzięki wam bracia za dobre życzenia,
Że mię kochacie, proszę was o jedno
Nie każcie ust swych pochwałą pochlebną
Lecz idąc zawsze za głosem sumienia
Mówcie mi prawdę, choć będzie naganą.

WSZYSCY.

Brawo! brawo!

EUFEMIAN.

O przyjaciele dziękuję wam za to
Są to dowody, że wierzycie we mnie
A one tylko mogą być zapłatą
Uczuć, serc sobie życzliwych wzajemnie.
Niech się z was każdy tém usilniéj stara
Upięknić dzień ten, w którym w moje progi
Nieba sprowadzą wielkiego Cezara
Niechaj radosnym będzie dzień tak drogi
W którym nowego ogłoszą dziedzica
Słońce z za chmury niedoli przyświeca
I radość wraca w mego domu progi.

SCENA II.

ALEXIUS (*wchodzi, słaby pochylony — usiada*).

I długoż jeszcze o Boże mój długo,
Dźwigać mi przyjdzie to jarzmo żywota?
Pięć lat w tym domu jestem wiernym sługą —
W cichości pięciu lat płynie zgryzota

I przecież płynie szybkim prądem fali.
Dziś mi się zdaje jakbym widział w dali
Wodospad rączy, pod który sam biegnę
Lecz czy mą łodzią do niego dopłynę
Czy on rozbity, może tam polegnę
Druzgocąc łódź swą o głazów głębinę?
Lecz chociaż biegiem strudzony, się chwieję
Czuje w swéj duszy spokój i nadzieję.
I czuję w łonie swém serce bijące
Nadzieją tylko a nie trwogą drżące.
A zanim moje śmierć zagasi lica
Pragnę nowego li ujrzeć dziedzica.
Przed laty — jakżeż szybko czas się zwrócił
Jam wźrok ukradkiem na jego twarz rzucił
Był jeszcze dzieckiem lecz skronie i lica
Już najpiękniejszą jaśniały nadzieją.
Ieżli nie mylą pierwsze karty księgi,
Księga ta dziwnéj musi być potęgi.

(Euzebiusz *wchodzi niosąc półmisek*).

EUZEBIUSZ.

Spieszę cię ujrzeć drogi mój Ignocie
Jużem za tobą tęsknił po powrocie,
Aż mi pan dobrą sposobność nastręczył
Każąc mi odnieść tobie te potrawy;
Z jego to stołu. Aleś ty się dręczył
Znów jakimś smutkiem — czy strapieniem nowém
Czyś słaby?

ALEXIUS.

Owszem czuję się dość zdrowym.

EUZEBIUSZ.

Może, gdyśmy się z domu oddalili
Krnąbrni służalcy w czem ci dokuczyli?

ALEXIUS.

O nie — ja swoje pokalałbym wargi
Słowami na mój los bolesny, skargi —
Bo Pan mię zesłał tu do was na ziemię
Bym dźwignął na się jeszcze większe brzemię
Jak ten pustelnik co na puszczy siedzi.
Lecz koniec blisko.

EUZEBIUSZ.

Boże! cóż to znaczy?

ALEXIUS.

Wkrótce się dowiesz; powiedz mi coś raczéj
O tym młodzieńcu.

EUZEBIUSZ.

O Karynie?

ALEXIUS.

O nim.
Jest on dziedzicem godnym tego domu?

EUZEBIUSZ.

O najgodniejszym ile wnoszę po nim
Po Alexiuszu niebyło nikomu
Oddać zastępstwa i zacniéj i godniéj —
O ja mu ufam i ty sam to powiesz
Kiedy go poznasz i kiedy się dowiesz
Jak on gorąco pragnie mówić z tobą
Bo i on także w Azyi wychowany

ALEXIUS.

Więc go tu zaraz przyprowadź ze sobą

EUZEBIUSZ.

Idę.

ALEXIUS.

Tymczasem zaniosę Ganniowi
Moje łakocie, niech się on pożywi.

(*Kiedy to jeszcze mówi wchodzi* Ursulus *i idzie naprzeciw niego.* Euzebiusz *staje w przeciwległych drzwiach i przysłuchuje się niepostrzeżony téj scenie.*)

URSULUS.

Stój łotrze! gdzie to zmykasz z temi przysmaczkami? Zaraz mi to oddaj!

ALEXIUS.

Najchętniéj — proszę, przyjmij je odemnie.

URSULUS.

Przyjmować mam to, co jest mojém.? Co ty masz za prawo, nędzny przybyszu, wtrącać się do tego co słusznie i prawnie należy do służby? Ty mi tego nie darujesz, ja sobie sam biorę.

(*wydziera* Alexiowi *półmisek i popycha go tak silnie że ten na łoże tyłem się przewraca. Z natężeniem podnosi się* Alexius *i idzie na środek sceny. W téj chwili wchodzi* Karynus *z drugiéj strony od* Euzebiusza; *przeraża się widząc to nadużycie, cofa się jednak w głąb sceny i tam ukrywa się za filarem.* Euzebiusz *wpada i odbiera półmisek*).

EUZEBIUSZ.

Precz ty żarłoczny niegodziwy zwierzu
Czego się dotkniesz to wszystko pokalasz —

(*odpycha* Ursula, *na drugą stronę sceny, że ten potyka się o* Prokula, *który właśnie co wchodzi; potem stawia miskę.*)

PROKULUS.

Ho, ho! niewolniku!

URSULUS.

Euzebiusz mię popchnął na Ciebie, mój Panie, miskę mi odebrawszy, którą chciałem zanieść Ganniowi według rozkazu Ignota.

EUZEBIUSZ.

To kłamstwo!

PROKULUS.

Milczeć służalcze zuchwały.

EUZEBIUSZ.

Już ja nie jestem niewolnikiem Panie.

PROKULUS.

Ha ty śmiesz łotrze.

EUZEBIUSZ.

Odwołaj to zdanie.
Ja jestem wolny jak ty, i tak śmiały.

PROKULUS.

Zobaczę. Teraz niech mówi Ursulus.

URSULUS.

A więc powiem; wszystko to poszło z tego przybysza, Ignota; bo jak on tylko wszedł do naszego domu, spokoju nie ma ani chwili. My przez tego człowieka żyjemy w ustawicznych utarczkach, a Euzebiusz ciągle bierze swoje, bez względu na to, coś nam przed pięcią laty obiecał.

PROKULUS.

Masz słuszność, prawda; obcy, który się w dom wciśnie jest jakby igła lub kolec w ciele, sprawiająca za każdém poruszeniem ból i cierpienie.

EUZEBIUSZ.

A czy to on się wcisnął? Czy nie zaprosił go raczéj sam pan tego domu, czy go prawie przemocą nie zatrzymał?

PROKULUS.

Co mi do tego, on wbrew *mojéj* woli
Siedzi w tym domu.

ALEXIUS.

Ja nie przeczuwałem.

PROKULUS.

Toś był dość głupim.

ALEXIUS.

Cóż uczynić miałem?

PROKULUS.

Skoroś tu jednę przepędził godzinę
Mógłeś był przeczuć, żem poprzysiągł sobie
Iż chwili dłużéj nie dam tu żyć tobie.

EUZEBIUSZ.

Szczera przysięga, jak ten kto ją zrobił.

PROKULUS.

Milcz niewolniku!

ALEXIUS.

Gdybyś jednem słowem
O téj przysiędze spomniał był przedemną
O jakżeż chętnie a jakże przyjemno.
Do jéj spełnienia byłbym ci gotowym.

PROKULUS.

Chcesz, to ją zaraz powtórzę na nowo.

ALEXIUS.

Jutro odchodzę.

EUZEBIUSZ.

Nie — ja nie pozwolę.

PROKULUS.

Więc dom opuszczasz, biorę cię za słowo.

URSULUS.

A idź do kata pielgrzymie pachole!

PROKULUS.

Więc jutro o téj godzinie.

URSULUS.

Do diabła.

ALEXIUS.

Pójdę.

EUZEBIUSZ.

Nie prawda. Zostaniesz.

PROKULUS.

Dla czego?

EUZEBIUSZ.

Bez ciebie radość-by nasza osłabła.

PROKULUS.

Dwakroć nam będzie weselej bez niego.

EUZEBIUSZ.

To grozi temu domowi przekleństwem.

PROKULUS.

Bajka! — to będzie nam błogosławieństwem.

ALEXIUS.

Bądźcie spokojni przyjaciele moi
Niech was obecność moja nieustrasza
Wrzuć-cie mię w morze tak, jako Jonasza
Jeżli się przez to dom wasz uspokoi.
Lecz wprzódy zanim wyjdę z tego domu
Trzeba mi wiedzieć, czym co winien komu.
Ursulu! czem ja obraziłem ciebie?

URSULUS.

Czem? Tem że tu jesteś. Tyś mi cierniem w oku, guzem, narostem, najobrzydliwszym wrzodem. A kogóż coś podobnego obraża? choć dla każdego takie rzeczy nieznośnemi. Komuż naprzykład robi na złość pająk, jaszczurka lub stonóg? Ale któż się im nie opędza, i kto ich nie nienawidzi? *(dziko)*. Któż się będzie wzbraniał stąpić na nie nogą i zadeptać je? *(tupie nogą)*. Nic innego im zarzucić nie możemy, oprócz że na nich patrzyć

musimy, w ogóle, że egzystują. To samo też odnosi się do ciebie.

ALEXIUS (*śmiejąc się*).

Ja wam przyrzekłem, że się ztąd oddalę,
Żebyście ze mnie nie mieli zgorszenia;
Lecz ja nie mogę, nie mam prawa wcale
Dla was przecinać nić mego istnienia.
Teraz Prokulu z Tobą pożegnanie.

PROKULUS.

Niech będzie nasze na wieki rozstanie.

ALEXIUS (*łagodnie*).

Niech ci sumienie wcale nie wyrzuca
Żeś mię zbyt szczodrze darzył łaskawością
Lub też zbyteczną poczcił uprzejmością
Nie — bądź spokojnym, niech cię nie zasmuca
Żaden zły wyrzut; odkąd'em twe progi
Przestąpił — nigdyś niebył zbytnie srogi
Boś mi się niczem przykrem nie zadłużył
Anim ja na los lepszy nie zasłużył.

EUZEBIUSZ.

O! nie mów tego, Ignocie, tu ciebie
Wszyscy haniebnie równo bezcześcili.

PROKULUS.

Milczeć! na prożno twój język się sili.

ALEXIUS.

O! bądź spokojnym znam ja dobrze siebie.

(Karinus *zbliża się jeszcze nie spostrzeżony*).

(Do Prokulusa).

Czym, przyjacielu choć na wiatr się skarzył?
Czy mnie kto słyszał? czylim nie w pokorze
Znosił obelgi, któremiś mię darzył,
Czym nie ulegał tobie w każdéj porze
Czym nie zniósł z podłéj sługi uległością
Twego policzka?

PROKULUS.

Milczeć mi nędzniku!

EUZEBIUSZ.

Ta nazwa spadnie na ciebie samego.

ALEXIUS *(do Euzebiusza)*

Jeżeli mię kochasz, nie złość się na uiego.

(Do Prokulusa).

Ciebie Prokulu proszę byś mi raczył
Powiedzieć żal twój, ja cię zań przeproszę
I prosić będę, abyś mi przebaczył —
Powiedz, czy może w dumie się unoszę
Czy twych rozkazów nie spełniam do joty —
Czym jest zgorszeniem może słabszéj braci
Czy mało było we mnie owéj cnoty
Która miłością wszystkim równo płaci
Powiedz, ja w prochu tarzać się tu będę
I żebrać będę od was przebaczenia —
Nim was porzucę.

EUZEBIUSZ.

Jemu głos sumienia
Winien nakazać by przebłagał ciebie.

PROKULUS.

Chciałeś komedyę odgrywać przedemną
I odegrałeś ją dobrze łaskawcze,
W łagodnéj masce obłudą nikczemną.
O! moje oczy poznały badawcze
Jak ci tu dobrze w tym naszym kąciku,
Żal ci go teraz porzucać nędzniku.
O! bo nie dosyć trochą cierpliwości
Za tyloletnie opłacać wygody,
Przytulek, szaty, dary szlachetności
Jadło i picie O! to są swobody
Które nie jeden żebrak z rozrzewnieniem
Przyjąłby lepiéj niż ty przyjmowałeś
Dałby się za to oplwać wyszydzeniem
Bo to raj szczery, jaki ty tu miałeś.

EUZEBIUSZ.

O! hańbo, wstydzie!

PROKULUS.

Zaprawdę wstyd wielki
Aby leniwiec młody to pożerał
Co człowiek pracą a krwawą uzbierał.

URSULUS,

I człowiek pewno uczciwszy od ciebie.

PROKULUS.

O! bo haniebnie tak siedzieć dzień cały
Pod cudzym dachem i karmić wciąż siebie
Tem co gorące trudy uzbierały,
Miast na chléb pracą zarabiać mozolną.

URSULUS.

Jedząc to o czem marzyć wam nie wolno.

PROKULUS.

I ja, co domu porządek prowadzę
Ja mam się patrzeć na cię pasibrzuchu
Jak ssiesz krew jego... słuchaj jać poradzę
Uległeś mądrze z pokorą na duchu
Przed słusznym gniewem, przed ostrym wyrzutem
Przed zasłużoną uległeś pogardą,
Przed ciosem i przed policzkiem pokuty,
Ale nie dosyć bo dumą twą hardą
Nie dość się zgiąłeś przed mą nienawiścią.

ALEXIUS.

Mogęż się niżéj zgiąć, jak aż do ziemi.

PROKULUS.

Niżéj.

ALEXIUS.

Życzenie twe wkrótce się ziści.

PROKULUS.

Nie — jutro pójdziesz szukać między swemi
Miejsca na grób twój, lub cię tak wyszydzę
(Uderza go w twarz).

URSULUS *(z pięścią ku niemu).*

I ja.

EUFEMIAN *(wchodzi).*

A to co? cóż to ja tu widzę
Tak z gościa mego szydzicie?

EUZEBIUSZ

Oj Panie
Jeszcze mało.

PROKULUS

Milcz — ty niewolniku!

EUFEMIAN.

Nie słuszna nazwa? — bo na me żądanie
On wyzwolonym jest już.

PROKULUS (*zmięszany*).

Niewiedziałem.

EUFEMIAN.

Powiedz no teraz, co się tu stało?

PROKULUS.

Gdym wszedł niewolnik ten jako myślałem
Bił niewolnika drugiego.

EUZEBIUSZ.

Nie prawda.
Jam widział jako Ursulus odbierał
Potrawy, któreś przysłał dla Ignota
Więcem z rąk tego rabusia wydzierał.

URSULUS.

Nikczemny kłamca! toć była ochota
Jego, by owe potrawy Ganniowi
Zanieść, a więc ja usłużyć chciałem.

EUFEMIAN.

Cóż to za związek, niech że mi kto powie,
Z tem, co tu wchodząc ze zgrozą widziałem.

PROKULUS.

— Panie! ci obaj razem w całym domu
Kłótnie niezgody i walki wzbudzają
Chwili spokoju nie dając nikomu
Méj cierpliwości wciąż nadużywają.
Żem się zbytecznie może uniosł w gniewie,
Wtenczas, gdyś wchodził — tego ja nie taje.

EUFEMIAN (*do Ursulusa*).

A cóż ty na to?

URSULUS.

Panie — słów nie staje
Jak mię przezywał — zwierzem — éj! Bóg nie wie.

EUFEMIAN.

Kto?

URSULUS.

Euzebiusz.

EUFEMIAN.

I jakże więc mógłeś
Mścić się za niego, na biednym Ignocie.

EUZEBIUSZ.

Panie, na chwilę nakłoń twego ucha!

PROKULUS.

Nie-panie nie wierz nic jego podłocie
Ja tu mam prawo, mnie wprzód Pan posłucha.

EUFEMIAN.

Mów.

PROKULUS.

Najprzód tedy Ignotus mię drażnił —
Robiąc mi wyrzut, że się źle obchodzę,
Że z niego szydzę, prześladując srodze,
A jam tak szczerze z nim się zaprzyjaźnił
I przecież nie téj czekałem wdzięczności
Za tyloletnie dowody miłości.

KARYNUS (*z głębi sceny*).

O! łotr bezwstydny!

PROKULUS (*przestraszony*).

Jakiś głos słyszałem.

EUFEMIAN.

Nie — nic nie słychać to zapewne echo.
(*Do Ignota*). Teraz Ignocie, gdy ich wysłuchałem
Teraz ty powiedz, a pokrzep pociechą
Moją znękaną duszę. (*Pauza*). Ale co to
Ty nic nie mówisz?

EUZEBIUSZ.

O! to ja z ochotą
Powiem za niego, że w ich mowy wątku
Kłamstwo do końca było od początku.

PROKULUS.

O! w każdem słowie była prawda święta.
Spytaj się jego (*wskazując na Ursula*).

URSULUS.

To potwarz przeklęta,
Jeżli w tem prawdy nie ma, co on gadał
Tom ja w mem życiu prawdy nie powiadał.

PROKULUS.

Panie, com mówił wszystko —

KARYNUS (*z głębi sceny*).

Kłamstwem było.

(*Wszyscy zdziwieni* Prokulus i Ursulus *drżą*).

EUFEMIAN.

Zdawało mi się, że tu głos słyszałem
Ale to pewnie było przywidzenie.
Lecz sprawiedliwie was osądzić chciałem
A tu widoczne słów waszych przeczenie —
Same sprzeczności, same przeciwieństwa.

PROKULUS.

Po jednéj stronie my dwaj się zgadzamy
W nim tylko jednym przeciwnika mamy.

EUZEBIUSZ.

Mówże Ignocie.

ALEXIUS.

Ja nie jestem godny
Aby się o mnie takie kłótnie wiodły
Nie jestem ci ja nikczemny, ni podły
I twéj miłości nie zdradzę wyrodny —
Lecz któż to jestem, abym z was jednemu
Miał się sprzeciwiać — zkąd mam mieć dowody,
Ja tylko pragnę, byście po dawnemu
Obaj do dawnéj powrócili zgody.

PROKULUS.

Widzisz on naszym zeznaniom nie przeczy
Dwa więc świadectwa przeciwko jednemu.

KARYNUS (*występuje*).

Przeciw dwom, bo ja wszystkiego słuchałem.

PROKULUS (*na stronie*).

Ha! to głos jego był więc w saméj rzeczy,
Wszystko stracone, ja sprawę przegrałem,

KARYNUS.

Ja się téj kłotni całéj przyglądałem
Co Euzebiusz mówił jest prawdziwem
A to co oni, wszystko jest fałszywem.

PROKULUS.

Przeciw trzem wiernym sługom jedno słowo
I jeszcze dziecka ma rozstrzygać słowo.

KARYNUS.

Ojcze, lub lepiéj powiedziawszy Panie
Bo ty masz prawo nad nami wszystkiemi
Sądź nas! nie moje bowiem powołanie
Anim obdarzon talenty wielkiemi,
Ani wymową celuję nad niemi.
Jeden dar tylko już z mojéj młodości
Jest czegoś godzien, przynajmniéj miłości.

PROKULUS (*z ironią*).

Gdybym śmiał spytać, cóż to za dar przecie.

KARYNUS.

Prawda — jedyne szczęście na tym świecie.
Nigdy się moje nie skalały wargi
Słowami brudnéj i kłamliwéj skargi.
A oni obaj i w czynie i w słowie
Przeciw duchowi swiętemu świadczyli.

(*Chwyta rękę Alexiusa*).

Ach bądź ty mistrzem moim od téj chwili
Naucz żyć cnotą, choć tylko w połowie
Téj, którą w Tobie ja dzisiaj poznałem,
Twoja mi przyjaźń będzie szczęściem całem.
Ta woń twéj mowy miłością natchnięta
Która w twém sercu, jest jak niebo święta
Zostanie wiecznie twym tylko udziałem
Lecz mię ucz sobą, bo w tobie odkryłem
Tego, którego dawno utraciłem
Jak ty mu równasz potęgą swéj cnoty!
Nauka mądrość, duch, to są klejnoty
Któremi brylant twój bardziéj jaśnieje
Brylant świetności z niczém niezrównanéj.

ALEXIUS.

Chciałbym cię słuchać mój chłopcze kochany
Nie mnie cię uczyć, lecz uczyć się z ciebie.

KARYNUS.

A przecież dom nasz chcesz jutro porzucić?

EUFEMIAN.

Mógłżebyś moje serce tak zasmucić?

ALEXIUS.

Ja przyrzeczenia mojego dotrzymam.

KARYNUS (*do Eufemiana.*)

Więc rozkaż jemu ty Eufemianie
Ja prosić mogę, kazać prawa nie mam.

EUFEMIAN (*do Alexiusza.*)

Niech cię więc ojca nakłoni błaganie.

(Alexius wstrząsł się.)

Mnie on dziś miejsce zastępuje syna
Zostań a będziesz nam błogosławieństwem
Póki nieprzyjdzie ostatnia godzina.

ALEXIUS.

Spełnię, żądanie wiernie.

PROKULUS *(n. s.)*

Złamał słowo.

ALEXIUS *(do Prokula.)*

I to wypełnię co przyrzekłem tobie.

EUFEMIAN.

Jak to? To dla mnie tajemnicą nową.

ALEXIUS.

Jutro ją pewnie wytłomaczysz sobie.
Znowu drugiego niewszczynajmy boju
Niech wszystko będzie do jutra w spokoju.

EUFEMIAN.

Tak! jutro dla mnie dzień nowéj roskoszy
Sierota wróci na ojcowskie łono;
Chmurę zgryzoty nowy dziedzic spłoszy
I słońce wejdzie nad chatą — strapioną.

(wszyscy odchodzą.)

SCENA III.

Gannio *siedzi na marmurowéj ławce, jedząc z półmiska.* Bibulus *nadchodzi, zamaskowany, kapelusz ma wciśnięty na twarz, i brodę. Mówi udanym głosem.*

BIBULUS.

Dobry wieczór, Gannio! Jeszcześ to po dawnemu na swojém, odrzucasz więc wszystkie korzyści, jakie z domu Eufemiana mogłeś był pociągnąć?

GANNIO.

Ktoś ty jest, że sobie tak śmiało mojém nazwiskiem pozwalasz szastać?

BIBULUS.

Jakto, więc ty stary poczciwcze niewiesz kto ja jestem?

GANNIO.

Stary poczciwcze, no proszę! Nie wiem *ktoś* ty jest, ale ci powiem *czém* jesteś.

BIBULUS.

Dla czego?

GANNIO.

Bo nie chcesz, żebym wiedział, *kto* jesteś.

BIBULUS.

Docinasz, jak zawsze. No, czemże ja jestem?

GANNIO.

Czem? Oszustem.

BIBULUS.

Co?

GANNIO.

Hm, kto przywdziewa na siebie takie zwodnicze szaty, i nie chce być poznanym, pewno się wybiera na oszukaństwo ludzi.

BIBULUS.

Może też tylko od ciebie nie chcę być poznanym.

GANNIO.

A to jesteś czemś jeszcze gorszem od oszusta.

BIBULUS.

Czemże?

GANNIO.

Łotrem.

BIBULUS *(smiejąc się.)*

Ha ha ha! jakże tego dowiedziesz?

GANNIO.

Kto zna Gannia, a niezawodnie go ty znasz, a wstydzi się być od niego poznanym, musi być łotrem i to najlepszego gatunku.

BIBULUS.

On sobie zawsze taki stary, żartobliwy poczciwiec. *(Zdejmuje przebranie.)* No spojrzyj na mnie, znasz mię?

GANNIO.

Ho! tyś jeszcze czemś gorszem niż oszust, niż łotr.

BIBULUS.

No a czemże?

GANNIO.

Tyś jest błaznem.

BIBULUS.

Powiedz-że mi mój przyjacielu, dla czego?

GANNIO.

Tyś to jest ów Bibulus, który raz powziął był myśl wielką, ale jéj nie wykonał; który ogromny plan robił, ale się na nim zawiódł; który wielkiego występku chciał się dopuścić, ale mu się żal zrobiło; który dla swego pana truciznę zaprawił, a potém ukląkł przed nim. Ha! ja gardzę takim człowiekiem.

BIBULUS.

Brawo, Gannio! skończ tylko, skończ.

GANNIO.

Brzydzę się czołgającym pokutnikiem! Pewnoś obszedł już cały świat i powrócił jako —

BIBULUS.

Ten sam zupełnie, co dawniéj.

GANNIO.

Jako obłudnik chciałem powiedzieć. Ale widać nie jest tak źle.

BIBULUS.

Bardzo dobrze, Gannio; widzę żeś taki sam uczciwiec jak przedtem. Dla tego też podam ci myśl daleko lepszą, aniżeli otrucie Eufemiana.

GANNIO.

No — cóż takiego?

BIBULUS.

Okradnijmy go. Bo uważaj tylko, jak może człowiek z takim geniuszem jak ty siedzieć przed domem i żebrać o ogryzki, kiedy oto nie daleko niego leżą kupy złota, któreby można dostać za —

GANNIO.

Za szubienicę, hę?

BIBULUS.

Głupstwa gadasz człowieku. Możesz być bogatym nic nie ryzykując. Jutro Honoriusz będzie u nich na uczcie, więc wiem dobrze, że już dziś z wieczora na taką uroczystość stół będzie nakryty. Podobna sposobność nie zdarzy się nam tak prędko. Poczekajno! jutro akurat dziesięć lat temu, jak Alexius, ten szalony chłopak, przepadł. — Przypominam sobie, jak to ostatni raz było. Doskonale pamiętam ten stół. Co to za naczynia! Niema tam tego głupiego, pozłacanego srebra — wszystko czyste, wyborne złoto, od wieków w familii będące. Jakie kandelabry, wazy, ogromne półmiski, dzbany!

GANNIO.

I pełne najlepszego wina, hę?

BIBULUS.

O nie. Musimy czas jakiś być naczczo.

GANNIO.

Naturalnie.

(*flaszę wiszącą ma na szyi niesie do ust.*)

BIBULUS.

Dajże mi się raz napić. (*pije*) Ale musimy mieć pomocników. Nie znasz ty jakich dwóch poczciwców, na którychby się spuścić można, jakich zacnych urwiszów?

GANNIO.

Znam, znam dwóch poczciwców; a ci są tacy zręczni jak lisy, a odważni jak lwy.

BIBULUS.

A może tacy okrótni, jak tygrysy. (*Gannio przytakuje.*) Tem lepiéj. Jakże się nazywają?

GANNIO.

Tego nie wiem. Będziemy ich nazywali pierwszym zbójcą i drugim zbójcą, jak w komedyi.

BIBULUS.

Ale mi się zdaje, że my nie tylko komedyę grać będziemy.

GANNIO.

Słusznie, słusznie. Rzecz za którą można pójść na szubienicę nie jest zabawą. Oni będą naszém posiłkowém wojskiem; ułóżmy tylko plan bitwy.

BIBULUS.

Musimy się tu zejść o zmroku, a ja was zaprowadzę do próżnéj piwnicy za domem. Nikt was nie ujrzy, bo

wszyscy będą zajęci otwieraniem żelaznéj skrzyni, rozpakowywaniem naczyń, czyszczeniem i ustawianiem. Nad ranem wszyscy pójdą na spoczynek. My wtedy wśliżniemy się do jadalnéj sali, napełnimy worki, ale nie te wasze dziadowskie, nie, dobre, duże worki i przedniemi drzwiami umkniemy. Jedyna trudność tylko, gdzie my naszę zdobycz ukryjemy.

GANNIO.

Zostaw to tylko mnie. W pobliskiéj uliczce mieszka jeden mój kolega. Wiesz, że trzeba będzie odżałować jaką kosztowność lub pierścionek, co tam komu przypadkiem wyleci aby mieć przyjaciela w tym, który różne rzeczy kupuje.

BIBULUS.

Dobrze; jednak spodziewam się że on wodę zawsze na swój młyn obróci. Jakże płaci?

GANNIO.

Mówiąc prawdę ot, tak—

BIBULUS.

Cóż naprzykład daje za złote rzeczy.

GANNIO.

Za złoto daje wartość starego srebra.

BIBULUS.

Łotr bez sumienia! jak można być tak nieuczciwym. A za srebro?

GANNIO.

Wartość mosiądzu.

BIBULUS.

Ależ to oczywiste zdzierstwo przeciw słuszności i prawu. A cóż daje za mosiądz.

GANNIO.

Za sporą bryłę ani by ci nie podziękował.

BIBULUS.

Musi go mieć dużo.

GANNIO.

Ogromne stosy. A więc już wszystko urządzone. Teraz pójdę wyszukać mych towarzyszy. O zmierzchu zejdziemy się tu znowu (odrzuca półmisek drewniany). Precz z moich oczów nędzne ty naczynie; od téj chwili Gannio pogardza wszystkiém, co nie jest złotem.

(*obaj wychodzą.*)

SCENA IV.

Przedsionek.

ALEXIUS i KARYNUS (*wchodzą razem.*)

KARYNUS.

Wszak w twéj podróży w Edessie mieszkałeś
I to najczęściéj; jakież z niéj spomnienie
W twéj duszy, drogi mistrzu, zachowałeś.

ALEXIUS.

O! bardzo drogie. To miłe schronienie
Piękne, bogate w domy i kościoły
Z obyczajności słynne i ze szkoły.

Na całym wschodzie jéj nauki świécą
W oświacie ona wszystkich miast stolicą.

KARYNUS

Słyszałem wielu w Syryi, wołających
Młodzieńców, szczerze nauki pragnących:
„Ach do Edessy, do Edessy spieszmy!
Z tamtąd wzór cnoty i nauki bierzmy!“

ALEXIUS.

Ze wszystkich plemion bogatego wschodu
Tam każde ma swój dom na zawsze stały
Z Armeniów, Syriów nawet z Persów rodu [1])
Tłumy nauki chciwych tam mieszkały.
Gdzie indziéj wiedza płynie strumieniami
W których czerpiący bawi się i mami;
Albo u brzegu pięknego ruczaja
Zrywa kwiat nauk, co nerwy upaja,
Albo na skały szczytne pnie się śmiało
I na kwiat wiary pogląda zuchwało.
W Edesie płyną spokojnie strumienie
I w jedno źródło wszystkie razem dążą
Czyste jak kryształ, lub czyste sumienie
Jednym łańcuchem wszystkie serca wiążą.
Z nich to ta święta i cudowna wiara
Co życiem serce natchnęła Abgara, [2])
W nich umiejętność ma takie korzyści,
Że się uzacnia, uszlachetnia, czyści.
Z ich źródła płyną te święte strumienie
Co w całym świecie roznoszą zbawienie.

---

[1]) *Edessa* najstarożytniejszy uniwersytet chrześciański, miał w owym czasie szczegółowe kollegia dla różnych plemion wschodu.

[2]) Według starego podania jeszcze za życia Zbawiciela został Abgar nawróconym do Niego.

KARYNUS.

O jakże cudnym ten związek być musi
Dwojga mądrości do jednego celu
Ale mi powiedz, mistrzu przyjacielu
Czy tego żądza daremnie nie kusi,
Co prócz téj żądzy nauki gorącéj
Innego skarbu w sobie nie posiada?

ALEXIUS.

Błędne pojęcie do twéj duszy wpada;
Młodzieniec nauk zdobyczy pragnący,
Nie już koniecznie bystrym myśli lotem
Nie wprawną mową, dowcipem co tryska,
Ten pożądany skarb wiedzy pozyska.
Bo człowiek nie jest strumieniem ciekącym
Obfitym w wiośnie a śród lata schnącym.
Bo człowiek nie jest drzewem, co w czas kwitnie
Ale owoce rodzi kwaśne z siebie —
Dowcip — wiek młody ozdabia zaszczytnie
Ale w zabawach, nie w nauk potrzebie.
Czoło młodziana pogodne i jasne
Niech będzie zawsze jak jutrzenka krasne.
Prawda, wesele niechaj w niém jaśnieją
Jak gwiazdy co się na niebiosach śmieją.
Jeśli go chwalą niech oblicze jego
Rumieńcem wstydu i radości splonie
Niech w jego oku światło życia tonie
Niech nie roztryska błyskawicą z niego.
Jak w kornej modle patrzym się do nieba
Tak jemu w mistrza oczy patrzeć trzeba.
Chciwym nauki i pilnym niech będzie,
Ale bez dumy; a gdy ziarno w kłosy,
Wystrzeli, grzane złotem bożéj rosy;
Niech jéj owoce zaszczepia znów wszędzie.

One mu mają *tu* dostarczyć chleba
A *tam* zasługę i zapłatę nieba.

KARYNUS.

O! jakżeż miło słuchać cię Ignocie
Mam ja myśl jednę w duszy méj głębinie
Jeżeli każesz to usty wypłynie
Posłuszna słodkim rozkazom i cnocie.

ALEXIUS.

Lecz myśl ta może jeszcze niedojrzała?

KARYNUS.

Wkrótce dojrzeje; — powiedz mi Ignocie
Czyli nie słuszną będzie taka chwała
Że ten, co małym na duchu się czuje
Chcąc w szczyt zalecieć, swych skrzydeł probuje?

ALEXIUS.

Patrz, jaka ciebie duma obejmuje
Twe młode serce uległo jéj sile —
Wszak masz majątek i honorów tyle
Ród tak zaszczytnie od wszystkich ceniony.

KARYNUS.

O! nie; tak myślą jeszczem nie zniżony.
O! dużo wyżéj mój duch w górę leci.

ALEXIUS.

Wyżéj — niż krzesło senatorskich dzieci?
(*Wzruszony*). Co? ty we śnie marzysz sobie może
Aby zawładnąć berłem nad światami?
O! jakaż próżność twoją duszę mami,
Nęcąc purpurą!... o nie tak w pokorze

Młodzieniec winien marzyć o przyszłości.
(*Gniewnie*). Niechaj te brudy ciebie nie kalają
Niechaj nie czernią twéj wiary jasności —
Gdyby choć z dala oddech téj zarazy
Groził ci synu, to przed nią uciekaj
Niźli przed śmiercią, prędzéj tysiąc razy.

KARYNUS.

O! nie mój mistrzu — nie sroż się, zaczekaj! —
Mylnieś wyrazy moje wyrozumiał.
Ja, *tego* pragnąc wznieśćbym się nie umiał
Alebym raczéj w przepaść wpadał ciemną
Mógłżebym próżność pokochać nikczemną
Mógłżebym gonić za brudami ziemi.

ALEXIUS.

Więc co rzec chciałeś słowami takiemi?

KARYNUS.

Wyżéj o! wyżéj jeszcze duch mój sięga
Niźli Cezarów, Augustów potęga.
Bo ja pragnąłem, by przed słowy memi
Piekło zadrżało, a *tam* aniołowie
W niebie hymnami świętemi swojemi
Uczcili wszystko, co serce wypowie.
O! ja pragnąłem nie innéj purpury,
Lecz tę, co nosił król i władzca — który
Obelżon słowy zdrajców i Piłata
W niéj spełnił życia ofiarę i świata.
O! nie na tronie siedzieć — przed ołtarzem
Stać pragnę, w rękach pragnę ja piastować
Nie berło, ale *Tego*, co mocarzem
Mocarzy — tam mię mój mistrzu zaprowadź!

ALEXIUS (*łagodnie*).

Jakżem cię skrzywdził drogi mój Karynie!
Błogosławieństwo niech na ciebie spłynie
Niech twe zamiary uświęcą niebiosa
Niech je ozłoci bożéj łaski rosa,
Aby dojrzały i w życiu i w czynie.
Lecz czyś rozważył dobrze wszystkie skutki,
Jakich ofiara tak trudna zażąda,
Może myśl twoja głęboko nie wgląda?
Eufemiana miałeś skończyć smutki
Miałeś być nowym dziedzicem, z którego
Miał iść potomków szereg domu jego.
A ty ten łańcuch rozrywasz od razu.

KARYNUS.

Lecz z chwałą słucham natchnienia rozkazu.
Toć kapłan równy jest apostołowi;
On jest ostatnią gałązką rodziny
Co chwałę swemu przynosi rodowi,
Chwałę największą, choćby przodki jego
Świetnie się z rodu chlubili swojego;
Pojrzyj na słońce, wszak najcudniéj świeci,
Kiedy zachodem z sklepu niebios leci.

ALEXIUS.

Jakże to powiesz Eufemianowi?

KARYNUS.

To też największą trudność mam w tym względzie—
Jutro — o wszystkiem niechaj się już dowie.
(*Schlebiając się*). Ty będziesz za mną?

ALEXIUS.

Ha! niechaj więc będzie!
O drogie dziecię! święte twe zamiary,
Jakże twe usta słodko je wyrzekły,
Jak gołąb świętym jest duch twojéj wiary
A jako orzeł, pierzem nie powlekły.
Jam właśnie pragnął takiego, i czekał
Dałbym mu własną krew na pożywienie
Sercebym chętnie dla niego rozsiekał,
By wzrósł w potęgę świętą nieskończenie.

KARYNUS.

Nie mów tak! — więc mi twe serce pomoże
Gdy długo kryty zamiar mu przedłożę.
(*Wachając*). A potem, może zechciałbyś nawzajem
Bieg twego życia opowiedzieć cały —
Przebacz — tyś nie tem jest, czem cię uznajem;
Ta biedna suknia, wyraz przebolały
Ten chód pokorny, za słabo pokryły
Ród twój szlachetny; a z twojego oka
I ogień błyszczy i wielkość się żarzy
O! duszę twoję poznać zaraz z twarzy
Lecz ród, tajemna okrywa pomroka.
O! powiedz — powiedz!

ALEXIUS.

Jutro się dowiecie.

KARYNUS.

Jutro więc wszystko? ach to jutro gniecie
Jak czarna chmura piorunów i burzy.
A przecież przez nią, przez te jéj ciemności
Prześwieca promyk nadziei i chwały
A w tym promyku, na drodze przyszłości
Błyszczy twe imię w jasności wspaniałéj.

ALEXIUS (*przerażony*).

Swięte przeczucie! Chwała Tobie Panie!
Lecz słyszysz — ciebie wołają — idź dziecie —
Bądź zdrów, czy my się — — o! ujrzym się przecie
Bądź zdrów!

KARYNUS.

Do jutra — które tyle troski
Ukrywa w sobie — bądź zdrów, sługo boski!

ALEXIUS (*zamyślony — łagodnie*).

O! nie jest strasznym dzionek powitania
W którym się twarzą w twarz w siebie patrzymy.
Wtedy z łez nasze obeschną powieki
Smutek — ból — jęki — ucichną na wieki —
Wszystko przeminie owego zarania.....

KARYNUS.

Bądź zdrów! niech dusza o tym dniu pomarzy,
Który nas taką rozkoszą obdarzy.

(*Obaj odchodzą*).

SCENA V.

Noc — na scenie ciemno.

(*Od domu idą* Bibulus i Gannio *z dwoma zbójcami. Wszyscy zamaskowani; każdy wlecze ciężkie, napakowane wory. Obaj zbójcy mają miecze lub noże za pasem. Jeden za drugim wsuwa się;* Bibulus *na czele*).

BIBULUS.

Tu — tu; wnet dostaniemy się do drzwi.

1szy ZBÓJCA.

Gdzież?

BIBULUS.

No — tu.

2gi ZBÓJCA.

Ale gdzież jest to tu?

BIBULUS.

Za mną — ty —

1szy ZBÓJCA.

Tylko proszę, żadnego grubijaństwa! Gdzież ty jesteś?

BIBULUS.

Idź prosto twego nosa, przez sam podworzec. (*Zderzają się w środku*). Jesteśmy nareszcie razem; trzymajcież się jeden drugiego i chodźcie za mną!

(*Podczas téj sceny, zabłysnął promyk światła z izdebki* Alexiusa. *Wszyscy się oglądają i widzą* Alexiusa *klęczącego z wniesionemi rękami do góry. Wstrzymują się zadziwieni, stawają po dwóch z każdéj strony. Po chwili jeden po drugim, pokonany wrażeniem i czcią, składa swój worek na ziemi. Światło coraz bardziéj jaśniejsze, aż przy zaczęciu chóru, dochodzi całego blasku swéj potęgi.*)

ALEXIUS.

Strzeżcie mieszkańców mienie przed kradzieżą
I strzeżcie pilnie przed zbójców grabieżą.
A gdy się dla mnie upragniona chwila
Zbliża — zanućcie, pieśń, co wdzięków tyla
I tyla w sobie ma niebios uroku!

Chór niewidzialnych duchów.

Wieść, rozstania twego, z góry
Anielskiemi wieje pióry —
Złote nitki już poranek
Utkał w ciemném nocy tle
Spiesz! Niebiosów tyś kochanek
Z prochu w światłość wzniesiesz się!
W naszem łonie ci bezpieczno
Zbudź się, zbudź się w roskosz wieczną! —

ALEXIUS.

Idę — idę — idę. O! czekajcie na mnie!

(*Zbójcy wypadają z domu. — Dzień się robi.*)

ALEXIUS.

(*hałasem zbudzony z zachwytu.*)

Ten szmer! ten hałas! ha! to tu złodzieje
Szczęście, żem czuwał, i wiem, co się dzieje —
Jakie to skarby już sobie pokradli
Trzeba drzwi zamknąć, aby nie napadli.

(*Drzwi zamyka i zasuwa.*)

Tak — póki ze snu dzień wszystkich nie zbudzi
Najpewniéj zdobycz tę tutaj zatrzymam.

(*Wlecze worki do swojéj izdebki i zamyka je.*)

Dzięki niebiosom, przecie napisana
Moja ostatnia biedna wola!

(*Patrzy się w pargamin, zwija go i chowa za piersi.*)

Jestem gotowym.

(*Hałas ogromny. Bieganie słychać z domu.*)

Kradzież już schwytana.

PROKULUS.

(*Wchodzi ze wszystkiemi niewolnikami — wszyscy przerażeni, jeden drugiego popychając.*)

EUZEBIUSZ

Tu — tędy musieli uciec. Drzwi tylne były zamknięte, a ja tam dwie ostatnie godziny stałem na warcie.

PROKULUS.

Ha! Ignotus — I ty także tak wcześnie wstałeś? Czy widziałeś zbójców.

ALEXIUS.

Nie — ale słyszałem jak uciekali.

DAWUS (*podnosi łyżkę.*)

Patrzcie! oto dowód, że tędy zmykali.

URSULUS (*będący dotąd przy drzwiach.*)

Niezawodnie; z resztą drzwi od domu zamknięte i zasunięte. Odwaga! dzieci, zbójca jest jeszcze w domu, i nie wyśliźnie się z naszych rączek.

WERNA (*do izdebki patrząc.*)

Jest! jest — wszystko! — Tu jest gniazdo puszczyków.

(*Wywlekają worki i otaczają* Alexiusa *szkalując go i popychając.*)

DAWUS.

Pewno, że nie mogłeś widzieć uciekających zbójców. A ja ci powiem dla czego, boś nie miał nigdy w swém mieszkaniu zwierciadła.

WERNA.

A gdybyś był wdział pantofle, tobyś ich i nie słyszał.

PROKULUS.

No, tą razą, mój kochanku, nie wymkniesz się tak łatwo. *(n. s.)* Na szczęście nie ma pod ręką tego smarkatego chłopca coby cię wyratował.

EUFEMIAN I EUZEBIUSZ *(wchodzą.)*

Moi ludzie! cóż się to tu stało? Szczególna rzecz, że właśnie ten dzień, który mojemu domowi największy honor ma przynieść, który też dla tego w największym porządku i pokoju przepędzić trzeba, że ten dzień takim hałasem się zaczyna jakby sobie złe duchy igraszkę z nas robiły.

PROKULUS.

Jednegośmy przecie schwytali, i spodziewam się że go tą razą przyzwoicie nagrodzimy.

(wskazując na Alexiusa, *który stoi martwy i cierpiący.)*

EUFEMIAN.

Co? znowu krzywdzicie i dręczycie tego poczciwego człowieka? a przecieżem wczoraj nakazał czekać spokojnie aż ta uroczystość przejdzie.

PROKULUS.

Zaprawdę poczciwy człowiek! Złodziéj, zbój!

(Wskazuje na worki.)

EUFEMIAN.

Litościwe nieba, cóż to znaczy?

PROKULUS.

To znaczy ani mniéj ani więcéj, tylko to, że w nocy wywleczono nam najkosztowniejsze srebra, któreśmy na

uroczystą biesiadę dla Cezara przygotowali, że drzwi od wewnątrz zamknięte, i żeśmy wszystko znaleźli w mieszkaniu Ignota.

EUZEBIUSZ.

Panie — nie wierz tak nikczemnemu kłamstwu! Bądź pewien, że oni znów jakieś sprzysiężenie przeciw niemu uknuli.

URSULUS.

My wszyscy możemy zaręczyć za prawdę.

WSZYSCY.

Tak — Panie, wszyscy.

EUFEMIAN.

Powiedz Ignocie, że to być nie może,
Że to nie prawda, choć takie pozory,
Nie — choć milczałeś aże do téj pory
Teraz się obroń — (*pauza*) Milczysz — Co? — o Boże
Ani słóweczka?

EUZEBIUSZ.

Ach powiedz, choć słowo
Zaprzecz a zmyjesz z siebie wszelką plamę.

ALEXIUS.

Nie — nic nie powiem, choć słowem nie skłamę
(*na stronie do Euzebiusza.*)
Bo wargi moje zapieczętowane.

EUZEBIUSZ.

Ależ nie winą? — sprawiedliwe Nieba!

ALEXIUS.

Nie — lecz mi wyższych praw usłuchać trzeba,
One za święte, bym je słowem skalał.

EUFEMIAN.

Ja cię zaklinam z błędu nas wyprowadź
Ja chcę, żebyś ty bez winy ocalał —
Milczysz — ach pocóż w tajemnicy chować?

(*pełen smutku i rezygnacyi.*)

Nieszczęsny sam się potępiasz milczeniem,
Jam cię przytulił, a ty byłeś żmiją,
A więc się gady pod twą maską kryją
A jam cię poczcił dziecięcia imieniem?!
O! to nie święty, to zbójca przedemną
Z kłamaną wiarą, z obłudą nikczemną.
Ha! — toż to cnota okryta całunem
Fałszywéj wiary, miłości, pokory?
Pięć lat tych obłud — i zdrad do téj pory,
Dziś zbrodnia ma być twoich zdrad zwiastunem.
Ach! któż dziś w cnotę i prawdę uwierzy,
Jeźli to prawda!?

ALEXIUS.

Litości — litości!

EUFEMIAN.

Ja mam mieć litość? — ja, tak oszukany
Taką obłudą, za tyle miłości?
Słuchaj Ignocie, gdybyś te łachmany
Przywdział był na to, by litość obudzić
I tym podstępem pieniądze wyłudzić,
Jabym spółczucia nad tobą nie zgubił
Jeszczebym ciebie po téj zbrodni lubił.

Lecz ty na siebie cisnąłeś i na mnie
Hańbę niewiary niczem nie obmytą,
Skalałeś cnotę udawaną kłamnie
Pod cnoty płaszczem niosąc zdradę skrytą.

ALEXIUS (*chwiejąc się*).

O nie wierz temu, nie wierz wcale Panie —
Lecz jam tak słaby, męczy mię gadanie.

EUFEMIAN.

Ha! byłeś mocny w słowach aż dopóty
Pókić sił twoich sumienia wyrzuty
Nie udręczyły; teraz cię owładła
Rozpacz i może nowy kłam pokuty
Lecz wyznaj prawdę, bo twa maska spadła
I łzą obłudy proś o przebaczenie.

ALEXIUS.

(*Około siebie patrząc — roztargniony*)

O! gdzie ten chłopiec — to moje zbawienie!

EUFEMIAN.

Nigdy go swojem nie dosięgniesz okiem,
I nie zatrujesz bazyliszka wzrokiem.
Cnota! — niewinność! idź — idź precz Ignocie —
Niech cię nie widzę w tak strasznéj sromocie.
Niech serca mego nie krwawię daremnie
Idź — idź w spokoju na wieki — odemnie.

ALEXIUS.

(*Usiłując zbliżyć się do niego i uklęknąć przed nim*).

O! nie odpychaj mnie od siebie, Panie,
Ja cię zaklinam na wszystkie świętości
Na twego syna nieszczęsne tułanie
Na tego, co dziś, w dniu twojéj radości

Ma ci zastąpić jego miejsce, Panie,
Ja cię zaklinam, usłysz me błaganie!

EUFEMIAN.

Nie, nie!

(Nakazuje oddalić mu się).

— Uciekaj, niechaj jęków twoich
Nie słucham dłużéj, twych brudów nie widzę
Unikaj mię już, ja się tobą brzydzę,
Godzina twego rozstania wybiła.

ALEXIUS

O! już wiem teraz że to prawda była.
O Aniołowie do was już odchodzę.
Cios innéj ręki nie dręczyłby tyle
Ile téj ręki skinienie! o! srodze
Srodze zabija twoje odepchnięcie
Już więc mój kielich dzisiaj przepełniony.
Jam jako złodziéj od tego wzgardzony
W któregom wierzył i kochał tak święcie!
Bądź zdrów! bądź zdrów!

(upada na ramiona Euzebiusza; *odnoszą go na spoczynek kładąc go tak, że jest twarzą do widzów zwrócony; jedna ręka spada ku ziemi, druga na sercu).*

EUFEMIAN.

Złóżcie go — złóżcie niech do sił powróci,
Potem mu dajcie, co trzeba, na drogę;
Niech sobie idzie, ja go znieść nie mogę.

EUZEBIUSZ.

Wszystko zapóźno — już się nie ocuci
Ostatnie tchnienie wydał już ze siebie.

EUFEMIAN.

Co mówisz? Boże! tożby strasznie było,
O! taki koniec to tylko bluźnierstwo —
Wzywał aniołów jakby na szyderstwo,
Serca nie skruszył, co tak podle biło.

KARYNUS (*wchodzi.*)

Cóż was tak wcześnie ze snu obudziło?

EUZEBIUSZ.

O! patrz trup twego mistrza, przyjaciela.

KARYNUS.

To być nie może — zbudź się, zbudź Ignocie!
(*z trwogą*)
Cóżby go mogło zabić w dniu wesela.

PROKULUS.

Wyrzut sumienia.

KARYNUS.

Co?

PROKULUS.

Tak — tak, sumienie.
Niem udręczony przełamał się przecie.

DAWUS.

Umarł złodziejem.

WERNA.

Aby się na świecie
Ukryć przed słuszną karą szubienicy.

KARYNUS.

Boże! nie mogę, pojąć tajemnicy.
O! nie, duch jego nie mógł zgasnąć jeszcze.
On musi spełnić swoje słowa wieszcze
Musi być przy mnie.

(Klęka, i bierze rękę trupa w swe ręce.)

Mój mistrzu! mój drogi!
Nic-że do ucznia nie przemówisz twego —
Daj mi swą rękę, ona ciepła jeszcze
Znak mi daj jaki, że znasz ucznia swego.
Biada, mi biada! on skonał! o biada!

(z bólem.)

Rozstał się z nami! więc tę duszę świętą
Nagle z ziemskiego świata wypędzono
Tam na miłości najszczęśliwszéj, łono.
Ja tu przed całym światem i przed Bogiem
Swiadczę niewinność moję w jego skonie.

EUFEMIAN

(z głębokiéj boleści budząc się — z goryczą.)

Niechaj się, dziecię, twoje czyste dłonie
Niepokalają tem cielskiem złowrogiem —
Bo ono straszną zbrodnią pokalane.

KARYNUS.

Co? zbrodnią?

EUFEMIAN.

Więcéj — nie tylko zbrodniarzem,
Lecz on był Boga bluźniercą i wiary.

KARYNUS.

On bluźnił Bogu?

EUFEMIAN.

Zbrodni przebrał miary,
A nam tak wierzyć kazał w swoją cnotę!

KARYNUS.

I tyś więc Panie uwierzył w sromotę
Tyś więc uwierzył w twoich sług — podłotę?

EUFEMIAN.

Zbyt jasno rzecz ta jest nam dowiędzioną

KARYNUS.

Gdyby jak słońce wasz dowód był jasnym
Wszystkobym przeczył swem sumieniem własnem.

EUFEMIAN.

Chodź, chodź Karynie niech ten grzesznik biedny
Dręczy się winy ciężarem, lecz jednéj.

KARYNUS.

I jakąż wy mu zarzucacie winę.

EUFEMIAN.

Kradzież. I właśnie w zbrodniczą godzinę
Kiedy dokonał już czynu, wzruszony
Może dotknięty niewidzialną dłonią
Upadł i usta bluźnierstwem pokalał
Wzywając niebios, co niewinnych bronią.

KARYNUS.

Dosyć, już dosyć; on w prochu się walał
A ja tu przed nim ze czcią korną stoję —
Ja, com z nim spędził w rozmowie godzinę
Ja całem sercem zwalam z niego winę

I świat wyzywam, i z was od każdego
Żądam dowodów potępienia jego.

EUFEMIAN.

Szaleńcze! myśli dziwne cię owładły
Czyjeż to ręce te srebra pokradły?

KARYNUS.

Gdzież je odkryto?

EUFEMIAN
(*wskazując na mieszkanie Ignota.*)

Tu.

KARYNUS (*w myślach zatopiony*)

Beniaminowi
Wsunięto kubek na pozór kradzieży;
A któż o zbrodni jego słowo powie
Nie, serce moje w ten pozór nie wierzy
Pewnie, umyślnie kradzież podsunięta.

EUFEMIAN.

To i na dziecko zbyt są głupie słowa
Patrz — z wnętrza brama ta była zamkniętą;
Więc nikt nie uciekł.

KARYNUS
(*po chwili namysłu.*)

Słuchajcie! myśl nowa.
Spieszcie do bramy. Piaskiem wysypano
Drogę do wstępu Cezara. Dziś rano
Deszczyk ją skropił tylko. A więc trzeba
Wyszukać śladów — może je znajdziecie.
(Euzebiusz i Prokulus *idą i wracają.*)

EUZEBIUSZ.

Myśl taka tylko pochodzi od nieba
Tyś bożą łaską obdarzone dziecie!
W bramie są ślady; dwóch uciekło w prawo
A dwóch na lewo.

PROKULUS.

Więc czterech uciekło,
Słuszną więc serce dręczyłeś obawą
I słuszną ono obronę wyrzekło.

KARYNUS.

Czterech — a właśnie tu są worki cztery.

EUZEBIUSZ.

Zacny młodzieńcze! Sprawiedliwy w niebie
By odkryć światu ślady prawdy szczeréj
By odkryć cnotę — obrał sobie — Ciebie.

(*Słychać głośne uderzenia we drzwi, które się otwierają. Sługa sądowy wchodzi, wprowadzając związanych złoczyńców* Bibulusa i Gannia.)

SŁUGA SĄDOWY.

Zacny Panie! czy w tym domu popełnioną została jaka zbrodnia? Widzieliśmy tych obydwóch uciekających temi drzwiami, i z wielką trudnością złapaliśmy ich nareszcie. Ich spólnicy pierzchli w przeciwną stronę, i niestety zapewne uciekli.

(*Zdziera im kapelusze.*)

KILKU.

Doprawdy to Bibulus!

INNI.

Gannio, na mą duszę!

BIBULUS (*klękając.*)

Dobry Panie! przebacz mi jeszcze ten raz!

EUFEMIAN.

Rozum mię odchodzi. Co to wszystko znaczy?

BIBULUS.

Ostatniéj nocy byliśmy —

GANNIO.

Niestety!
Dałem się jemu sobą powodować
I dwom zbrodniarzom, aby cię zrabować.

EUFEMIAN.

Niech jeden mówi, ale prawdę samą.

BIBULUS (*powstając.*)

Myśmy się skryli właśnie za tą bramą
I te tu worki ze srebrem to nasze,
Doszliśmy dotąd —

EUFEMIAN.

I któż wam przeszkodził?

BIBULUS.

Pielgrzym, co życie raz ocalił wasze,
On, Panie, on tu na straży wciąż chodził.

EUFEMIAN.

Jakto? cóż zrobił — ach serce mi pęka!

BIBULUS.

Gdyśmy tu przyszli, patrzym, on przyklęka
Ręce i oczy do Boga podnosi —
I o opiekę nad twym domem prosi.
A w koło niego promienie jaśniały
Jak słońce jasne uroku i chwały —
A hymn pochwalny niewidzialne chóry
Na cześć mu, nutą niebiańską śpiewały
Czcząc go i wielbiąc. Nas objęła trwoga —
I uciekliśmy tak, jak grobu stróże
Oślepli blaskiem zmartwychwstania Boga
Taka tam jasność, w tym anielskim chórze.

EUFEMIAN.

Biada mi biada! grom uderza we mnie!
Jam myślił, że on w dniu naszéj radości
Równą radością przejęty wzajemnie
Dozna rozkoszy w nagrodę miłości.
A on się dla mnie stał większą goryczą
Od téj, po któréj dnie smutku się liczą —
O! hańbo, hańbo, ja tak zapoznałem
Cnotę, i memi usty ją skalałem!
I trupam jeszcze szyderstwem obraził —
O! jakżem ślepy, kiedy niepoznałem
Przez tyle czasy, lat tyle, że w jednym —
W jednym dniu można być tak krwawo biednym!
Takaż nagroda za najświętszą cnotę!
O jam okropną wziął na się sromotę.
Próżno sumienie uciszyć się silę
Bym grzech opłakał, nie mam dziś łez tyle;
Życie me całe skazane na strucie
Oddam je szczerym żalom i pokucie.

Prokulu, biegnij zaraz do Cezara
Donieś o bólu jaki mię dotyka
O przebaczenie proś go dla grzesznika
Aż gorzkich cierpień przepełni się miara.

PROKULUS.

Oto posłaniec cesarski nadchodzi.
(Posłaniec wchodzi.)

POSEŁ.

Panie — ja jestem posłańcem Cezara
On sam — nie długo nadejdzie w twe progi.

EUFEMIAN.

Aleśmy jeszcze nie przygotowani
By uczcić godnie wstęp taki nam drogi
Czemuż ten pośpiech?

POSEŁ.

A więc nie słyszałeś,
Że w całym Rzymie zagrzmiały świątynie
„Tam - na Awentyn“! — bo na Awentynie
Zmarł święty człowiek! — już dzieci kościoła
Wszystkiemi drogi spieszą tu tłumami;
Bog sam świat cały do swéj łaski woła,
Papież i Cesarz nic nie wiedząc sami,
Mnie tu wysłali, aby poznać wprzódy,
Jaką świętością Bóg obdarzył ludy.

EUFEMIAN.

Ach, coraz sroższą moja nędza! — Biada!
Biada mi! jam w nim nie poczcił człowieka
Godnego wiary, a Bóg sam powiada,
Że to był święty. O — cóż mię dziś czeka!

Mój dom on święcił pięć lat swą bytnością
A jam go za to zelżył niewdzięcznością.
Idź do Cezara i proś go odemnie,
Ojca Świętego proś także w pokorze
By wzgardził takim, co upadł nikczemnie,
On *Ich* w swym domu przyjmować nie może.

KARYNUS.

Nie płacz mój ojcze! w krótce pocieszenie
Spadnie na serce twoje i sumienie.
Papież i Cesarz są pośrednikami
Szczęścia i zgody tu pomiędzy wami.
Oni to może za rozkazem Boga
Idą to odkryć, czego my nie wiemy.
W téj tajemnicy może wykryjemy
Co znaczy cnota cicha i uboga —
Co znaczy Pielgrzym, który się ukrywał. —

(*Dotyka się piersi zmarłego*).

Ha! czy to jego nagrobek?

(*wydobywa zwitek pergaminowy z pod ręki którą* Alexius *przyciskał pierś swoją. Wszyscy patrzą z oczekiwaniem na niego*).

Ach — co to?

(*otwiera zwitek, zagląda, wydaje okrzyk, i upuszcza pergamin; w namiętnéj boleści rzuca się na zwłoki* — Euzebiusz *podnosi pismo i daje* Eufemianowi. *Ten je przegląda, wypada mu z rąk a on jęcząc zakrywa rękami swe oblicze*).

EUFEMIAN.

Biada mi, biada! związkim porozrywał
Które Bóg z świętą pozawierał cnotą!
O hańba na skroń moję straszna spada
I coraz większa, i coraz straszniejsza!
Jam dziecka mego niepoznał — O! biada —
Jam był nieczuły na prośby synowskie
Jam zamknął serce — ach serce ojcowskie.
O! jam nie poznał bolesnéj tęsknoty
Biednéj, cierpiącéj, tułaczéj sieroty.

Teraz dopiero, teraz rozpoznaję
Różne te znaki, których niepoznałem
Jakiegoś czaru — i szału doznaję
Ach! ja na syna przeklęństwo ciskałem!
Euzebiuszu czytaj! ja nie mogę —
Wyrok méj śmierci, czuję przed nią trwogę.

EUZEBIUSZ

(wziąwszy pergamin, czyta śród głębokiego milczenia; wszyscy wydają oznaki zadziwienia).

„Jestem Alexius — jestem synem Senatora Eufemiana. Bóg rozkazał mi opuścić dom rodzicielski i przez pięć lat tułać się jako Pielgrzym. Największą część tego czasu bawiłem w Edessie. Po upływie lat pięciu otrzymałem rozkaz powrotu, aby umrzeć tam, gdziem się urodził. I do tego dnia, do dnia ostatniego, żyłem z jałmużny mego ojca.

„Dokonałem wszystkich przyrzeczeń moich: Prokulu, odchodzę ztąd na zawsze: Karynie, ty dziecię mego serca, zostaję przy tobie, kierować tobą będę, chociaż niewidzialnie.

„Ojcze mój, nie dręcz się mną! Zgotowałeś mi większe daleko szczęście, aniżeli mi ten świat dać może. Bądź zawsze gościnnym dla obcych, dobroczynnym dla ubogich. Dziedzic twego domu znalazł się, jakom ci często przepowiadał. A jako postanowiłeś, żeby on dzisiaj dał sąd na twe sługi względem Pielgrzyma Ignota, tako niechaj tem samem ogłosi on ogólne pojednanie. Niechaj wszystko będzie zapomnianem i przebaczonem.

Alexius".

PROKULUS.

Niech więc ja pierwszy błagam przebaczenia
Jam pierwszym jego powodem cierpienia.
W najgłębszym żalu grzechy swe wyznaję.

WSZYSCY.

My także.

BIBULUS i GANNIO.

Kiedyć przebaczenie daje
Niech go udzieli i nam.

EUFEMIAN.

Przebaczono
Wszystkim; lecz dla mnie nie masz przebaczenia
Bo kto biednemu ojcu to przebaczy
Czem na się ściągnął straszne udręczenia:
Wyrzut sumienia i zgrozę rozpaczy?
Wstyd mój? i hańbę? ja tam — tam wywiozę
Tam w kraj daleko w Egipskie pustynie
Tam łzami zmiękczę mych wyrzutów grozę
Pokutą z życia spłacę dług méj winie.

(Klękając przed zmarłym i rękę jego biorąc w ręce swe).

Tak — dziś poznaję te lube wyrazy
Jakże na twojem licu promienieją.
Ale zapóżno! O! duszo bez skazy —
Próżno mnie jaką cieszyć się nadzieją.
Mnie nędza tylko! a na twojem czole
Szlachetność błyszczy i święta pogoda
Na wargach, prawda jedność, miłość, zgoda —
Śmieją się jeszcze — Nawet śmierci bole
Nie pokalały ich skargą na Boga.
Ach twoje oczy! gdybym je obaczył
Białe powieki i tak niezakryły
Ażuru gwiazd tych, które w nich swieciły.

(Powstaje).

O! jakaż kara dosięgła mię sroga!
Jakżem ja oślepł, ach! któż mię pocieszy,
Kto mię wybawi z przepaści zwątpienia?

KARYNUS.

Ja — Ty wiesz ojcze kto nie wie, nie grzeszy.
To wszystko sprawy wyższego zrządzenia.
To co tu smutkiem, zgryzotą dla Ciebie
To jemu chwałą i zbawieniem w niebie.

EUFEMIAN.

Ach powiedz dziecię — jakoż to być może!

KARYNUS.

Syn twój zmarł w cichéj i świętéj pokorze
Na nim spełniona ofiara ta sama
Co niegdyś ręką ojca Abrahama
W Izaakowe piersi cios godziła.
Tak zmarł Alexius — ale cierpiał więcéj
On musiał cierpieć — musiał boleć więcéj.
Nie byłby świętym, jak jest, gdyby na nim
Nie spełniło się: „*lamma sabachtani*"
Bo to największe męczeństwo dla duszy.

EUFEMIAN.

O! sprawiasz ulgę méj strasznéj katuszy.

(*Do Posła*).

Idź do mych władzców i proś w mem Imieniu
Tego, co rządy świata trzyma w dłoni
I tego, który klucze niebios trzyma —
Niech przyjdą — tutaj na zimnym kamieniu
Leży król — władzy jego granic nie ma
Idź proś, niech przyjdą ujrzeć go i Oni.

(*Poseł odchodzi*).

I ja, i dziedzic mój o to prosimy.

KARYNUS.

Nie — ojcze, nie zwij mię takiem imieniem
(*wskazując na Alexia*).
Oto twój dziedzic, który ci powrócił
Powrócił z prawnem o swe upomnieniem
Dla czegożbyś go z dziedzictwa wyrzucił?

EUFEMIAN.

Co mówisz?

KARYNUS.

Wszakże Alexius dziedzicem
Jest twoim, nie ja — Niebo go uznało
Świętym i swoją otoczyło chwałą.
Lecz tu dom jego, tu ołtarz, Świątynia,
Tu grób — Tu winien być kościół wzniesiony.
A do czci jego niech się to przyczynia,
Że przy kościele domek wystawiony
Biednym pielgrzymom udzieli schronienia —
Więc twemi skarby zbuduj tu przybytek
Świętemu na cześć, biednym na użytek.

EUFEMIAN.

Lecz ty Karynie?

KARYNUS.

Ja w tym tu kościele
Będę kapłanem i stróżem i sługą.
Ja do Edessy pójdę na tak długo
Aż wzrosnę w siły i w duchu i w ciele.
Tam mi przebiegną lata w sławnéj szkole
Szybko śród nauk; a z równą szybkością
Rość będzie zapał. Tęsknoty i bóle
Łagodzić będę wiarą i miłością.

Tymczasem tutaj Świątynia się dźwignie
I kapłan do niéj z daleka przybieży
Co wytrwa w wierze, w sercu nie ostygnie
I uczyć będzie tego, w co sam wierzy
I uczyć będzie kwiat swojéj młodzieży.
Tu będzie pędził dni swego żywota
Smutne pocieszał, a ubogie wspierał
Tu łzy cierpiącym będzie z oczów ścierał
A hasłem jego będzie sama cnota.
A gdy i jego godzina nadbiegnie
To obok brata tutaj w grobie legnie —
Dumając w ciszy nad jego wielkością
Ukrytą nędzą, niepojętą cnotą
Pokornem życiem, nad śmierci sromotą
A jednak jasną jak słońce — świętością.

EUFEMIAN.

Czekaj, Karynie, teraz się wykryło
Co dnia owego tajemnicą było,
Dnia!, co domowi memu dodał chwały
Któréj ja nie znam, ani ten świat cały.
Widzę to jawnie, czego uczą nieba
I czego Chrześcian nauczać potrzeba:
„*Kościoła diadem nie zabłyśnie złotem*
Jeśli wprzód nie był ukrytym klejnotem“.

Skończyłem przekład w dzień Śgo Stanisława 1860.

Jan Kanty Turski.

RODZINA ALWAREDÓW

przez

FERNAN CABALLERO.

(Dokończenie).

KSIĘGA TRZECIA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Noc burzliwa okrywała niebo ruchomemi chmurami, które pędzone wiatrem pochód swój znaczyły strumieniami ulewy. Niekiedy przez szczelinę szybkiem lotem rozdartéj chmury zabłysło łagodne światło księżyca, jak herold pokoju i zgody wśród walki.

Przy świetle owem dojrzeć było można człowieka, który przyspieszonym krokiem szedł po samotnéj drodze. Jego chód niepewny, wzrok trwożliwy i niespo-

kojne ruchy muszkułów bladéj i chudéj jego twarzy, niezostawiały wątpliwości że człowiek ten ucieka.

Uciekał on rzeczywiście; uciekał z zamieszkałych okolic, przed bliźniemi swemi, przed sprawiedliwością ludzką, przed sobą samym i własnym sumieniem, gdyż człowiek ten był zabójcą i nikt, widząc go uciekającego z takim pośpiechem jak owe chmury w górze przedścigającą je niewidomą siłą, niebyłby poznał w potępionym, nad którym prawo zawiesiło nieubłagany wyrok pokuty, zacnego członka społeczeństwa, posłusznego syna, kochającego męża i czułego ojca, jakim był jeszcze przed kilku dniami.

Był to Periko. Nie szukał on postradanego nazawsze pokoju, lecz uciekał przed teraźniejszością, drżał przed przyszłością.

Przepędzał rozpaczliwe i pełne zgryzot nocy w najsamotniejszych miejscach bez innego posiłku jak żołądź i korzonki, unikając wzroku ludzi jak gdyby każdy z nich był jego sędzią i strzegąc się światła dziennego jak oskarzyciela. Lecz gdzież jest ciemność, któraby zdołała zamroczyć obraz tak żywo i jasno w duszy jego wyryty? gdzież cisza wśród któréj zmilkłby głos wewnętrzny? Obrazem tym był krwawy trup Wentury, rozpacz biednéj jego matki, boleść nieszczęśliwéj siostry, osierocone dzieci jego, zwątpienie starego przyjaciela jego ojca, klątwa całéj jego czcigodnéj rodziny; przedewszystkiem brzmiał w uszach jego nieustannie grobowy dźwięk śmiertelnego dzwonu, jakim kościoł ofiarę jego przyjmował na swoje łono.

Napróżno pycha szeptała doń zwodniczem słowem, że musiał dla honoru uczynić to co uczynił, że nieuczynić byłoby hańbą, a obraza daleko była większą niż zemsta. Głos sumienia, który zrazu namiętności głuszyły, przemawiał doń coraz dobitniéj i groźniéj im bar-

dziéj pierwsze słabły i zdawał się wiecznie powtarzać: o gdybyś tego niebył uczynił!

Wiatr dziwnym odzywał się jękiem, który w miarę większéj lub mniejszéj gwałtowności pędu jego to cichnął, to się znowu stawał głośniejszym. Cóżby to być mogło? Winowajcę wszystko przeraża. — Im bliższym był ów jęk, tém mniéj mógł go sobie wytłómaczyć Periko. W końcu trwoga jego do najwyższego dochodzi stopnia, niemogąc bowiem nic dostrzedz z powodu ciemnéj chmury, która zasłoniła księżyc, słyszy tuż nad swą głową owe posępne, grobowe, przerażające tony. W téj chwili rozbiegły się chmury i księżyc rozesłał białe i jasne swe światło, jak płaszcz z przezroczystego śniegu. Periko spojrzał w górę chcąc zbadać ztąd tajemnicze wydobywają się tony, i . . . o zgrozo! na pięciu palach ujrzał pięć głów człowieczych. One to wydawały owe żałosne jęki jako przestrogę zmarłych dla żyjącego [1]).

Periko cofa się z przerażeniem, lecz widzi że nie jest sam. Pod jednym z palów stał człowiek silny i rosły odważnéj i dumnéj postaci. Strój jego jest bogaty, twarz opalona, rysy twarde, śmiałe i spokojne. Trzyma, on w ręku kapelusz i odkrytą miał głowę w obec godeł hańby, głowę, któréj nigdy zresztą nie odkrywał, gdyż to był człowiek co się z pod prawa wyłamał, człowiek, co zerwał wszelkie związki z społeczeństwem ludzi, którymi gardzi; lecz człowiek ten jakkolwiek złoczyńca wieży w Boga, jakkolwiek zbrodzień jest chrześcianinem i modli się.

Gdy z tak energicznéj i dzikiéj duszy, która się wyswobodziła z wszelkich karbów, kropla czci religij-

---

[1]) Wiele osób świadczy o tem fenomenie, który zdaje się naturalnie tłómaczyć tą okolicznością, że wiatr przechodząc przez gardło, usta, otwory w uszach i nosie, wydaje szelest. (*przyp. aut.*)

néj jak promień żywéj wody ze skały wytryśnie, cóż na to rzekniecie wy niewierni? Jestże to zabobonna trwoga.

Trwoga jest dla tego człowieka wyrazem, który niema znaczenia.

Jestże to hipokryzyą?

Dla kogo? gdy prócz pięciu głów trupich niema innego świadka.

Jestże to słabość moralna?

Człowiek ten posiada moc duszy nieznaną w społeczeństwie, w którem się każdy na czemś opiera; on się nie opiera na niczem.

Sąż to przypomnienia z dzieciństwa, hołd dla pamięci matki, która go nauczyła modlić się?

Niema ich sierota bez opieki, wzrosły może pomiędzy dzikiemi wołmi, które pasać musiał.

I cóż więc kark ten ugina i modlić mu się każe przed trupią czaszką bliźniego?

Po kilku chwilach człowiek ów przestał się modlić włożył kapelusz na głowę i zarzuciwszy w tył połę swego płaszcza, rzekł zwracając się do Perika:

— Dokąd Mości Panie?

Periko niechciał, niemógł odpowiedzieć, zaćmiło mu się w oczach.

— Dokąd? zapytuję, krzyknął nieznajomy powtórnie.

Periko milczał.

— Jestżeś niemym, prowadził tenże daléj, lub niechcesz odpowiadać? Jeżeli tak, rzekł wskazując na swą strzelbę, oto są usta, które wyraźniéj przemówią niż moje.

Stan rozpaczliwy w jakim się Periko znajdował rozdrażnił go do tego stopnia, że rozwaga stała się dlań czczem wyrazem, a plama nikczemności czerwieniła się na jego czole jak świeżo wypalone piętno. Bez wahania się więc pochwycił za broń i rzekł:

— A tu są drugie, które w tym samym tonie odpowiadać zwykły, w jakim są zapytane.

Nieznajomy niemiał złowrogiego zamiaru i pogróżki swéj niechciał w rzeczywistość zmienić chociaż niebrakowało mu na odwadze, której miał więcéj niż każdy inny, co kiedykolwiek dotknął stopą gór i dolin Andaluzyi. Zamiast więc zapalać się gniewem na ową zuchwałość wysmukłego i znędzniałego młodzieńca, podobała mu się ona owszem i rzekł:

— Kolego, chętnie przed tobą uchylam kapelusza, zanim dobędę miecza; lecz chciałbym wiedzieć z kim mówię i kogo na drodze mojéj spotykam. Musisz być odważnym, kiedyś w tę strony kroki twe zwrócił, gdzie jak mówią, krąży z bandą swoją Diego; a kto jest Diego, wiesz zapewne tak dobrze jak cała Hiszpania. Dokąd wzrok jego dosięgnie, tam sięga jego kula; liście na drzewach drżą na jego widok, a umarli w grobach na jego imie.

Rzekł to nie z ową andaluzyjską chełpliwością, któréj śmieszność dziś tak przesadzają, lecz z wyrazem silnego przekonania i spokojem prawdy.

— Cóż mnie obchodzić może Diego i jego banda? odpowiedział Periko nie w tonie zuchwałym, lecz z najgłębszą bezwładzą ducha.

Mówiąc te słowa słabym głosem, zachwiał się i oparł głowę na strzelbie.

— Co ci jest zapytał nieznajomy? spostrzegłszy jego bezsilność.

Periko nieodpowiedział; ostatnie wrażenia tak wielki nań wpływ wywarły, że padł bez przytomności na ziemię.

Nieznajomy ukląkł przy nim i podniósł głowę jego do góry. Światło księżyca oświeciło w téj chwili całym blaskiem tę twarz, piękną jeszcze pomimo bladości śmier-

telnéj i śladów, jakie namiętność, wyrzuty sumienia i boleść na niéj wypiętnowały.

— Nie żyje! rzekł kładąc szorstką swą dłoń na sercu Perika, tak jeszcze przed kilku dniami czystem jak niebo majowe.

— Nie — jeszcze nie umarł, mówił daléj, lecz chwile jego są policzone jeżeli nie będzie miał pomocy.

I znów wpatrywał się weń i uczuł w sercu swem budzący się ów niebiański magnes, który siłę ku słabości, potęgę ku bezsile pociąga; gdyż niech co chcą mówią nieprzyjaciele ludzkości, boska ta iskra tli w całéj człowieczéj naturze.

Powstał i gwizdnął.

Zatętniał szybki, pełny siły młodzieńczéj bieg konia, i piękny źrebiec z szyją wyciągniętą naprzód, grzywą igrającą z wiatrem, wrył się nagle przedniemi kopyty w ziemię, rżąc wesoło i zwracając błyszczące swe oczy ku panu swemu, jak gdyby chcąc mu wskazywać strzemie.

Nieznajomy podniosł silnem ramieniem omdlałego Perika, położył go w poprzek na koniu, wskoczył po za niego na siodło, pocisnął kolanem bok konia, który jakby nieczując podwójnego ciężaru lekko i rączo ruszył z kopyta.

ROZDZIAŁ DRUGI.

W samotnéj karczemce, ukrytéj jak żebrak szukający spoczynku na uboczu gościńca, siedział szynkarz z żoną swą przy kominie; równie przywykły do przemiany peł-

nego wrzawy dziennego ruchu w zupełną samotną ciszę w nocy, jak mieszkańcy bagnistych okolic do febry.

— Przeklęty niech będzie, rzekła szynkarka ów uparty żeglarz któremu przyszło do głowy nieznany świat odkrywać i który niespoczął wprzód aż go odszukał. Czyż król niemiał już dosyć z tym do czynienia, który mamy? I naco się to wszystko przyda? Oto aby synów naszych tam wysyłano i aby w zamian za to wracała do nas zaraza. Powiedź Jędrzeju i nie śpij jak świszcz, czy jest z tego inny pożytek?

— Jest, jest odmruknął gospodarz, do połowy otwierając oczy — ztamtąd mamy srebro.

— Niech złe porwie srebro, rzekła szynkarka.

— I tytoń dodał powoli i napół sennie mąż, i znowu zasnął.

Przeklęty tytoń zawołała szynkarka w gniewie, czy myślisz wyrodny ojcze! że srebro i tytoń tyle są warte co życie ludzi, którem zostały okupione, lub co łzy, które za niemi przelano? Biedny mój syn!.. Bóg wie co się z nim stało w kraju, gdzie zabijają ludzi jak owady i gdzie wszystko jest zatrute, samo nawet powietrze.

Wtéj chwili rozległ się świst głośny.

Szynkarz jednym rzutem stanął na równe nogi szybko pochwycił światło i pobiegł ku drzwiom mówiąc:

— Kapitan!

Czerwony odblask światła padł gdy drzwi otworzył, na człowieka siedzącego na koniu. W poprzek konia leżał jak się zdawało umarły.

— Pomożcie mi zdjąć tego człowieka z konia, rzekł jeździec, którego gromki dźwięk głosu świadczył, że niezwykł słów trwonić nadarmo.

Szynkarz oddał światło żonie, która się właśnie zbliżyła, i uczynił spiesznie co mu nakazano.

— Przez Boga! to trup, zawołała szynkarka, w imie Najświętszéj Panny, nie zostawiajcie go panie w naszym domu.

— On nie umarł, rzekł jeździec, jest tylko chory, pielęgnujcie go; od czegoż są kobiety? Oto pieniądze na kuracyę.

To mówiąc rzucił złoty pieniądz i znikł w ciemnościach, podczas gdy dobitny i w takt rozlegający się tentent cwałującego konia cichnął zwolna, jak myśl, która stopniowo traci samowiedzę, kiedy sen władze duszy ujarzmia.

— To piękna historya, zawołała Marta; założyłabym się że go sam własnoręcznie tak sprawił, a teraz czmycha i nam narzuca nieboszczyka... Pielęgnujcie go!... jak gdyby nic innego niebyło do czynienia, jak pielęgnować już prawie umarłego czy umierającego. Przecież gospoda nasza nie szpital. Czyż ten zbójca myśli ze wszystkim może rozkazywać, jak gdyby był królem.

— Milcz, rzekł przestraszony szynkarz, czyż niemożesz zamknąć gęby? Śmieszże tak mówić o Diegu. — Te baby to prawdziwe córy szatana!.. Poco szemrać kiedy wiesz dobrze, że nic innego uczynić niemożemy jak to co nam ci ludzie rozkażą.

Przygotowali co prędzéj łóżko na strychu.

— Niema śladu uderzenia ani rany, rzekł Jędrzéj rozbierając chorego, widzisz Marto, że to poprostu jakaś choroba...

— Patrz, patrz Jędrzeju! zawołała Marta, ma na szyi szkaplerz Najśw. Panny z góry Karmelu.

I jak gdyby widok lub wpływ tego ś. znaku zbudził w niéj wszystkie uczucia chrześciańskiéj pokory, jak gdyby zbratanie się tym samym ślubem przywołało do duszy jéj święte przykazanie: „Kochaj bliźniego twego jak siebie samego“ rzekła:

— Dobrze masz Jędrzeju! iść mu w pomoc, to dzieło opatrzności. Biedny chłopiec, jakiż on młody a jak opuszczony.... Biedna jego matka!... Prędzéj, prędzéj Jędrzeju! czegoż stoisz jak pień. Biegnij i przynieś wina, trzeba mu skronie potrzyć... Spraw dla niego parę kurcząt na rosół.

— Jużto tak zawsze, mruczał pod nosem Jędrzéj dopiero co go w dom przyjąć niechciała, a teraz z litości niewie czem go ma uraczyć. O kobiety, chyba was diabeł pojmie!

Marta była niezmordowaną w swéj pieczołowitości około chorego, który się wił na łóżku i straszne rzeczy wygadywał w malignie.

Następnego wieczora wszedł do gospody człowiek odrażającego oblicza. Był to bandyta i pod tą nazwą był znany.

— Witajcie, rzekł gospodarz z widoczniejszą trwogą niż serdecznością, cóż was tu sprowadza?

— Kaprys kapitana... niech go tam piorun!.. wysyła mnie jak laufra aby się wywiedzieć o chorym.

— Nie szczególnie się ma, odpowiedział szynkarz, bredzi w gorączce o jakimś popełnionym przez siebie mordzie, o trupich głowach...

— Oho! jestże to człowiek co się zna z orężem, zapytał posłaniec, pójdźmy zobaczyć go.

Poszli na strych.

— Przez cały dzień koszula na mnie nie wysycha, rzekł szynkarz idąc, byli tu ludzie a nawet żołnierze i gdyby byli słyszeli...

Tymczasem przyglądał się bandyta młodéj i pięknéj już zniszczonéj postaci Perika i rzekł do szynkarza z pogardliwym gestem:

— Jeżeli wam robi ambaras, wyrzućcie go za drzwi.

— O nic z tego... rzekła Marta; on taki nieszczęśliwy. Mam w Ameryce syna, który w téj chwili może

w takiem samem jak on znajduje się położeniu; biedny, opuszczony od wszystkich może również jak ten woła swojéj matki. Nie — nie, Sennor! Nie opuściemy go ani Najśw. Panna, któréj szkaplerz nosi, ani ja.

— To karmcież sobie go cukierkami, rzekł schodząc bandyta.

— Cóż słychać nowego zapytał gospodarza.

— Słychać że nałożono cenę na głowę Diega.

— Co? zapytał bandyta z znaczącą ciekawością?

Gospodarz powtórzył co był rzekł poprzednio.

Bandyta zamyślił się przez chwilę potem rzekł:

— Gdzież sądzą że się znajdujemy?

— W okolicy Despennaperos.

— Czy nas ścigają?

— Oddział jazdy wyruszył do Sewelli, piechota do Korduby a migueleci [1]) do Utrery.

— Niejedne oni zedrą jeszcze buty nim dojrzą obliczów naszych, rzekł bandyta, a gdy ich dojrzą, drogo to przypłacą.

— O tak, odrzekł Jędrzej, komu Diego spojrzy w oczy, niech się postara o trumnę. Jednakże w końcu mogłoby ich być tak wielu. . .

— Czyś ciekawy, przerwał mu bandyta ile waży policzek z mojéj ręki?

— O nie. . . bynajmniéj, odpowiedział Jędrzéj cofając się kilka kroków.

— No to trzymaj lepiéj język na wodzy. . . A teraz jeść. . . prędzéj!.

Jędrzéj pospieszył spełnić rozkaz.

Gdy bandyta wyszedł, odezwał się głos Marty, która nań wołała:

---

[1]) Rodzaj żandarmeryi krajowéj dla przeszkodzenia przemytnictwu.

Byłabym zapomniała prosić was abyście oddali kapitanowi pieniądze. Oto są! powiedzcie mu że co czynię dla tego młodzieńca, to z miłości chrześciańskiéj, a nie dla zysku.

— Powiem ja mu to rzekł bandyta. Nie cierpi on aby mu się sprzeciwiano czy powie „daj czy bierz"... lecz chcąc wam zrobić przysługę, zatrzymam złoto dla siebie.

Wtem spiął konia ostrogami i zniknął.

— Wyborna dla ciebie nauka, rzekł z gniewem szynkarz do żony. Czyż pieniądze nierozsądna kobieto, lepiéj u tego łotra schowane jak u nas? Diabeł was chyba zrozumie!

— Ja siebie rozumiem i Bóg mnie rozumie, rzekła dobra niewiasta i poszła do pokoju chorego.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Pieczołowitość zacnéj szynkarki, równie jak młodość i silna natura Perika pokonały chorobę jego i po dwu tygodniach mógł już opuścić łóżko.

Periko wyraził Marcie wdzięczność swą słowami płynącemi z serca, aczkolwiek nie zbyt wymownemi.

— Nie mnie winieneś wdzięczność, rzekła czcigodna kobieta, lecz temu który mi cię powierzył; wprawdzie nie bardzo byłam zadowoloną z twego przybycia, lecz wkrótce przywiązałam się do Ciebie, widząc że jesteś dobrym katolikiem i dobrym synem.

Z głębokiem uczuciem boleści i zawstydzenia spuścił Periko głowę. Osłabienie jego fizyczne ostudziło ślepą zapalczywość, która niekiedy łagodnych i bojaźliwych

ludzi do tego stopnia ogarnia, iż przekraczają granice, jakie silniejsi i namiętniejsi szanować zwykli.

Cokolwiek w nim namiętność na wierzch wyrzuciła jak gaz pianę w musującem winie, jak piana opadło znów na spód i została tylko rozwaga, która wprawdzie nie przedstawiała mu w mniejszych rozmiarach doznanéj krzywdy, potępiała jednak sposób, w jaki wywarł zemstę.

Z powracającem zdrowiem wróciła w duszę Perika obawa z jaką patrzał w przyszłość. Obawa ta wzmogła się jeszcze bardziéj, gdy dnia jednego Jędrzéj następnie doń przemówił.

— Przyjacielu, gdy już przyszedłeś do zdrowia, winieneś o sobie pomyśleć. Pomówmy z sobą otwarcie. W malignie wygadałeś się o popełnionem przez ciebie zabójstwie. Jeżeli tak jest i wyśledzą cię, to na nas spadnie wielka odpowiedzialność, a toby było niesłusznie. Sprawiedliwi niepowinni pokutować za grzeszników, a niech sobie Marta co chce mówi, miłość chrześciańska od siebie samego się poczyna i tylko żona moja, która niewięcéj ma rozumu jak makówka, twierdzi że bliźniego bardziéj należy kochać niż siebie.

Nie odrzekłszy ani słowa poszedł Periko ze łzami w oczach pożegnać Martę. Pożegnanie to zasmuciło dobrą kobietę, która się przywiązała do niego. Wspomnienie o własnym synu pociągnęło ją ku nieszczęśliwemu młodzieńcowi, wspomnienie o matce pociągnęło Perika ku zacnéj niewieście, która mu miejsce matki zastępywała.

Chwycił broń w rękę i zbliżał się właśnie do drzwi, gdy przed nim stanął bandyta.

— Dokąd? zapytał go; chceszże się wynieść nie rzekłszy nawet „bóg zapłać“ téj dobréj duszy, która się tobą opiekowała. Tak nie uchodzi kochanku! Zresztą gdziesz

się chcesz udać? czekaj lepiéj chwili w któréj cię sami schwytają.

Periko nic nie odpowiedział; wola, rozwaga, myśl, wszystko w téj chwili w nim zamarło.

— Daléj naprzód, rzekł bandyta, zrób tak jak my, którzy wszystko chowamy, a sami chować się niedajemy.

Periko poszedł za nim bez wiedzy.

— Patrz Marto, rzekł Jędrzéj widząc Perika odchodzącego z bandytą, patrz jaki to klejnot z twego ulubieńca. Idzie z bandytą.

— I cóż ztąd, odpowiedziała Marta. Gdyby nawet... Ale ja ci mówię Jędrzeju że on jest dobrym synem i dobrym katolikiem.

— A ja ci mowię, że to łotr i waryat, który mi wyjadł wszystkie kury, rzekł szynkarz. Idzie do bandy zbójców, a ty śmiesz jeszcze utrzymywać że on dobry. Diabeł was chyba pojmie.

Gdy Periko z bandytą przedarli się przez gęstwinę, doszli do wzgórza, na którym stał kapitan oparty o strzelbę. Na stoku wzgórza spało ośmiu ludzi nad którymi zdawał się czuwać. Obok niego pasł się piękny koń, który niekiedy głowę podnosił w górę i spoglądał na pana swego.

— Oto jest nasz chory, rzekł bandyta:

Nie uczyniwszy najmniejszego ruchu, zwrócił kapitan zwolna oczy swe na nowego przybylca i obejrzał go od stóp do głowy.

— Czy uciekasz przed pogonią, zapytał go po chwili.

Periko nic nieodpowiedział i patrzył w ziemię.

— Nie lękaj się rzekł i tak daléj mówił: człowiek ma chwile nieszczęścia, z których jedne są czerwone jak krew, drugie czarne jak kir. Jedna taka chwila wystarcza aby człowieka zgubić i serce jego zamienić w głaz, gniotący tylko ciężarem swym, lecz już bez czu-

cia, bez tętna. Człowiek który upadł, nie może już tego odrobić bo przeszłość zostanie zawsze przeszłością, a czego zmienić nie można, należy znosić odważnie. Życie jest walką w której nieustraszenie naprzód spoglądać trzeba jak żołnierz odważny, nie zaś w tył jak tchórz.

— Ja tego niemogę, rzekł Periko, gdybyście wiedzieli....

Kapitan z rozkazującym gestem wyciągnął rękę przerywając mu mowę i rzekł:

— Tu każdy w sobie kryje swe tajemnice jak list zapieczętowany, nie budząc w inszych ciekawości ani zajęcia. Jeżeli niemasz się gdzie udać, pozostań z nami, tu bronimy jedynéj rzeczy jaką posiadamy, to jest.. życie nasze. Co się mnie tyczy, nie bronię mego dla tego aby miało jaką wartość, lecz aby go nieoddać katowi.

— Czy się trudnicie rabunkiem? zapytał Periko.

— Czemś trzeba się trudnić odrzekł herszt bandy, zawierając się jak żółw w swą szorstką i twardą skorupę.

Periko na nic nie przystał, ani nic nie odrzucił; był on jak automat bezwłasnowolny. Jego nędzne jestestwo rzucone było na łup przypadkowi, jak suchy, gnuśny piasek wiatrom pustyni.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Podczas gdy z wątku powyżéj opowiedzianych wypadków okazało się, że banda złoczyńców nieszczęśliwego Perika bezwiednie prawie osidliła, cóż się działo

z innemi członkami rodziny? dokądże doprowadziły ich boleść, rozgoryczenie i zemsta?

Pedro zamknął się ze smutkiem w swym w domu od nieszczęsnéj owéj chwili, w któréj syna utracił. Proboszcz i kilku przyjaciół odwiedzali go od czasu do czasu, nie dla tego aby go pocieszać, gdyż to niepodobną było rzeczą, lecz aby mówić z nim o jego cierpieniu, tak jak się z okrętu, którego już niemożna naprawić, gorzką wodę morską wylewa, aby na spód nie poszedł. Starali się skłonić go aby z rodziną Perika zerwane stosunki zawiązał, lecz zabiegi te spełzły na niczem.

— Przebaczyłem mu przed Bogiem i ludźmi jak to i syn mój w chwili konania uczynił, ale żyć z jego rodziną, to już nad moje siły.

— Pedro! tak się nieprzebacza, rzekł proboszcz, to tylko litera ale nie duch prawa.

— Proboszczu! odpowiedział nieszczęśliwy ojciec, Bóg nie żąda od ludzi niepodobieństwa.

— Nie, to prawda; ale wszystko czego od nas żąda jest możliwem.

— Chceszże ojcze wielebny abym działał jak święty? wszak świętym nie jestem. Czyż niedość że im jako katolik przebaczam? Czyż ich prześladowałem? Czyż ich pieniałem po sądach? Cóż więcéj uczynić mogę.

— Możesz im złe dobrem odpłacić, tak postępuje mędrzec.

— Na Boga! Proboszczu, nie żądaj odemnie zbyt wiele. Korzę się przed tymi, którzy tak czynią, ale nie każdy może się wznieść nad ułomności ludzkie.

Marya okrywając boleść i hańbę swéj córki płaszczem macierzyńskiéj miłości, schroniła się wraz z nią do swego domku, téj jedynéj ucieczki, która jéj pozostała przed jednogłośnym wyrokiem potępienia i powszechnem obu rzeniem.

Opuszczone od wszystkich ale wiarą i sumieniem pocieszane w niewypowiedzianéj boleści, pędziły samotne życie obie nieszczęśliwe ofiary Anna i Elwira.

Tak ubiegło kilka miesięcy.

Nadeszła wreszcie do wsi misya składająca się z dwóch kapucynów.

Misyj tych było celem grzesznika nawrócić, obojętnego ożywić, dobrego wzmocnić, strapionego pocieszyć.

W wieku oświaty, gdzie wszyscy jesteśmy dobrzy, gorliwi, silni, szczęśliwi, misye te uznano za zbyteczne. Misyonarze z ambon przemawiali w nocy, a kościół napełniał się ludem spieszącym słuchać słowa bożego, które go uczyło być dobrym. Teraz uczą go w klubach wiele szczytnych, godności jego odpowiedniejszych rzeczy. . . Biedni ludzie!

Maryi udało się nakłonić córkę aby jéj towarzyszyła na kazania misyjne.

Gorżka, gryząca, pełna sromu hańba Rity i boleść jéj zrozpaczona, znalazły tam skruchę, łzy przelane za przeszłość, pokutę i pokorę w teraźniejszości, a na przyszłość rękę Boga, która upadłego dźwiga, jeżeli tonąc w łzach gorących i tarzając się w prochu modły do nieba wznosi.

Pewnego wieczora, przebaczenie obrazy było tekstem kazania.

Wspaniały temat! święty i wzniosły, jak żaden inny. Z ogniem zapału umiał kaznodzieja przedmiot swój wyczerpnąć, a wierny lud zrozumiał go.

W końcu ukląkł święty poseł wiary przed krucyfiksem i przyrzekł z całem namaszczeniem miłości chrześciańskiéj Bogu miłosierdzia, w imieniu u nóg swych klęczącego ludu, że następnego wieczora niebędzie w domu Bożym ani jednego zamkniętego i niepojednanego serca. Szmer głębokich westchnień i powszechne łkanie potwierdziły przyrzeczenie pobożnego wysłańca pokoju.

Dzień następny był dniem pojednania i miłości w duchu ewangielii. Głęboko wkorzenione nienawiści ustały, najnieprzebłagańsi nieprzyjaciele ściskali się na ulicach, anieli w niebie radowali się.

Pedro poszedł do Anny.

Okropny był dlań wstęp do tego domu. Zbliżył się do Anny i milcząc objął ją w ramiona. Nieszczęśliwa matka drżała i napróżno starała się boleść swą przytłumić. Gdy jednak Pedro zbliżył się do Elwiry, która podobna do cienia, łzami zalana, wychudłe swe ręce załamywała, gdy tę którą uważał i kochał jak córkę, do ojcowskiego swego serca przycisnął, ulżył tłumionéj swéj boleści wykrzykiem:

— O córko moja! kochaliśmy go oboje.

I Rita udała się do Anny aby się z nią pojednać. Gdy się ujrzała wobec swéj ciężko obrażonéj świekry, rzuciła się na kolana.

— Jam była wszystkiego przyczyną, rzekła bijąc się w piersi. Nieprzychodzę błagać przebaczenia, bo na nie niezasługuje, lecz proszę abyście mnie ukarali nieprzeklinając mnie.

Gdy się zwróciła do Elwiry, zdawała jéj się niedostateczną postawa klęcząca, rzuciła się twarzą na ziemię i łkając głośno rzekła:

— Ty która jesteś aniołem, przebacz mi jak anieli przebaczają.

Biedna Marya trzymała w objęciach swych nieszczęśliwą córkę, wznosząc ku Annie łzawy, błagalny wzrok.

Anna i Elwira podniosły bez słowa wyrzutu kobietę, która im tyle złego wyrządziła i uściskały ją. Od dnia tego czyniły wszystko co tylko było w ich mocy, aby ją pocieszyć, była ona bowiem najnieszczęśliwszą ze wszystkich, bo była winną.

Cała wieś otoczyła kobietę, która tak szczerze i publicznie żal swój objawiała, chrześciańską miłością;

kiedy bowiem tak zwany świat wyższy w powierzchownych oznakach religii widzi o jeden więcéj powód do wyszydzania jéj, łącząc z zarzutem winy, któréj nie zapomina nigdy, zarzut obłudy, którą przypisuje ludziom religijnym — lud szlachetniéj ocenia jawne znaki skruchy i upokorzenia przed Bogiem; niebyło przeto nikogo we wsi coby widząc Ritę ze łzami rzucającą się na ziemię, niezamienił pogardy w litość i obelżywego wyrazu „bezwstydna,“ na wyraz współczucia „biedna kobieta.“ Lud nieoświecony niewie co jest filantropia, ale wie co jest miłość chrześciańska, gdyż tego uczy go religia.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Życie, jakie tymczasem Periko prowadził, było dlań okropnem. Potrzeba równie jak przewaga, jaką energiczny wpływ Diega nań wywierał, posuwały go coraz daléj na drodze zbrodni, na którą go nieszczęście popchnęło; lecz raz wpadłszy na ten tor, oswoił się z nią szybko, jak się oswaja rycerz z żelazną zbroją, któréj ciężaru ani twardości nie czuje. Jak cień ponury szedł on ze złoczyńcami, którymi się brzydził. Podobny był do ryby srebrnołuskiéj, zgubnym prądem z wody słodkiéj do morza porwanéj, która w jego gorzkich i wzburzonych bałwanach śmiertelne cierpi męki, lecz się wyrwać już z nich niemoże. Nieraz gdy w oczach jego popełniono zbrodnie, postanawiał sobie w rozpaczy, katuszom swym od razu kres położyć i oddać się w ręce sprawiedliwości, ale wstyd i brak energii wstrzymywały

go od tego. Inni towarzysze nienawidzili go i dali mu przydomek „posępny“ lecz silna opieka Diega wspierała go.

Diego czuł pociąg do człowieka, któremu uratował życie, który był dobrym i posiadał pojęcie honoru, gdyż Diega twarda i szorstka natura była silną i szlachetną; nie zniżył on się jeszcze do ostatniego stopnia złego — do nienawiści ku dobremu. Nie posuwając się do romantycznéj przesady która z bandyty twarzy bohatera, niemniéj dalecy jesteśmy od klasycznego purytanizmu, który zeń robi potworę wyzutą z wszelkiéj ludzkości. Tego rodzaju wizerunkowi, przedstawianemu ku pożytkowi systematycznéj moralności i według zasad matematycznych rozmierzonemu względami stanu, zadają fałsz rysy odwagi, wspaniałomyślności i szlachetności, spotykane w dowódzcach band. To samo już, że mogą być naczelnikami podobnych ludzi, dowodzi niezmiernéj ich przewagi, gdyż władza ich nie opiera się na niczem, prócz na własnéj ich sile.

Razu jednego, gdy banda w wycieczkach swych dotarła aż do Ventas, nadbiegł jeden z szpiegów wysłanych do Utrery, zadyszany pospiechem i doniósł: że oddział żandarmów, zapewne przez świeżo napadniętych podróżnych zawiadomiony, wyruszył ztamtąd i ku Ventas się zbliża. Zbójcy ukryli się szybko w lesie oliwnym, lecz zaledwo tam zdążyli, zostali otoczeni przez pluton jazdy.

Morderczy rozpoczął się ogień, w którym zbójcy z nieustraszonem męztwem walczyli, chodziło bowiem o ich życie.

— Periko, rzekł doń Diego, teraz albo nigdy nadarza ci się sposobność pokazania, że chleba twego nie jesz zadarmo; tu występuje siła przeciwko sile, żwawo więc! jeżeli w tobie bije serce męzkie. . .

Na te słowa rzucił się Periko zaledwo zebrać mogąc swe zmysły, jak pijany naprzeciw kulom i dał ognia

do hufca godnych ubolewania ludzi, niosących wszystko, życie nawet w ofierze dla dobra społeczeństwa, które im w samolubstwie swem nawet wdzięczności odmawia. Doznają oni równego losu jak spowiednicy lub lekarze, wyszydzani częstokroć gdy dusza i ciało są zdrowe, lecz wzywani ilekroć grozi niebezpieczeństwo. Jeden ze zbójców legł trupem, dwóch żołnierzy było rannych, a kula Perika dosięgła dowódzcę wojskowego oddziału, stojącego o parę kroków. Przerażenie żołnierzy tym smutnym wypadkiem ułatwiło zbójcom ucieczkę.

Obeszli zdala Utrerę i ruszyli miedzami przez La Choparra i Venagila do Volabrego, dokąd znużeni dociągli wieczorem. Dolina ta leżąca w pobliżu Alcali, otoczona jest wzgórzami i gajami oliwnemi. W najodleglejszéj jéj stronie, sterczą nad brzegiem strumienia, gruzy maurytańskiego zamku, zwanego Marchenilla. U stóp tych samotnych ruin, padli od trudów bezsilni ludzie i konie na ziemię. W strumieniu ugasili pragnienie, rozpalili ognie za nadejściem nocy i pokładli się wszyscy spać, z wyjątkiem Diega i Perika.

— Fatalny to dzień Corso, rzekł Diego głaszcząc pięknego swego rumaka, który z wdziękiem poruszał głową, jak gdyby chciał słowo pana swego potwierdzić i mówić doń: ocaliłem cię przecież.

— Źle tobie u mnie mój najmilszy, mówił daléj zbójca, który konia swego kochał równo z życiem. Była to jedyna istota, którą miłował w świecie.

Koń jak gdyby rozumiał słowa pieszczoty, odpowiedział wesołem rzeniem, spiął się na tylne nogi i kołysząc się na nich w tę i ową stronę, rzucił się obok pana swego, podając mu czoło do pieszczot.

— Cóż się z tobą stanie, gdyby mnie schwytano? rzekł zbojca, kładąc swą głowę na szyi konia, która wyciągnęła się nieruchomo.

— Tobie, mówił daléj usiadłszy naprzeciwko Perika przy ogniu, zawdzięczamy żeśmy się tanim kosztem wywinęli z rąk wojska.

— Mnie? zapytał Periko zdziwiony.

— Tak jest, odpowiedział kapitan, gdyż dowódzca oddziału był to dzielny oficer, który nie umie żartować i zna kraj; syn hrabiny Villaoran byłby się nam dał we znaki, gdybyś go niebył sprzątnął twoją kulką.

— Boże! zawołał Periko zrywając się na równe nogi i podnosząc złożone ręce ku niebu, to był syn hrabiny i ja go zamordowałem!

— Cóż cię tak trwoży? odezwał się Diego. Czyżeś myślał że strzelamy prosem? Do szatana! coraz bardziéj zaczynam złościć się na ciebie. Udajesz aktora twojemi tragicznemi gestami i wieczystemi jękami. Słusznie mówi bandyta, żeś chybił twego przeznaczenia; tobie, zamiast obierać życie wesołe, trzeba było zostać mnichem... Teraz odbywaj czaty, dodał i obwinąwszy się w płaszcz, wziął strzelbę swą pomiędzy kolana i pod głowę kamień podłożył.

Dla Perika przypomnienie to było zabójczem. W rozpaczliwéj swéj boleści rwał sobie włosy i sam siebie przeklinał. Z rąk jego zginął syn pani i dobrodziejki jego wuja i ciotki, towarzysz jego dzieciństwa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Jakże w téj strasznéj nocy przed duszą nieszczęśliwego Perika przesuwać się musiały wybitnie obrazy jego spokojnego, domowego szczęścia, które na zawsze

postradał? I za cóż je zamienił? Oto za okropne swoje obecne położenie

Żadna iskra nadziei nie tlała w jego duszy, nie widział nic prócz nocy smutnéj i jednotonnéj jak jego nieszczęście; prócz ognia palącego jak jego sumienie; prócz ciemności, zimnéj i nieprzejrzanéj jak jego przyszłość.

— Wielki Boże! rzekł do siebie, jakaż przeszłość! jaka przyszłość!.. i ja to cierpię wszystko i żyję?

Czerwony, pełgający płomień ognia rzucał czasami nagły, jaskrawy odblask na dzikie kształty ruin, niknących znowu natychmiast w kirowych cieniach, jak zagasłe wspomnienie w zmroku przeszłości.

Strwożona, gorączkowa jego wyobraźnia słyszała jęki wśród najgłębszego milczenia, widziała straszliwe mary wśród nieprzejrzanych ciemności. Żałosne łkania oskarzały go, oczy pełne zemsty patrzały nań... i niezupełną było to złudą, gdy bowiem jaśniejszy blask płomienia rozdmuchniętego wiatrem, na nowo się zażegł i przedmioty wybitniéj i w właściwych zarysach rozświetlił, ujrzał Periko po za ścianą ruin, wznoszącą się jakby ostatnie godło życia nad stósem gruzów w kawałki rozpadłych, dwoje czarnych, jak węgiel błyszczących oczów skierowanych ku sobie. Periko tak był przerażony i niepewny, czy to co widzi jest rzeczywistością lub utworem jego fantazyi, że niewiedział czy się ma znakiem krzyża uciec pod opiekę nieba, czy wołaniem o pomoc, pod opiekę ludzi.

Wtem ujrzał wysuwającą się z po za cienia ruiny młotem czasu dokonanéj, ruinę ludzką, ręką hańby w nicość zmienioną; była to stara, brudna, odpychającéj postaci cyganka. Wyschłe jéj ciało okryte było burą flanelową spodnicą, barwa jéj postaci nieodróżniała się od kolorytu ruin; na szyi miała owiniętą chustkę, a białe

jéj, zwite niechlujstwem włosy, przysłaniała ciemna mantylla w nieładzie zarzucona na głowę.

Periko stał nieruchomy niby statua skamieniała trwogą, jak gdyby ohydne to oblicze było głową Meduzy.

— Bąć spokojny, rzekła zbliżając się cyganka, nie lękaj się! nieprzychodzę tu w złych zamiarach. Wiedziałam że tu jesteście i umyślnie puściłam wieść żeście wyruszyli do Sierra de Ronda i że was widziano w okolicy Espera i Villa Martin.

— I pocóż tu przychodzisz? zapytał Periko, który mimowolny wstręt uczuł do téj odrażającéj postaci kobiecéj.

— Przychodzę, aby ci dostarczyć czegoś, co cię może na zawsze uszczęśliwić, odpowiedziała.

— Do tego, co mi ty dostarczyć możesz, odrzekł Periko, niewiele mam zaufania.

— Czy dla tego że jestem szpetną? spytała cyganka. A jeżeli też w złéj łupinie dobre tkwi ziarno? Przynoszę ci skarb. Trzeba ci tylko rękę wyciągnąć po niego.

— Skarb? zapytał Periko, którego wyraz ten, zamiast pobudzić do ciekawości, naprowadzał na myśl że cyganka ma pomięszanie zmysłów.

— Cyganka, upatrując w zapytaniu tem tylko żądzę złota, zbliżyła się do Perika i jak gdyby się lękała że powiew nocny słowa jéj pochwyci a klątwa je zniweczy, szepnęła mu do ucha:

— W kościele...

Periko jakby gromem rażony, cofnął się wtył o parę kroków i z rozpędem tygrysa, rzucił się na cygankę. Pochwyciwszy ją za barki, odepchnął z daleka od siebie i na pół stłumionym głosem zawołał:

— Precz, precz odemnie!

— Niepójdę rzekła cyganka, muszę rozmówić się z kapitanem i bandytą i rozmówię się.

Lękając się, że cyganka zamiaru swego dokona i chcąc ją zmusić aby się oddaliła; pochwycił Periko za sztylet i dobył go z pochwy.

Brzeszczot błysnął przy świetle płomienia, cyganka wydała krzyk i zbójcy zbudzili się.

— Co to jest? zawołał Diego, co się tu dzieje! Periko! czy chcesz zamordować kobietę?

— Nie, odrzekł Periko, zamordować jéj niechcę, chcę ją tylko odpędzić.

— Chce mnie odpędzić dla tego, że pomimo trudów i niebezpieczeństw przyszłam do was, aby wam podać środek porzucenia nędznego żywota i zbogacenia się od razu jak Rubio de Espera, któremu jedna kradzież utorowała ucieczkę za morze i pełne uciech, swobodne życie.

— Nie słuchajcie jéj, zawołał Periko bezprzytomnie, ona nam doradza rabunek kościoła.

— Panie! odezwał się bandyta do Diega, powiedzcie temu *ojcu pocieszycielowi* [1]) niech trzyma język za zębami i niech nie robi jak deszcz około ś. Jana, który winną latorośl niszczy, a chleba niedaje. Przecież i ślepego słucha się na gościńcu, dla czegoż niedopuszczać do słowa téj kobiety?.. Zobaczym co nam przynosi... Lecz na Boga! niech milczy ten ptak złowróżby.

Diego zawahał się, lecz niebawem zwrócił się do cyganki. Periko widząc że niema nic do czynienia, gdyż Diego zawsze szedł za pierwszym popędem, oddalił się i biegał jak szalony po gaju oliwnym.

Cyganka obliczyła wszystko i plan swój ułożyła po mistrzowsku. Wielkie korzyści, trudności łatwe do pokonania, wybornie obmyślane ostrożności, wzbudziły uwagę bandy. Pokusa, która jedną ręką kwiaty podaje,

---

[1]) *Padre agonivante*, który umierającym udziela pociechy.

a drugą ciernie zakrywa, przekonywa jednych, zwodzi drugich. Postanowiono środki, oznaczono sygnały i godzinę i zanim jeszcze koguty jako czujne straże dzień obwieściły, wyruszyła banda w drogę do karczmy „pod krukiem.“ Cyganka wróciła znów jak chytry i jadowity wąż do jaskini w górach, gdzie w łonie ziemi wymyśliła zbrodnię, która miała być dokonaną w kościele i do któréj łotrów w nocy szatańskim swym podszeptem skłoniła.

ROZDZIAŁ SIODMY.

Powoli wlekły się dnia następnego godziny bezczynnym gościom karczmy „pod krukiem.“

Nadaremne były wszelkie przedstawienia i prośby Perika; aby Diega odwieść od bezbożnego zamiaru. Diego niepojmował co to jest cofnąć się w pół mety, a bezrozumny ten upór kosztem honoru i roztropności okupiony, miał jeszcze przypłacić utratą wolności i życia. Nadto na naleganie bandyty zmuszał Diego Perika, który chciał w końcu opuścić bandę, aby wziął udział w świętokradzkiéj wyprawie, gdyż według twierdzenia tego nikczemnika, był to jedyny sposób zapobieżenia zdradzie o którą Perika podejrzywał.

Ziemia odwróciła się nareszcie od słońca i przywdziała czarną szatę nocy.

Wszyscy powsiadali na koń i około północy stanęli pod zapadłemi murami wielkiego grodu w Alcali. Diego

gwizdnął trzy razy i z sklepionéj piwnicy pod trzonem zamku ukazała się cyganka z latarnią w ręku.

Zbójcy zsiedli z koni i poszli za nią.

Periko wiedząc że się na złéj drodze znajduje, wahał się niepewny co ma uczynić; lecz towarzysze otoczyli i powlekli go z sobą tam, gdzie ich wiodła cyganka. Pozdrowiwszy cichem głosem zbójców i przemówiwszy do nich dziwnym swym językiem, otworzyła wytrychem drzwi wychodzące na mały dziedziniec, w którym w pośród rumowiska i drzewa budowlanego znajdowała się tylna fórta zakrystyi. Tam weszła bezbożna kobieta nie bez trwogi i drząc na odgłos własnych kroków.

Jakiż to wspaniały i cześć nakazujący widok przedstawia opuszczony dom Boży wśród nocy!.. Najczystsze i najpobożniejsze dusze pogrążają się na ten widok w głęboką, pełną przerażenia zadumę, a najwyuzdańsze niedowiarstwo niezdoła dodać odwagi temu kto w owe miejsca wstępuje. Jakże się wydają wielkie, straszne te ciemne nawy, jak wysokie te łuki sklepień, które wspierając się na kamiennych olbrzymach, giną w tajemniczym cieniu nieba bez gwiazd! Tam w głębi ponuréj kaplicy trwożni i jakby zkamienieli stajemy przed zimną statuą która śpi na grobie; zarysy jéj zaledwo rozróżnić zdołamy a ciemność zdaje się ruch im nadawać; ku wielkiemu ołtarzowi woniącemu jeszcze kadzidłami i kwiatami poranka i blado z tła ciemności występującemu, ku temu ognisku wiary, tronowi miłości, schronieniu nadziei, hojnemu rozdawcy pociech, zwracają się oczy, kroki, serca! — Przed najświętszym przybytkiem płonie lampa, strażniczka niebieskich potęg, bez innego celu jak aby świecić, gdyż światło jest poznaniem Boga: święta, tajemnicza lampa, nieustanna ognista ofiara, płomień wieczysty jak miłosierdzie boże, gorący jak miłość, milczący jak cześć, wesoły i spokojny jak nadzieja! Iskrzący odblask tego światła skupia i oświetla

niektóre wydatne punkta rzeźbionych arabesków na złoconéj tarczy ołtarza i nadaje im fantastyczny pozór oczów, czuwających w pobożnéj bezsenności. Umysł wtedy niczem niejest roztargniony; ta zupełna nieruchomość, to nieprzerwane milczenie tworzą jakiś pośredni stan życia, który niebędąc ani śmiercią, ani snem, posiada jednak uroczystość pierwszéj, słodycz drugiego.

Takim był kościół w Alcali, gdy doń weszli łupieżcy za słabem światłem obrzydłéj cyganki, prowadząc z sobą gwałtem Perika.

— Puśćcie go — i wysadzcie te drzwi, rzekł Diego.

— Będzie krzyczał i zdradzi nas, odpowiedzieli zbójcy.

— Puście go, mówię, zawołał herszt bandy, któż go usłyszy?

— Niech sobie krzyczy, rzekł Leon, który z pomocą cyganki wielki ołtarz z srebrnych ozdób obdzierał.

— Mieć nań baczenie!

I dwóch zbójców, którzy zapewne byli lękliwsi i nieśmieli się targnąć na własność świętą, zbliżyło się do Perika.

Periko, który jak wszyscy ludzie pewni siebie, był porywczym i smiałym gdy go okoliczności zmuszały wystąpić w téj roli, odzyskał całą swą energię i zawołał.

— Kapelusze z głowy! podli!... jesteście w domu bożym...

— Zakneblować mu gębę żwawo! krzyknął kapitan wściekając się ze złości.

I pomimo oporu zatkano mu usta skręconą chustką.

Gdy jednak ujrzał jak cyganka i Leon wyłamywali drzwi najświętszego przybytku zawołał pomimo że go chustka dusiła, z wysileniem rozpaczy i rzucając się na kolana:

— Świętokradztwo! świętokradztwo!

Okropne to słowo rozległo się po kaplicach, odbiło się o sklepienia jak grzmot o niebiosa, rozbudziło ze snu

ów wielki, dźwięczny instrument, który wtoruje uroczystemu „*De profundis*“ i wspaniałemu „*Te Deum*“ i zabłąkało się w jego metalowych piszczałkach jak jęk bolesny. Zimny dreszcz przebiegł chwilowo po kościach nędzników. Sam Diego zadrzał. Ale w nagłym postanowieniu pieniąc się przystąpił do Perika, powalił go na kamienne płyty posadzki, miotając przeklęctwa stanął mu nogą na piersiach i rozkazał ubić go na śmierć kolbami, gdyby się odważył słowo jeszcze powiedzieć.

Nieszczęśliwy Periko leżąc na ziemi, srodze sponiewierany przez herszta bandy, jęczał prawie bezprzytomnie:

— Litości panie! litości!

— Zabić go jeżeli piśnie, powtórzył Diego, a teraz spieszmy, noc się rozjaśnia i wychodząc ztąd moglibyśmy być dostrzeżeni.

W istocie chmury rozstąpiły się w téj chwili i promień księżyca wpadając przez okna kościoła rozesłał się u stóp cudownego obrazu Niepokalanego Poczęcia.

— Przeklęty księżyc! zawołała cyganka miotając straszliwe bluźnierstwa. I wszyscy w świetle téj nagłéj jasności własnego trwożąc się widoku, z pospiechem bezbożne swe dzieło kończyli.

Jeszcze słońce nie złociło swym blaskiem Giraldy, gdy zbójcy obciążeni łupem w pobliże Sewilli nadciągli. Zostawili konie swe w gaju oliwnym pod strażą bandyty i poszli każdy inną bramą do miasta, aby się na wskazanem przez cygankę miejscu zgromadzić, gdzie wprzód już zawiadomiony złotnik klejnoty odbierał, ważył i płacił. Gdy zbójcy wrócili do miejsca, gdzie zostawili bandytę z końmi, niezastali ani jego, ani koni.

— Ten wisielec nas zaprzedał, rzekł jeden.

— Dla czegożby to miał uczynić? Część jaka nań przypada wyniesie zapewne więcéj, jakby mu zdrada zapewnić mogła.

— Zapewne dojrzał ludzi i schronił się „pod kruka“ rzekł Periko.

Zostawiając na boku drogi i ścieszki puścili się przez lasy oliwne do gospody.

Ale i tam niebyło bandyty.

— Biedny Corso, rzekł Diego i łza gorzka jak aleos zabłysła na chwilę w jego oku. Szybko jednak przyszedł znów do siebie. Jesteśmy zdradzeni, rzekł, ratujmy się! Daléj w rzekę! ku granicy do Ayamonte, do Portugalii; znajdę ja go kiedyś, lecz w dniu tym będzie żałował że się na świat narodził.

Właśnie zabierali się w pochód, gdy się ukazała cyganka żądając przypadającéj na siebie części łupu. Wszyscy nagabywali ją pytaniami o znikłego bandytę, o którym nic również niewiedziała, lecz zdawała się być niespokojną.

— Jesteście tu niepewni i musicie się oddalić, rzekła: Najstarszy syn hrabiny Villaoran przysiągł, że pomści śmierć swego brata; zażądał on ludzi od jenerała i ściga was. Ja dłużéj tu zostać nie mogę. Ziemia pali mnie pod nogami.

— Przecież cię na stós nie skaże, rzekł jeden.

— Ani cię nie pożre, odezwał się inny.

Cicho jak żmija, kiedy jad swój w zadaną przez siebie ranę zapuści, znikła cyganka w lasach oliwnych.

— Zamach na dom Boży! rzekł jeden z zbójców.

— Świętokradztwo! dodał inny.

— Milczcie, zawołał Diego, precz z niewczesnemi uwagami! Co się raz stało, odstać się nie może. Daléj naprzód!

W téj chwili dał się słyszeć tentent koni. Periko, którego Diego postawił na czatach nadbiegł i oznajmił, że bandyta powrócił z końmi. Okrzyk radości powitał bandytę, który jął opowiadać że ujrzawszy żołnierzy, musiał się ukryć i daleko kołując zaledwo zdołał tu zdą-

żyć. Ale nie traćmy ani chwili, dodał, gdyż nas ścigają. Kapitanie! oto Corso, pilnowałem go jak oka w głowie gdyż wiem jak wam jest miłym.

Diego pogłaskał z radością w oku szlachetne zwierze i przysiągł sobie w myśli nigdy się z nim nie rozłączać.

Ruszyli szybko naprzód gdy nagle na wstępie do jaru przed niemi, za niemi i nad ich głowami straszliwy głos zabrzmiał:

— Poddajcie się królowi!

Otoczeni byli przez oddział jazdy; hersztowi bandy przyłożono pistolet do piersi, a jeden z żołnierzy schwycił konia jego za cugle.

Diego spojrzał z niezachwianym spokojem około siebie, znając szybkość i karność swego konia. Nagle jak błyskawica dobył sztylet, kilka pchnięć wymierzył w rękę która chwyciła za cugle, silnie pocisnął kolanami konia, pochylił mu się na kark i zawołał:

— Żwawo Corso! ocal twego pana.

— Szlachetne i rozsądne zwierze wspięło się spazmatycznie, padło jednak wtył i napróżno usiłowało powstać. Ścięgna pod kolanami jego były przecięte.

Diego poznał figla i rękę która mu go spłatała; wściekły gniewem zeskoczył, lecz niegodziwiec znikł już pomiędzy tłumem, który się w jarze gromadził.

Diego został ujęty niestawiając oporu.

Przy wyjściu z jaru Diego zwrócił głowę i ostatnie spojrzenie utkwił w konia, który leżąc nieruchomie spoglądał za nim wielkiemi swemi oczyma.

Tylko duszy takiéj jak Diega, dzikiéj jego energii, i silnéj jego woli udać się mogło wściekłość gotującą się w jego piersiach i boleść, która mu je rozdzierała, ukryć pod maską spokojności wolnéj od wszelkiéj trwogi.

Żołnierze rozbroili zbójców i związali im ręce wtyle.

— Któryż z was jest zapytał hrabia Villaoran, gdy wszyscy już byli razem, mordercą mego brata?

Zbójcy milczeli na skinienie Diega, który nawet w więzach niepokonaną wywierał nad niemi przewagę.

— Kto? zapytał hrabia głosem drżącym od wściekłości.

— Ja, odpowiedział Periko.

Hrabia zwrócił się ku młodzieńcowi, który niespostrzeżony przezeń dotąd stał z spuszczoną głową; gdy mu jednak uważniéj w twarz spojrzał, krzyk przerażenia wyrwał się z ust jego.

— Ty! zawołał, ty Periko Alvareda? O sromoto niemająca nazwy! O zbrodni bezprzykładna! Biedna Anna! Nieszczęśliwa matka, która ci dała życie! Nieszczęśliwe dzieci! Wiedz złoczyńco, mówił hrabia gwałtownie, że żona twoja Rita nieznużenie pracowała nad tem, aby ci ułaskawienie wyrobić. Trybunały i sędziowie widziały ją ciągle u nóg swoich. Wentura przebaczył ci przed śmiercią, Pedro puścił urazy w zapomnienie. Brat mój, którego zabiłeś, opiekował się ciągle twoją rodziną i wyrobił dla ciebie ułaskawienie u króla. Wszyscy śledzili cię z tęsknotą a on z większą niż inni. I odszukali cię... oby to nie było nastąpiło nigdy!

Diego widząc jaka się boleść niewypowiedziana na zapadłem, śmiertelnie zimnem i trupio bladem obliczu Perika maluje i że co tylko że nie upadnie na ziemię, rzekł do hrabiego:

— Czy nie widzisz Señor, że go zabijasz?

— Nie chcę wyprzedzać kata, odpowiedział hrabia, wsiadając na koń... De Sewilli!..

— Odważnie szepnął Diego do ucha na pół żywego Perika. Patrz na nas, idziemy wszyscy na śmierć, a jesteśmy spokojni.

W pośród przekleństw ostatnią zbrodnią do żywego oburzonego ludu wchodzili do Sewilli; lecz przerażenie

ich było tym większe, gdy nikczemnego zdrajcę, który ich zaprzedał, widzieli swobodnie przechadzającego się pomiędzy ludem. Był to niegodziwy bandyta, który tym sposobem okupił swoje ułaskawienie i zyskał nagrodę, nałożoną na głowę Diega, umiejącego tak długo udaremniać zabiegi władzy.

Bandyta musiał zejść z oczów, aby się uchronić od grożących mu obelg. Ku wieczorowi zapukał do drzwi rozsławionéj winiarni na przedmieściu Macarena, lecz zaledwo go poznał właściciel rzekł doń:

— Bąć tak dobry i idź zkądeś przyszedł.

— Cóż to ma znaczyć, zapytał bandyta; odkądże przyjaciele w ten sposób są tu przyjmowani?

— Mówię ci to dla twego dobra, odpowiedział gospodarz, bo gdyby cię tu chłopaki ujrzeli, niechciałbym być w twojéj skórze. Posłuchaj mnie i wynoś się niespoglądając za siebie.

— Ależ zastanowcie się kogo macie przed sobą. Tamci gorsi są jeszcze odemnie, i byliby wstanie sprzedać własnego ojca.

— Byc to może, jeden gorszy od drugiego, ale niechcę mieć w domu wrzawy. Idź, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, mówił daléj wypychając za drzwi bandytę, które zamykał temi słowy:

— Niech cię święta Magdalena prowadzi, gdyż ona opiekuje się zakochanemi. . .

— I żałującemi, odezwał się, jakiś głos nieznajomy. I ty będziesz żałował nędzniku!

Następnego poranka znaleziono tuż przy murze cmentarza nieżywego człowieka, w którego sercu tkwił sztylet. Było to ciało zdrajcy.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Więzienie w Sewilli miało w owym czasie złe położenie, w ciasnéj ulicy, prawie w pośrodku miasta. Był to mały, ciemny budynek, któremu brakowało powagi i pozoru władzy i téj godności, którą ludzkość widzi w nieszczęściu nawet zbrodniarza. O kilka kroków od strasznego owego ogniska dzikiego zepsucia wychodziła ulica na wielki plac ś. Franciszka, który wprawdzie jest nieregularny i niezbyt obszerny, lecz otoczony domami, które zeń tworzą najznakomitszy plac stolicy Andaluzyi. Po prawéj stronie wznosi się ratusz, którego wspaniała architektura uchodzi u swoich i obcych za jednę z ozdób uroczéj Sewilli, który jednakże Wandale cywilizacyi, szkodliwi i niemal od prawdziwych Wandalów, dwukrotnie w naszych czasach zburzyć usiłowali. Po lewéj, tworząc wystający kąt, leży regularny i poważny gmach „Audiencia“ ow Trybunał, któremu sprawiedliwość nadaje wszechsiężną władzę. Jak gwiazda łaski spogląda z czoła tego gmachu zegar który się o dziesięć minut opóźnia; jest to przekroczenie prawne, które na szacunek nasz zasługuje, albowiem tè dziesięć minut doliczają się do życia potępionego wyrokiem, za nim straszna godzina jego zniszczenia uderzy. Wszelkie prawa i zwyczaje staréj Hiszpanii noszą na sobie piętno chrześcijańskiéj miłości; dla tego, co spokojnie kroczy drogą życia jest dziesięć minut niczem, dla tego, co ma umierać mają one niezmierną wartość. Dziesięć minut na progu śmierci mogą stanowczo wpłynąć na wyrok wieczności, o dziesięć minut może się spóźnić niespodziewane lecz możliwe ułaskawienie. Gdyby atoli te świeckie i duchowne względy nie wchodziły nawet wcale w ra-

chubę, gdyby to czcigodne ustanowienie przodków naszych niczem niebyło innem, jak jałmużną z dziesięciu minut ofiarowaną umierającemu, jałmużna ta dowodziłaby jednak, że katoliccy ci sędziowie umieli na najsurowszych nawet swych wyrokach wyciskać piętno chrześciańskiéj miłości. Z téj strony zapatruje się również lud, który do tego ustanowienia wielką przywięzuje wartość. O Hiszpanio! jakichże przykładów niedałaś z siebie pod najrozmaitszemi względami, ty... która teraz żebrzesz o obce wzory!

Po jednéj stronie ratusza wysuwa się wystającym kątem klasztór Ś. Franciszka z swym dziedzińcem i pysznym kościołem. Kolumnada nakształt starożytnych, kamiennych festonów otacza plac z innych stron; po stronie przeciwnéj placu, wznosi się marmurowa fontanna, któréj promień wody równie jak marmur jest trwały i nieustający.

W dniu tym plac Ś. Franciszka i przyległe ulice zapełnione były niezwykle licznem zbiegowiskiem. I po cóż się gromadzono? Oto aby widzieć umierającego człowieka! Nie — nie umierającego, lecz gwałtem pozbawianego życia. Umierać jest sceną uroczystą lecz nie straszną, albowiem anioł śmierci oczy już zagasłe przymyka wtedy i duszy udziela skrzydeł do lotu w wyższe sfery. Lecz widzieć człowieka który ginie z ręki ludzkiéj z całą katuszą, z całą trwogą śmierci, to obraz przerażający, straszny! A jednak biegną, spieszą, skupiają się tłumy ludzi, aby się wykonaniu prawnego wyroku zbliska przyglądnąć. Nie przyjemność, nie ciekawość gromadzi ich, ale ta nieszczęśliwa żądza wzruszenia, wrodzona pełnemu sprzeczności sercu człowieka; wyczytać to można z ich bladych i niespokojnych twarzy.

Głuchy szmer przebiegł wśród niezliczonego ludu, nad którego głowami jak groźny szkielet, jak piedestał

hańby i trwogi śmiertelnéj, jak przywłaszczyciel posłannictwa śmierci, jak próg opuszczenia, na który tylko kapłan bez sromu wstąpić się ośmiela, sterczała szubienica, stawiana w nocy przy świetle latarni, gdyż ci którzy ją wznoszą wstydzą się słońca bożego i wzroku współbliźnich. Niekiedy dreszczem przerażał tłumy ponury jęk dzwonu z kopuły Ś. Franciszka, odzywający się dla człowieka, który istniał jeszcze dla Boga gdy go już świat z księgi żywych wymazał. Brzmiał on tak właśnie, jak gdyby głos ten kościoła nie był modlitwą do Boga za duszę, lecz surowem i gniewnem napomnieniem smiertelnych. Cała ta straszna uroczystość, która z powietrzem garnęła się do piersi i sciskała je, zdawała się mówić: gińcie zbrodniarze śmiercią pokuty za grzeszną i wyrodną ludzkość.

Tylko fontanna jasna i czysta, nuciła daléj spokojnie pieśń swą słodką i jednostajną, nie troszcząc się, równie jak niewinność i wiek dziecięcy, o przygody tego świata, O niewinności! rajski powiewie, którym w téj zepsutéj atmosferze tylko nie zepsute i uprzywilejowane istoty oddychają, które jak symbol wiary, mają na oczach przepaskę aby wierzyć czego nie widzą, a drugą na sercu aby widzieć niepojmując; które nakształt miłości serce mają na dłoni i nakształt nadziei oczy ku niebu wzniesione. O niewinności! oby cię zawsze otaczały szacunek, miłość i cześć, na które jako córka nieba zasługujesz.

Dwa są rodzaje miłości chrześcijańskiéj. Jeden z nich łagodzi materyalne cierpienia materyalnemi środkami i pieniędzmi; jest to piękny i szlachetny, ale łatwy i powszechny obowiązek. Drugi leczy moralnie moralne katusze, i ten rodzaj miłości chrześciańskiéj wzniosły jest i boski.

„Bractwo miłości chrześciańskiéj“ mało ma sławy w świecie, który tak pochopny jest do nagany, tak skąpy

w pochwałach. I któż to tworzy tę szczytną społeczność? Czy może ci, co trwonią tyle papieru i tyle płonnych słów, przemawiając za ludzkością; filantropiją i braterstwem? O nie — żaden z nich nie zniża się do zespalania się z stowarzyszeniem, które po większéj części złożone jest z ludzi najznakomitszych, gdzie oni mają siedzibę. A dla czego? Bo między teoryą a praktyką, między słowem a czynem, wielki jeszcze leży przedział.

W krótce po wydarzeniu któreśmy opowiedzieli w powyższym rozdziale, widzieć można było najznakomitszych panów Sewilli przebiegających z koszem w ręku ulice i wzywających do składki głosem poważnym:

— Dla nieszczęśliwych, którzy mają być sądzeni! —

Pominąwszy zasługę, poświęcenie i ludzkość tych mężów, pominąwszy korzyść i pożytek tego pięknego dzieła litości dla tych, którzy je spełniają, i dla tych którzy go doznają, rożważmy rzecz samą przez się: nie jestże to wielkim i wspaniałym przykładem dla ludu? Jest to praktyczna nauka większą mająca wartość, niż jadem napojone pisma, podniecające i wyswobadzające złe namiętności na cudzą korzyść [1]).

Diego i wspólnicy szajki rozbójniczéj znajdowali się w kaplicy więziennéj. Rozmaici członkowie bractwa „miłości chrześciańskiéj“ dotrzymywali im kolejno towarzystwa; mężowie ci opuścili rodziny wygody i interesa, aby dzielić trwogę smierci z nieszczęśliwymi, osładzać im ostatnie chwile, wyprzedzać ich życzenia z troskli-

---

[1]) Niech nam wolno będzie przytoczyć fakt świeży i autentyczny. W r. 1847. tracony był w Ierez niejaki Jose Rojas za morderstwo. Najpierwsi mężowie miasta żebrali dla skazanego, siedzieli przy nim w kaplicy, towarzyszyli mu do szubienicy, i złożyli jego zwłoki do trumny. Zebrana jałmużna wyniosła 6000 realów. Rozrządził niemi skazany i przeznaczył znaczną sumę na wdowę po zamordowanym. Wzniosła to miłość bliźniego płynąca z religii katolickiéj, któréj niemożna dość wysoko oceniać i podziwiać! (*Przyp. aut*).

wością, jakiéj żaden król niedoznaje i lać balsam w ranę, którą zadać miał miecz sądu.

Hrabia Cantillano i Margrabia Grenina, dwaj najgorliwsi i najpoświęceńsi członkowie pobożnego stowarzyszenia, udali się do sędziów, którzy odbywa ą posiedzenie swe w więzieniu podczas odprowadzenia pod szubienicę i tracenia skazanego, aby wyprosić u nich ciała nieszczęśliwych.

Formuła używana przy tym wspaniałym i wzruszającym obyczaju, brzmi:

— Przychodzimy w imieniu Józefa i Nikodema prosić o zezwolenie zabrania ciała z miejsca wykonanego wyroku.

Sędzia zezwala na ich prośbę i proszący oddalają się.

Każdy skazany miał spowiednika przy boku, w ręce święcony bułat, mający wspierać kroki jego ku wieczności.

Gdy Periko odprawił spowiedź sakramentalną, rzekł do czcigodnego kapłana który mu towarzyszył.

— Imie moje jest utajone, znają mię tylko pod nazwą: „Periko posępny;“ ponieważ jednak pomiędzy niebem i ziemią nic ukryć się niemoże, prędzéj czy późniéj dowiedzą się krewni moi o moim losie. Ulituj się czcigodny ojcze nademną i spełnij ostatnie moje życzenie. Zawiadom sam matkę moją. Powiedz jéj że umierałem w skrusze i pokorze i nie tak winny jak się zdawało: Złe jest przepaścią, w którą człowiek ciężarem pierwszéj popełnionéj winy wtrącony zostaje, a winę tę, która mnie przyciskała i przyciska, popełniłem, ponieważ honor, który nieraz krwią okupywać trzeba wyżéj ceniłem nad przepisy ewangielii, która z cierpienia czyni cnotę a z przebaczenia przykazanie. Ojcze! jakże inaczéj przedstawiają się rzeczy tego świata na progu śmierci. Powiedz mojéj biednéj siostrze, któréj zamordowałem narzeczonego, że jéj niebieskiego oblubieńca zalecam,

który ją nigdy niezdradzi. Staremu Pedro powiedz, że wiem iż mi przebaczył jak to i syn jego uczynił, i że tę pociechę i wdzięczność Bogu, do trumny z sobą zabieram. Ricie powiedz że ją kochałem aż do śmierci i że gdybym był został przy życiu, niebyłbym jéj nigdy czynił wyrzutów, ponieważ szczery żal okazała. Swiekrze méj, téj dobréj i zacnéj kobiecie powiedz aby mnie łasce boskiéj polecała, a biednym moim dzieciom... moim sierotom... które oby jeżeli można, niedoświadczyły mego losu... że ich... błogosławię.

Przekonany że człowiek ten, którego wszystko cokolwiek męża, brata i człowieka serce pozbawić może równowagi rozumu, olśniło, oburzyło i popchnęło do zbrodni, niewinnym jest w sercu i że tylko okoliczności nędza i brak siły charakteru przywiodły go do życia rozbójniczego, cierpiał kapłan podczas opowiadania Perika wszystkie męki człowieka, który widzi w oczach swych rozbijającą się łódź, niemogąc przyczynić się do jéj ocalenia.

Rita w skutek niezmordowanych zabiegów aby odkryć pobyt męża, dla którego za pośrednictwem uczynnych ludzi otrzymała ułaskawienie od króla, przybyła w dniu tym z matką swą do Sewilli.

Gdy przechodziły przez plac Św. Franciszka, ujrzały kupiące się tłumy ludzi. Na zapytanie ich o przyczynę tego zbiegowiska, wskazano im szubienicę.

Chciały uciekać, lecz tłum który się za niemi garnął, zamknął im drogę. Skazany zbliża się; wszystkich głosy łączą się w jeden okrzyk litości: „Jaki młody, mówiono, jak pokorną i spokojną ma minę! Biedny człowiek!.. To ten którego nazywają Periko posępny; żona jego, kobieta lekomyślna, ma być przyczyną jego zguby.“

Serce Rity bije gwałtownie. Skazany przechodzi... widzi go, poznała go. Krzyk, straszliwszy niż kiedykolwiek z piersi ludzkiéj się wyrwał, rozległ się daleko.

Periko zatrzymał się.

— Ojcze! rzekł to ona... to Rita!

— Synu mój, odpowiedział kapłan, myśl teraz o Bogu przed którym wkrótce staniesz skruszony, pojednany i szczęśliwy, jeżeli sobie pokutą na to zasłużysz.

— Ojcze chciałbym ją przynajmniéj ujrzyć zanim umrę.

— Synu mój! myśl o gorzkiéj karze i błogiem odkupieniu jakie otrzymasz od człowieka, który jest ręką twego losu.

Periko chce się obrócić.

— Naprzód! krzyknął sierzant.

Wstępuje na rusztowanie, klęka przed spowiednikiem swoim który go błogosławi z spokojnem obliczem lecz z rozdartem sercem; całuje z gorącym zapałem krzyż, na którym Bóg-człowiek odpokutował; zwraca raz jeszcze wzrok w stronę, z któréj krzyk się rozległ, który serce jego rozkrwawił, siada na ławce, wiążą go i kładą mu żelazne kleszcze na szyję. [1]) Kat stoi za nim, Kapłan odmawia „wierzę w Boga“, kat zakręca szrubę i jeden głośny okrzyk: *Ave Maria Purissima!* rozchodzi się po placu. Tem wezwaniem Matki boskiéj ludzkość żegna straconego, którego ręka kata od niéj odrywa.

Kat okrywa oblicze straconego kirem.

Głębokie milczenie panuje na placu; nad którym jak kat nad ciałem nieboszczyka kir, śmierć czarne rozpostarła skrzydła.

Ritę podniosło omdlałą kilka litościwych osób i odprowadzono ją do gospody. Stan jéj był okropny wiła się w spazmach, które jéj ledwo kilka chwil przytomności zostawiały i w straszliwą wpadała rospacz tak

[1]) Tracenie zbrodniarzy odbywa się w Hiszpanii za pomocą kleszczów (el garrote) któremi skazany uduszony zostaje.

iż ją jak obłąkaną przemocą wstrzymywać musiano. Przez dni kilka niemożna jéj było odprowadzić do domu. Zresztą przyjechano wozem aby ją zabrać. Położono ją w nim na materacu, lecz nikt się nie znalazł ktoby się nie wstydził towarzyszyć jéj. Tylko Marya jechała z nią trzymając na swem łonie jéj głowę, którą długie czarne włosy osłaniały, jak gdyby chcąc ją ukryć przed ciekawym i niedyskretnym wzrokiem.

Patrzcie! mówiono widząc przejeżdżającą, to żona straconego, która lekkomyślnością swoją przywiedła męża do szubienicy; a woły ciągnąc wóz nieprzyśpieszały kroku, jak gdyby i one miały posłannictwo przedłużać karę téj, która tak zuchwale niegdyś urągała opinii.

Marya poddawała się nieszczęściu z rezygnacyą męczenniczki. Wrodzona miękkość nadawała duszy jéj pewną elastyczność, skutkiem któréj najsroższa boleść znajdowała w niéj miejsce, nierozdzierając jéj. Czasami Rita wpadała w mdłości, zalewała się strumieniem łez i ściskała spazmatycznie kolana matki. Marya milczała, nieznajdując słów pociechy na ukojenie takiéj boleści.

Ku wieczorowi przybyli do wsi. Wóz zatrzymał się przed drzwiami domu i Ritę zniesiono zeń na rękach. W izbie jéj świekry szeroko otwarte były okna. Niezwykła łuna światła biła z nich na zewnątrz. Rita wyrwała się z ramion, które ją trzymały i pobiegła ku oknu.

W środku izby, którą w szczęśliwszych czasach zamieszkiwała sama, stała trumna. Cztery gromnice rzucały ponure i uroczyste światło na spokojne zwłoki Elwiry. Twarz jéj blada jak śnieg, ręce złożone a w prawéj dłoni spoczywa gałązka palmowa, święty symbol panieństwa. Tak bez innych ozdób, w postaci modlącej się do Boga leży katolicka dziewica. Modny kaprys przystrajania śmierci jest parodyą zdrowego

rozumu. Jakiż cel być może, odbierać zwłokom świeżo zmarłego człowieka uroczysty majestat; malować wymowną bladość twarzy, rozciągać ręce, które zwykle bywały złożone jak gdyby żebrząc o zlitowanie, wdziewać świętalne szaty na zimne i nieruchome członki i kłaść w zmartwiałe ręce bukiet barwistych kwiatów, godło radości, uciechy? Jestże śmierć rzeczą tak łatwą i wesołą, że więcéj ma mieć wartości mowa pochwalna nad ciałem; które się już staje pastwą robactwa, niż modły za duszę nieboszczyka.

Na przodzie opuszczonéj izby widać było uschłe liście z sadu, który jeszcze Periko przyniosł był na boże narodzenie dla dzieci.

W głębi siedziała Anna, blada i nieruchoma.

Obok niéj stał Pedro a po drugiéj stronie kapłan, który Perika odprowadzał na miejsce kary.

EPILOG.

Lata ubiegły od dopiero co opowiedzianych wypadków, gdy margrabia *** w posiadłości swéj Dos-Hermanas zmuszony był czas jakiś przepędzić.

Gdy pewnego wieczora o zmroku od jednego z swych krewnych wracał do domu, dostrzegł przejeżdżając około lasu oliwnego że dozorca i zarządca, którzy mu towarzyszyli, zdjęli kapelusze. Margrabia zwrócił wzrok w stronę lasu i ujrzał czerwony krzyż przybity na drzewie.

— Miałożby w spokojnéj téj okolicy popełnione być zabójstwo? zapytał.

— Tak jest panie, odpowiedział, tu poległ z morderczéj ręki najdzielniéjszy i najpiękniejszy młodzieniec, jakiego widziano kiedykolwiek w Dos-Hermanas.

— A mordercą, dodał zarządca był najwzorowszy i najbardziéj ceniony człowiek z całéj wsi.

— Jakże się to stało? zapytał margrabia.

— Kobiety i wino były przyczyną nieszczęścia, odpowiedział dozorca.

I zaczął opowiadać skreślone przez nas wypadki z najdrobniejszemi szczegółami.

— Czy żyje kto jeszcze we wsi z członków téj rodziny? zapytał margrabia, którego opowiadanie tego wypadku żywo zajęło.

— Nie Panie, odpowiedziano. Stary Pedro umarł jeszcze w tym samym roku. Żona Perika chciała się dobrowolnie głodem zamorzyć, lecz kapłan który w ostatniéj chwili mężowi jéj dawał duchowną pociechę, skłonił ją do zachowania życia dla dzieci, czego po niéj wymaga Bóg i ostatnia wola jéj męża. Ponieważ jednak trzeba było mieć na to czoło miedziane, aby pozostać w miejscu, gdzie męża jéj wszyscy znali i kochali, przeniosła się z matką do krewnych w góry. Ktoś co późniéj tam ją widział, twierdził że była niedopoznania. Łzy poorały jéj lica, wyschła jak szkielet i ciągle była cierpiącą.

— A matka? zapytał margrabia:

— Biedna Anna właśnie onegdaj umarła. Wyglądała ona jak cień i tak była pochylona jak gdyby miejsca na swój grób szukała.

Wśród téj rozmowy przybyli do wsi.

Oto ten dom — rzekł zarządca, gdy przejeżdżali obok wielkiego ponurego budynku.

Margrabia wysiadł z powozu i wszedł na dziedziniec. Zgrzybiała staruszka krewna zmarłéj mieszkała sama jedna w smutnym i pustym domu, na który w téj chwili jak srebrna mora padał blady promień księżyca.

— Jakże te grządki przed domem zarosły! — rzekł margrabia.

— Nie tak one wyglądały odpowiedziała staruszka, gdy je pielęgnowała ta nieszczęśliwa dziewczyna, która w chwili gdy się dowiedziała o straceniu brata, zamknęła oczy, aby już więcéj na okropności świata nie patrzyć. Grządki te były pełne kwiatów, które rosły pod jéj ręką, jak dzieci pod okiem matki.

— O jakaż szkoda! rzekł margrabia, to pyszne drzewo pomarańczowe uschło.

— Było ono już odwieczne panie! i potrzebowało wiele około siebie starania. Odkąd biedna Anna utraciła dzieci, nikt już więcéj niedbał o nie i zmarnowało się.

— A ten pies, zapytał margrabia, widząc ślepego psa rozciągniętego w kącie.

— Biedny Melampo! Od czasu nieobecności pana swego posmutniał i oślepł. Anna poleciła go umierając mojemu staraniu; było to jedyne jéj polecenie, ale staranie to już mu niepotrzebne, gdyż odkąd wyniesiono zwłoki, zaczął wyć i nic jeść niechce.

Margrabia przybliżył się.

Pies leżał martwy.

POWSTANIE SYCYLIJSKIE.

w roku 1848 *).

Hasło do powstania w Palermie dał 10 stycznia 1848 kapitan sycylijski Lamasa, dzisiaj pułkownik i jeden z adjutantów Garibaldego w powstaniu obecnem. Załoga neapolitańska, pod dowództwem gubernatora jeneralnego Majo zamknąć się musiała w warowniach i w Palazzo Reale, gatunku fortecy oskrzydlonéj czterema bastionami. Nazajutrz sześć tysięcy chłopów z okolicy przybyło w pomoc powstańcom. Czwartego dnia atoli wylądowało pięć tysięcy wojska wysłanego z Neapolu w największym pośpiechu pod rozkazami jenerała Sauget. Z wojskiem przybywał brat królewski hr. Aquila i przywoził cztery dekreta mające zreformować administracyę sycylijską. Ani książe ani dekreta nie zdołały uspokoić umysłów, a powstanie rozszerzało się ciągle. Miasto tymczasem bombardowano nieustannie, pomimo usilnych reklamacyj

---

[1]) **Obraz niniejszy powstania w Sycylii w r. 1848 skreślony piórem znanego publicysty p. Saint Ange zamieściły *Debaty* w b. m. (*P. R.*)**

konsulów wszystkich mocarstw. Walka trwała dni kilka. Nareszcie gdy wojsko w warowniach znalazło się całkiem odcięte, bez żywności prawie, z niesłychaną liczbą chorych i rannych, jenerałowie potracili głowy i nie myśleli już o niczem, jak tylko o odwrocie do Neapolu. Gubernator jeneralny Majo zawinięty w materac kazał się zanieść na okręt, oddawszy pierwéj władzę jenerałowi Sauget, a jenerał Viale, gubernator prowincyi, uszedł przebrany za kobietę.

Tak więc opuszczonemu jenerałowi Sauget przez księcia krwi i innych jenerałów, niepozostawało wkrótce nic innego do czynienia, jak pójść za ich przykładem. Niemógł on już nawet wsiąść na okręty w porcie miasta Palermo; musiał się udać do portu w Solanto, o trzy mile ztamtąd, drogą u stóp gór nad brzegami morza, i ogromne poniósł straty w tym nieszczęśliwym odwrocie. Wojna i bombardowanie trwały dni dwadzieścia trzy. Można powiedzieć, że jeżeli ludność miasta Palermo dowiodła wielkiego zapału i uporu w owéj długiéj walce ulicznéj, to nieudolność i słabość jenerałów neapolitańskich przyczyniły się bardzo do tryumfu mieszkańców.

W kilka dni po ewakuacyi Palerma, wszystkie miasta poszły za przykładem stolicy. Cała Sycylia była wolną z wyjątkiem Mesyny, gdzie wojsko neapolitańskie zajmowało cytadellę i warownie, a mieszkańcy byli panami miasta. Król wówczas zaproponował nowe koncesye, udzieleniem amnestyi i obietnicą konstytucyi dla Sycylii po przywróceniu pokoju. Propozycye te przyszły za późno. Rząd powstańczy oświadczył, iż Sycylia nie złoży broni aż po wyborach do Parlamentu sycylijskiego, któryby zastosował konstytucyę z r. 1812 do obyczajów kraju i wyobrażeń nowoczesnych.

Wypada tu powiedzieć, co to była ta konstytucya sycylijska, zwana wówczas konstytucyą z r. 1812. Kon-

stytucya ta pochodziła pierwiastkowo z jedynastego wieku, z epoki panowania Normandów w Sycylii. Nadał ją hrabia Rogier który zdobył Sycylię i Kalabryę na Saracenach, a którego brat Robert Gwiskard był księciem Apulii. Obaj był synami Tankreda Hauteville szlachcica normandzkiego. Synowiec jednego z tych braci, zwany także Tankredem był owym rycerzem, który pierwszy poszedł do szturmu Jerozolimy w r. 1099, i którego Tasso śpiewem uwiecznił.

Konstytucya hrabiego Rogiera była całkiem feudalna: w parlamencie zasiadali baronowie, jakoteż biskupi, duchowni, dygnitarze kościelni i posiadacze małych feudów. Pamięć hrabiego Rogiera, przezwanego „wielkim hrabią“ pozostała wielce popularną w Sycylii, i utrzymała się w legendach i tradycyach, podawanych przez wieki dzisiejszemu pokoleniu. Grób jego znajduje się w Palermie, w kaplicy będącéj dotąd celem pielgrzymek i modłów. Wypędził on był Saracenów, uwolnił chrześcian od długiego ucisku, i podniósł lud nadając mu mądre ustawy. Zwłoki jego otoczone są czcią należną bohatyrom, obrońcom wiary. Po książętach Normandzkich panowali w Sycylii książęta Andegaweńscy, hrabiowie Prowanccy, królowie Neapolu i Sycylii, którzy uciskali swych nowych poddanych. To też nie za panowania hrabiów Normandzkich, ale za panowania Karola Andegaweńskiego, dwieście lat po śmierci hrabiego Rogiera, a zatem w trzynastym wieku, to jest 1282 r., nastąpiła owa rzeź znana pod nazwą „nieszporów sycylijskich“, w któréj straciło życie ośm tysięcy Prowensalów rozproszonych po wyspie.

Królowie Neapolitańscy puszczali w niepamięć nie znosząc wyraźnie staréj konstytucyi hrabiego Rogiera. Przywrócili ją Anglicy w r. 1812. Napoleon I wypędził był z Neapolu w r. 1806 Ferdynanda IV z całym dwo-

rem, aby go zastąpić naprzód przez brata swego Józefa, a późniéj w roku 1808 przez szwagra swego Murata. Sycylia nie będąc podbitą, została odłączoną od Neapolu aż do restauracyi w r. 1816. Lord Bentink mając pod rozkazami swemi 18,000 wojska angielskiego lub anglo-sycylijskiego, piastował władzę najwyższą w obec króla, pomimo ciągłéj opozycyi tego księcia, a zwłaszcza wbrew oporu bardzo jawnego jego żony królowéj Karoliny Austryackiéj, siostry Maryi Antoniny. W celu unieważnienia wpływu jaki jeszcze dwór posiadał, lord Bentink wpadł na myśl przywołać do życia dawną konstytucyę z pewnemi reformami na wzór obyczajów angielskich, i utworzył Izbę Parów dla szlachty i duchowieństwa, i Izbę Niższą dla średniego stanu. Parlament ten odbywał swe czynności jak mógł w pośród ciągłych a sprzecznych sobie dążności jenerała angielskiego i dworu neapolitańskiego. Opozycyą jaką królowa tym nowym instytucyom stawiała była tak gwałtowną, że lord Bentink zmusił ją do opuszczenia wyspy i szukania schronienia w Austryi, gdzie umarła przed Restauracyą.

Po upadku Murata w r. 1816, Ferdynand IV, który wziął wtedy nie wiedzieć dla czego tytuł Ferdynanda I, nie miał chęci utrzymania w Sycylii formy rządu którą mu dawniéj nałożono, Anglia zaś żadnéj nie przykładała wagi do popierania konstytucyi założonéj pod swoją protekcyą. Konstytucya rzeczona była dla niej tylko rozporządzeniem okolicznościami wywołanem, narzędziem chwilowem, które jéj służyło do odłączenia Sycylii od Neapolu i uchylenia wyspy z pod panowania francuzkiego, mając może zamiar przywłaszczenia sobie Sycylii pod formą protektoratu, co w owéj epoce zdawało się bardzo prawdopodobnem.

Taką to więc była owa konstytucya z r. 1812, którą przywracało powstanie sycylijskie r. 1848, pod panowa-

niem Ferdynanda IIgo, księcia zasad despotycznych, i głębokie mającego przekonanie, że wszelkie prawo obradowania przyznane poddanym i wszelka instytucya liberalna jest ruiną tronów i społeczeństwa. Obiecywał on koncesye Sycylii w nadziei, że je odwołać będzie można, skoro tylko powstanie póżniéj poskromionem zostanie. Zwołano więc Parlament. Każdy wyborca mógł być wybranym, census zniżono do 225 franków, i dodano do liczby wyborców censusowych, takich których w języku parlamentarnym inteligencyą zowiemy. Izba Parów złożona ze szlachty, duch arystokratyczny zmuszony został niebawem do walki z duchem Izby Niższéj i z duchem naturalnie demokratycznym powstania. Dwa te odcienia opinii podzieliły również gwardye narodowe po miastach, i coraz ostrzéj występowały, w miarę jak się rozwijała rewolucya.

Admirał Settimo (Ruggiero), starzec nieskazitelny, patryota szczery, poważany przez wszystkie stronnictwa, mianowany był prezydentem rządowym z władzą przyznaną królowi przez konstytucyę, to jest: prawo mianowania ministrów, udzielania sankcyi dekretom Parlamentu, rozwiązywania lub odraczenia Izb, i prawo łaski. Rozporządzenia te były zaiste roztropnemi i prezydent mógł był uratować to nowe państwo, lecz niestety mąż ten ze wszech miar szanowny, z najzaszczytniejszemi przymiotami, z najdoskonalszą lojalnością serca nie łączył owéj siły działania i energii charakteru, koniecznych zalet aby powstrzymać wybryki niedoświadczonego narodu, owładnąć go i doprowadzić dzielną prawicą do niepodległości za pomocą zwierzchności która się nakłada.

Zaledwie zebrał się był Parlament, a już Izba niższa zaproponowała detronizacyę Burbonów neapolitańskich jako panujących w Sycylii. Propozycyę tę przyjęto jednomyślnie. Takiż sam był wypadek głosowania w Izbie

Parów, jakkolwiek złożonéj z hrabiów, baronów, biskupów i księży. Niezaprzeczenie wszystkich Sycylijczyków życzeniem była niepodległość wyspy; lecz popełniono błąd w tem iż rzucono się w koléj nieznaną. Nie myślano o utworzeniu rzeczy-pospolitéj, a odłączano się od Włoch w chwili walki Karola Alberta z Austryą. Włochy naganiały owo odłączenie się ludu sycylijskiego od sprawy ogólnéj, a to tem więcéj, że Sycylia na wojnę o niepodległość wysłała była do Lombardyi śmieszny oddział wojska bo złożony ze stu ludzi.

Rząd sycylijski uznał za potrzebne przystąpić do obioru króla, w nadziei, że Anglia i Francya go uznają, przez co by niepodległość wyspy, główny cel powstania została zapewnioną. Głosy zdawały się być podzielone między dwóch kandydatów: Księcia Genueńskiego mającego wowczas lat dwadzieścia sześć, drugiego syna Karola Alberta i Arcyksięcia Karola Salwatora, mającego lat dziewięć, drugiego syna Leopolda II W. Księcia Toskańskiego. Książe Genueński miał za sobą sympatye angielskie; Francyi zaś którą kierował wówczas jenerał Cavaignac, byłby się lepiéj podobał drugi syn Leopolda. Stąd się więc pokazuje, że powstanie sycylijskie detronizacyą Burbonów i obiorem nowego króla dorzucało jedno więcéj zawikłanie do tylolicznych już kłopotów z jakiemi pasowała się Europa.

Książę Genueński obrany został za jednomyślną prawie zgodą całéj ludności. Chodziło teraz o to, aby otrzymać przyjęcie ofiarowanéj korony tak przez niego samego jakoteż przez króla jego ojca.

Gdy wypadki sycylijskie rozwijały się równocześnie z bieżącemi wypadkami w całych Włoszech w téj epoce, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że jedynem i wspólnem ich wszystkich źródłem były pierwsze reformy Piusa IX (hrabiego Mastai) wyniesionego na godność papiezką 16 lipca 1846 roku. Poprzednik jego, Grze-

górz XVI (Capellari) sprawował rządy z wielką surowością. Za wstąpieniem jego na tron, rewolucya lipcowa roku 1830 we Francyi obaliwszy legitymizm, rozbudziła była namiętności liberalne w całéj Europie; Romanie powstały, i wtedy już ogłoszono tam upadek władzy doczesnéj Papieżów. Grzegórz XVI przytłumił powstanie za pomocą Austryaków i sanfedistów, tak zwanych band z najniższych warstw ludności, zebranych do walczenia z liberalistami. Przez pietnaście lat swego panowania Papież ten okazywał się nieprzyjaznym wszelkiéj reformie. Surowe i liczne wyroki za przestępstwa polityczne napełniały więzienia i wysyłały na wygnanie. Rządy były tak twarde, iż w chwili zgonu Papieża obawiano się rewolucyi w Rzymie. Czuli to dobrze kardynałowie zebrani w Konklawie. Starali się przeto obrać na Stolicę Apostolską męża z usposobieniem umysłu umiarkowanem, któryby rządził z większą słodyczą, i zdołał powstrzymać ludność uspakajając ją, któryby poczynił pewne koncessye nieuderzając wszakże do żywego w nadużycia dawnego rządu. Lud rzymski spodziewał się zawsze przy obiorze nowego Papieża pewnych ulepszeń w polityce rządu i reform w administracyi cywilnéj. Nieruchomość przeszłego rządu, nie dała się więcéj przedłużać. Wzdychano za postępem, żądano instytucyj, takich nawet, które się zdawały niezgodne z istotą papieztwa.

Pius IX, pomimo że był otoczony duchowieństwem nieprzyjaznem reformom, i pomimo pewnego wahania się w charakterze, miał najlepsze chęci i prawdziwie liberalne zamiary. To też otworzyły się więzienia stanu 8 sierpnia 1846 ogłosił on amnestyę, 10 marca 1847 uwolnił prassę, 5 lipca ustanowił gwardyę narodową pod nazwą gwardyi cywilnéj. Pozwolono przytem otworzyć czytelnie, zakładać towarzystwa naukowe, współki przemysłowe, sale ochron z szkółkami dla ubogich dzieci;

były to wszystko nowości uważane za rewolucyjne pod przeszłem panowaniem.

Rozporządzenia Piusa IX wywoływały zapał nadzwyczajny. Rzym i całe Włochy jednym upojone były szałem. Ludy włoskie zostające wszędzie pod rządem absolutnym wołały głośno o reformy, domagały się instytucyj liberalnych. Następująca okoliczność podniosła jeszcze egzaltacyę umysłów. Rząd austryacki, którego zasadą było opierać się reformom politycznym we Włoszech, rozkazał nagle jenerałowi Auersperg zająć miasto Ferrarę, aby w razie potrzeby powstrzymać ludność w Romanii roznamiętnioną liberalnemi koncessyami Piusa IX.

Kardynał Ferreti, krewny Piusa IX i jeden z jego ministrów, ogłosił natychmiast, to jest 17 lipca 1847 r. energiczną przeciw zajęciu Ferrary protestacyę, jako przeciw aktowi przemocy i przeciwnemu traktatom. Protestacya papiezka sprawiła we Włoszech niesłychane wrażenie. Był to pierwszy głos który od lat tylu podnosił się przeciw panowaniu Austryi we Włoszech, a głos ten wychodził z ust kardynała, papiezkiego ministra. Smiało powiedzieć można, że wtedy to i z Rzymu wyszło hasło do walki przeciw obcym. Włochy od téj chwili spostrzegły, że podwójny cel do osiągnięcia im zostaje, wolność polityczna i niepodległość narodowa. We wszystkich miastach organizowano ligę świętą, w któréj ochotnicy brali nazwę krzyżowników, a liga ta formowała się jakoby pod protekcyą samego Papieża. Lecz Pius IX wyparł się ligi, oświadczając, że jako Najwyższy Kapłan niechciał brać udziału w żadnéj wojnie, i że wojska jego przeszły Po wbrew jego woli. Tak więc Papież, jako książe włoski, posiadał królestwo doczesne i armię, lecz jako Najwyższy Kapłan nie mógł zbrojno w sprawie włoskiéj występować. Sprzeczność ta, mówiono w ówczas, nieistniała w śre-

dnich wiekach, gdzie Papieże działali w razie danym jak wszyscy świeccy panujący. Ważna to kwestya, przedmiot dyskussyi, który tu nie należy. Bądź co bądź, postępowanie to Piusa IX, które uważano za rozwód ze sprawą włoską, oddaliło od niego umysły, zrodziło podejrzenie i niechęć, które się późniéj dały we znaki przez wymagania przechodzące wszelką miarę.

Odtąd żądza wydalenia Austryi z Włoch połączyła się z namiętnością zdobywania konstytucyi. Pierwszą konstytucyę udzielił król neapolitański 29 stycznia 1848; drugą król piemoncki 7 lutego, trzecią w. książe Toskański 17 t. m. Nakoniec Pius IX widział się zmuszonym ogłosić konstytucyę z 14 marca. Konstytucyom tym, nazwanym we Włoszech statutami służyła za modłę dawna konstytucya francuzka (*Charte française*). Stósownie do dat powyższych, należy zwrócić uwagę na to, że popęd liberalny dał Włochom Pius IX w 1846 i 1847 roku, a zatem przed rewolucyą francuzką lutego 1848 r. Lecz jeżeli rewolucya ta nie była hasłem dla Włoch, była niem dla Austryi, Węgier, Prus, i dla całych Niemiec, które równie jak Francya rzuciły się w zamęt najstraszliwszych awantur podczas 1848 roku.

Dziwiono się słusznie, że król neapolitański Ferdynand II, panujący najwięcéj wyobrażeniom konstytucyjnym przeciwny, ustąpił pierwszy. Ale Palermo wybiło się z pod jego władzy; trwożyło go powodzenie sycylijskiego powstania; rokosz ten mógł się rozszerzyć i przenieść do kontynentalnych Neapolu posiadłości; wybuchnął już tu i owdzie w buntach miejscowych przy okrzyku: *Niech żyje Pius IX! Niech żyją reformy!* tak w Kapitanacie jakoteż w Kalabryi; okrzyki te dawały się słyszeć nawet w samym Neapolu; nakoniec dowiedział się król Ferdynand, że inni panujący we Włoszech ogłoszą niebawem konstytucye. Uprzedził ich przekonanym będąc wówczas, że nic się oprzeć niemoże temu

ruchowi umysłów, że jedynym sposobem utrzymania się na tronie było od razu ruchowi temu ustąpić. Z resztą rachował na to, że pochwyci pewną sposobność aby zniweczyć niedogodne instytucye.

Tym czasem ofiarowano Sycylii koncessye z pomocą ministra angielskiego w Neapolu, i za pośrednictwém pół urzędowem lorda Minto, mającego w ówczas tajemną misyę we Włoszech, w celu równoważenia wpływu, jaki Francya konstytucyjna bardzo naturalnie wtedy wywierać mogła na półwyspie. Eskadra angielska pod rozkazami admirała Parkera, i eskadra francuzka którą dowodził admirał Baudin, nieopuszczały brzegów sycylijskich; admirałowie po kilkakroć interweniowali dla poskromienia zapalczywości wojennéj, nie biorąc wszakże żadnego udziału w walce ani też stając po téj lub owéj stronie. Zdawało się, że eskadry były na tych wodach jedynie dla tego, aby się pilnować nawzajem, śledzić jedna drugą zazdrosnem okiem i przeszkadzać by żadne z obu mocarstw nie brało przewagi w kierowaniu losami Sycylii. Pomimo tajemnéj nadziei jaką się może kołysali Sycylijczycy, nie było prawdopodobieństwa aby Anglia posunęła się aż do zabrania połowy królestwa neapolitańskiego w obec całéj Europy.

Rewolucya 24 lutego 1848 i rzeczpospolita ogłoszona w Paryżu, chociaż całkiem niespodziewanie, przeraziły panujących. Ferdynand zrozumiał iż wypada mu się spieszyć aby go uznano królem konstytucyjnym w Sycylii, ogłosił też różne rozporządzenis w tym celu. Admirała Settimo prezydenta rządu powstańczego mianowano namiestnikiem królewskim; ukonstytuowano ministeryum sycylijskie; urządzono administracyę odrębną, zatrzymując tylko w Neapolu wydziały ministra wojny i spraw zagranicznych; podatek roczny z wyspy ograniczono do półtrzynasta miliona franków; nakoniec udzielano amnestyą ogólną, z wyjątkiem czterdziestu osób

z pomiędzy najbardziéj skompromitowanych, które miały iść na wygnanie aż do zupełnego przywrócenia spokojności. Nie było wszakże wzmianki o konstytucyi z roku 1812 o któréj przemilczał również i statut, bo Sycylijczycy mieli zasiadać w parlamencie neapolitańskim wraz z deputowanymi innych prowincyj. Dekreta te przywiózł do Sycylii lord Minto z listami zapieczętowanemi, które zawierały nominacye nowych dygnitarzy mianowanych przez króla. Lord Minto i obaj admirałowie radzili przyjąć te propozycye.

Lecz komitet Parlamentu odrzucił wszystkie te koncesye i niechciał nawet otworzyć listów zapieczętowanych. Sycylijczycy żądali zupełnego odłączenia, żądanie które zganili wszyscy historycy współczesni i najlepsi patryjoci włoscy. Lord Minto wymógł przynajmniéj, aby przesłano do Neapolu kontrapropozycye. Otóż czego domagali się Syczylijczycy: wszystkie urzęda oddane krajowcom; chorągiew trójkolorowa włoska; gwardya narodowa; żadne inne wojsko w Sycylii tylko sycylijskie; wicekról z gabinetem zupełnym, niewyłączając ministerstwa wojny, marynarki, i spraw zagranicznych; prawo bicia monety; czwartą część floty i materyałów wojennych; uznanie wszystkich aktów rządu sycylijskiego; nakoniec wszystkie szkody zrządzone przez powstanie poniesione być miały przez rząd neapolitański.

Były to takie warunki, jakie tylko mógł nałożyć potężny zwycięzca. Opinia powszechna w Neapolu była Sycylijczykom przeciwną. Wszyscy odrzucali myśl niepodległości Sycylii: rojaliści i liberalni niechcieli podziału królestwa. Nie było już żadnego sposobu aby wejść w układy z powstaniem.

Wtedy to Parlament sycylijski zawyrokował detronizacyę Ferdynanda II. Miano zamiar obrać królem na jego miejscu którego z synów, lecz lord Minto zapewnił, że wybór ten nie byłby przyjęty. Natenczas dnia

21 lipca 1848 obranym został książe Genueński jakeśmy wyżéj powiedzieli. Gdy Karol Albert nie przyjął téj korony, powstanie zostało oddane samemu sobie, bez żadnego uznania ani przez Francyę i Anglię, jak się tego spodziewano, ani też przez żadne z państw włoskich. Starano się więc utworzyć armię, i zadekretowano, że każdy Sycylijczyk od ośmnastego do trzydziestego roku jest żołnierzem. Nie było atoli żadnych przyrządów i zasobów wojennych. Brak takowych zastąpiono jak się dało. Nie było oficerów, udano się do cudzoziemców, i wezwano między innymi jenerała Mierosławskiego który dowodził był w powstaniu Księstwa Poznańskiego przeciw Prusom.

Zbliżamy się do katastrofy. Pozostaje opowiedzieć ostatnie usiłowania Sycylii i obalenie konstytucyi neapolitańskiéj przez króla samego, co mu pozwoliło użyć wszystkich swych sił do przywrócenia despotyzmu tak w Palermie jak i w Neapolu. Wypadki w gruncie rzeczy podobne do powyższych z r. 1848, widzimy dzisiaj w Sycylii w téj saméj prawie formie, z poruszeniem tych samych prawie namiętności, na tem samem prawie polu, lecz bez oznaczonego dotąd dokładnie celu. Kreślimy krótki ten rys historyi Obojga Sycylii z 1848 r., aby stawieniem przykładu z przeszłości, wykazać, jaką może mieć doniosłość powstanie obecne, i dać poznać następstwa jakie mieć może śmiałe przedsięwzięcie Garibaldego dla politycznéj przyszłości królestwa Neapolitańskiego. Czytelnicy zawiadamiami codziennie przez dzienniki o kolejach ruchu obecnego, będą mogli porównywając go z ruchem w 1848, wyciągnąć wnioski nad przyszłym rezultatem z r. 1860. Pole domysłów otwarte. Czy Garibaldi przybył do Sycylii aby ją niepodległą uczynić? Czy aby ją oddać królowi Sardyńskiemu? Czy też celem jego jest wywołać ruch liberalny w królestwie neapolitańskiem w zamiarze zmuszenia króla do

połączenia się z polityką Piemontu i ze sprawą niepodległości Włoskiéj? Chcieć rozwiązać te przypuszczenia jest to samo co chcieć być prorokiem. Wracamy więc do naszego przedmiotu.

Lecz zanim wrócimy do Sycylii, wypada nam koniecznie opisać fakta, które sprowadziły upadek wolności w Neapolu, i powiedzieć, jakim sposobem upadła konstytucya zanim w życie wprowadzoną została, 15go maja 1848, w sam dzień pierwszego zebrania się Parlamentu. Zarzucano liberałom neapolitańskim, iż wystąpili z niesłychanemi pretensyami i wymaganiami, przechodzącemi o wiele wszelkie prawa konstytucyjne powszechnie uznane. Niedowierzali królowi, i zapewne słusznie; lecz król trzymał się ściśle w granicach legalności. Chciano go owładnąć, nakładając mu programata które według niego podstawiały instytucye republikańskie w miejsce tych jakie był ogłosił. Swawola dziennikarstwa nie znała granic; królowi zdawało się że mu detronizacya zagraża. Te były zarzuty jakie czyniono stronnictwu liberalnemu.

Głos publiczny i ministrowie liberalni zmusili byli króla do wysłania wojska nad Po i do wspólnego działania w celach oswobodzenia Włoch. Powtarzano mu, że na polach Lombardyi powinien odzyskać koronę Sycylijską, lecz król nie mógł się zdecydować do wojny z Austryą. Wbrew więc zupełnie przekonaniu zadekretował wysłanie 40,000 wojska pod dowództwem jenerała Pepe do północnych Włoch, ale wysłał tylko 15,000 ludzi. Uczucie patryotyczne niepodległości Włoch było mu przeciwne, albowiem wiązało się z zasadą wolności. Sama też armija neapolitańska z wielką przyznać trzeba niechęcią przyjmowała konieczność bicia się z wojskiem austryackiem. Armia ta, zresztą dobrze utrzymana i wyćwiczona, nie miała żadnéj sympatyi dla konstytucyi: przywiązana tylko do króla, który używał wielkiéj między żołnierzami popularności przez poufałość niezgodną

nieraz z powagą monarszą. Miał on prócz tego na swe rozkazy pułki szwajcarskie, gotowe na wszystko za królem przeciwko ludowi którym pogardzali.

Z rana dnia 15 maja deputowani byli zgromadzeni. Dyskutowano nad rotą przysięgi, którą się związać mieli do zachowania konstytucyi takiéj jaką była, gdy tymczasem większość zmierzała właśnie aby zmienić ją w kierunku więcéj demokratycznym. Deputowani najbardziej egzaltowani, poparci przez dzienniki demagogiczne i kluby, wywołali agitacyę w mieście; wzniesiono barykady przy których stała część ludności uzbrojona; wojsko i pułki Szwajcarskie stały pod bronią w koszarach; lecz obie strony trzymały się w pogotowiu, i zdawało się, że do starcia koniecznie przyjść musi. Hasłem do niego był strzał który padł niewiadomo zkąd, lecz od téj chwili okropna rozpoczęła się walka między ludem a Szwajcarami wspieranemi przez wojsko liniowe. Powstanie przegrało po ośmiogodzinnéj ulicznéj bitwie, w skutku któréj żołnierze dopuszczali się okrucieństw i rabunku.

Wątpiono aby Król Ferdynand miał był ułożyć ten nieszczęsny bunt uliczny. Zawsze jednak król był z góry pewnym zwycięztwa, i użył go aby zniweczyć nowe instytucye. Stronnictwo konstytucyjne było nieliczne, w narodzie górowała obojętność, a pospólstwo w absolutnym rządzie pokładało wiarę. W kraju tym władza tylko lojalna byłaby zdolną zaprowadzić rząd konstytucyjny, któraby wyższą mając oświatę od narodu, chciała go szczerze wprowadzić w używanie rozsądnéj wolności. Król Ferdynand przeciwnie, był nieprzyjaznym wolności. Wrócił więc do systematu monarchii absolutnéj, i to takiéj, w któréj wszystkie prawa i wszystkie magistratury podporządkowane są władzy tak czynnéj i arbitralnéj jaką była tam policya. Ministrowie konstytucyjni skazani zostali na galery i z zbrodniarzami do jednego łańcucha

przykuci. Taki los spotkał Poeria, Dragonetta i innych, którzy niebardzo dawno jeszcze dźwigali kajdany lub żyli na wygnaniu.

Z wielkim pośpiechem porzucił król otwarcie sprawę włoską, którą nienawidził zawsze, lubo dotąd potajemnie tylko; odwołał swe wojsko z nad Po, pod pozorem że go potrzebuje dla poskromienia powstania sycylijskiego. Jakkolwiek znano wątpliwe stanowisko króla w wypadkach 15 maja, pozór ten do odwołania wojska przyczynił się nie mało do zdepopularyzowania w całych Włoszech sprawy Sycylii. Póżniéj w miesiącu sierpniu 1848, Karol Albert pobity nad Mincio, zmuszony był opuścić Medyolan, a Austrya wracała do dawnéj we Włoszech przewagi. Wtedy król Ferdynand mógł się cieszyć swem postępowaniem i przywiązać się więcéj jeszcze do swego systematu. Nie pozostawało mu już nic do czynienia, jak tylko zagarnąć na powrót Sycylię pod swoje berło nie zrobiwszy najmniejszéj koncesyi.

W pierwszych dniach września 1848 r. jenerał Filangieri wylądował w pobliżu Mesyny, i ruszył przeciw miastu na czele 20,000 ludzi, aby je zdobyć i oswobodzić garnizon zamknięty w warowniach. Powiedzieliśmy wyżéj, że mieszkańcy byli panami miasta od samego początku powstania. Mesyńczycy ograniczyli się na usypaniu wałów i bateryj w ulicach. Mesyna jest szańcem przedmostowym który łączy Sycylią ze stałym lądem; Neapolitańczykowie będąc panami warowni byli panami przejścia. Gdyby Sycylijczycy znali sztukę wojenną lub posiadali uzdolnionych oficerów, byliby oblegli cytadellę zewnątrz miasta, sypiąc okopy od południa, potem pod zasłoną tych okopów byliby podstąpili pod bastyon Don Blasco, przechodząc płaszczyznę Terra Nuova, i uwieńczywszy tym sposobem punkta górujące, bateryami oblężniczemi mogliby zrobić wyłom, któryby im otworzył fortyfikacye zewnętrzne a w końcu uczynił

panami warowni. Tak sobie zapewne postąpi Garibaldi, jeżeli mu szczęście daléj służyć będzie.

Po trzydziestogodzinnéj walce, krwawéj i zaciętéj z obu stron, Neapolitańczykowie opanowali miasto. Oskarżano zwycięzców o dopuszczenie się wielkich okrucieństw. Miasto było zniszczone do połowy; ruiny do dziś dnia istnieją.

Obaj admirałowie francuzki i angielski usiłowali napróżno ofiarując pośrednictwo swoje powstrzymać bombardowanie i rzeź, jakoteż wyjednać dla miasta kapitulacyę Filangieri nie ustąpił w niczem. Lecz p. Rayneval i lord Napier opierając się na raportach przez admirałów otrzymanych, i na dowodach okropności popełnionych w Mesynie, założyli interwencyę w imię ludzkości na korzyść Sycylii, i pod ich protekcyą zawartem zostało 19 października zawieszenie broni. Trwało ono pięć miesięcy. Czas mógł być wielkim dla Sycylijczyków sprzymierzeńcem. Zobaczymy, czy rząd w Palermie i Parlament umiały z niego korzystać aby się przygotować do ostatecznych zapasów jakie im zapowiadało zdobycie Mesyny.

Sycylia mając 2,300,000 ludności mogła złatwością wystawić 50,000czną armię: zdobyła się tylko na 15,000 wojska. Parlament zapuszczał się w rozprawy, jakby w czasach zupełnego pokoju, dzielił się na stronnictwa z powodu wyboru ministrów, zapominał, że wróg przed bramą i łudził się ciągle nadzieją, że go uznają obce mocarstwa. Spodziewał się, że Sycylia otrzyma wolność za wpływem zewnętrznym, a nie przez usiłowania wewnętrzne. Trzeba było korzystać z zawieszenia broni, organizować siły, gromadzić zasoby, a niezajmować się innemi kwestyami na porządku dziennym. Zamiast tego rozprawiano nad teoryami rządu reprezentacyjnego. Zgromadzenie miało swoją stronę prawą, miało lewicę, centrum i opozycyę. Ministrów zmieniano co chwila,

w miarę tego jak się większość przechylała. Rząd absorbowany walką parlamentarną nie mógł ani rozwinąć sił ani jedności kierunku w sobie wyrobić. Zapasy stronnictw, które bywają kłopotem dla najlepiéj ustalonych rządów, stawały się żywiołem zniszczenia dla rewolucyi opuszczonéj na łup namiętności wewnętrznych.

Parlament poruszał więc kwestye konstytucyjne i reformował w duchu demokratycznym konstytucyę z 1812 r. Zachował dwie Izby, ale zamienił nazwę parów na senatorów wybieralnych; był to krok niepotrzebny, który wywoływał nieukontentowanie w klasie możnéj baronów i dygnitarzy kościelnych, a jedni i drudzy byli wielkimi właścicielami. Parlament ogłaszał wszechwładztwo ludu, dekretował że król nie ma prawa ani rozwiązać ani odraczać Izb; co sprowadzało królewskość do czczego tytułu. Zrywano tym sposobem z dawnemi tradycyami narodu, który nie pojmował nowoczesnéj wolności, a w powstaniu kierowała nim tylko nienawiść przeciw Neapolitańczykom i chęć wypędzenia ich z wyspy.

Zawyrokowano detronizacyę Ferdynanda i jego rodziny; następnie układano teoryę władzy; potem przystąpiono do obioru króla, co się stało 10 lipca 1848 r. Obrano nim księcia Genueńskiego. Wysłano deputowanych do Karola Alberta, aby uzyskać od niego przyjęcie korony. Lecz Karol Albert po doznanych klęskach w Lombardyi, nie był już w takiem położeniu, aby mógł przyjąć dla syna tak wątpliwéj korony.

Parlament Sycylijski mniemał, że obiór króla sprowadzi uznanie królestwa Sycylii przez Anglię i Francyą. Co do tego mylił się bardzo. Elekcya króla nie mogła w niczem zmienić położenia. To jedynie mogło było zmienić położenie, gdyby obrany książe objął był w posiadanie Sycylię. W takim razie mocarstwa ujrzałyby się w obec faktu dokonanego; a i wtedy nawet możeby się wahały przéz wzgląd na tak niepewne losy Włoch

w owéj epoce, kiedy los żadnego państwa nie był całkiem zapewniony.

Skoro się negocyacye w celu uznania przez mocarstwa nowo obranego króla nieudały, zwalono za to odpowiedzialność na ministrów. Gabinet musiał ustąpić. Obrano nowy — szósty z rzędu! Nic więcéj i on dokonać nie potrafił jak poprzednie, bo porównie z tamtemi dyskusye parlamentarne odrywały go od jedynego ważnego zadania jakiem była obrona kraju; stronnictwa zaś przesadzały się w patryotyzmie gdy szło o dyskusye parlamentarne, a nigdy zgodźić się nie mogły w żywotnéj kwestyi od któréj los kraju zależał, to jest jakim sposobem wytrzymać grożącą wojnę.

Tymczasem zawieszenie broni kończyło się 19 marca 1849. Jenerał Filangieri gotów był rozpocząć kampanię z 16000 korpusem stojącym załogą w Mesynie i jéj okolicach. Król Ferdynand spieszył się z odzyskaniem Palerma. Okoliczności polityczne zewnętrzne sprzyjały mu. Karol Albert cofnął się w granice Piemontu; Austrya odzyskała swę posiadłości; W. Książe Toskański przywracał dawny rząd; Papież był Gaecie, a Francuzi oblegali Rzym, gdzie Mazzini ogłosił był rzeczpospolitę.

Na odgłos ruchu zaczepnego Neapolitańczyków, ogromna agitacya połączona z wojowniczym zapałem wybuchła w Palermie. Parlament szarpany był na różne strony. Jedni żądali dyktatury ze wszystkiemi jéj następstwami, z zawieszeniem wolności druku, parlamentu i prawa stowarzyszeń. Być może, iż od tego właśnie zacząć trzeba było; tak uczynił Piemont w chwili wybuchu wojny r. 1859; tak zdaje się postąpił sobie teraz Garibaldi w Sycylii. Inni atoli przeciwnie, żądali aby instytucyom krajowym nadać jak najzupełniejszy demokratyczny rozwój. Stąd podwójna opozycya, z któréj najsilniejszą stawiało stronnictwo arystokratyczne. Opierało się na gwardyi narodowéj, wyrzucało ministrom,

że nie umieją poskromić zaburzeń, że nie wchodzą w układy z Neapolem; żądało powściągnięcia rewolucyi zapomocą aresztowań i komisyj wojskowych. Wtedy szóste ministeryum, stawione między dyktaturą i anarchią, zażądało wotum zaufania. Pobite 76 głosami przeciw 33 — ustąpiło. Odtąd niebyło już więcéj ministrów, ale rząd tymczasowy złożony z trzech członków pod przewodnictwem starego admirała Ruggiero Settimo.

Neapolitańczykowie poszli naprzód na Katanię, która jest drugiem z kolei miastem w Sycylii. Jenerał Mierosławski naczelny wódz siły zbrojnéj sycylijskiéj, niemógł więcéj postawić jak 6000 ludzi. Raniony niebezpiecznie, został zupełnie pobity. Po wzięciu Katanii, Filangieri przeszedł całą wyspę wzdluż, aby dojść do Palerma. Jenerał Ulloa gani go, że się udał przez góry, gdzie wszędzie mógł się spotkać z powstaniem, i gdzie miał na drodze silną pozycyę Castro Giovanni, słynną już w wojnach normandzkich przeciw Saracenom, którąby mu zdobywać było wypadało. Jenerał Ulloa ma słusznie w zasadzie; ale Filangieri wiedząc że niema armii sycylijskiéj zorganizowanéj należycie, sądził, iż może śmiało pójść do Palerma, a wypadek dowiódł że się niepomylił.

W Palermie wszystko było w największym nieładzie i pomięszaniu. Rząd rozwiązał się, zanim Neapolitańczykowie pod mury podstąpili. Dwustu obywateli najwięcéj skompromitowanych wsiadło na okręty udając się do różnych krajów, admirał zaś Settimo uszedł do Malty.

Dnia 26 kwietnia Filangieri stanął u bram miasta a w przystani rzuciło kotwicę jedenaście statków wojennych z wojskiem, które miało wylądować. W Palermie niesłychany nieład. Jedni wołają: Pokój! drudzy: Wojna! trzeci: Śmierć zdrajcom! Gwardya narodowa zaczęła wchodzić w układy z jenerałem; lecz pospólstwo obu-

rzone zmusiło ją rozwiązać się, rzuciło się na baterye, ogniem działowym wyparło okręty z przystani, i 5go maja rozpoczęło bój z wojskiem lądowem pod murami Palerma. Na widok téj niespodziewanéj energii patryotów, Filangieri, który zrazu żądał bezwarunkowego poddania się, przystał na kapitulacyę, na mocy któréj udzielono amnestyę z wyłączeniem czterdziestu trzech osób wymienionych z nazwiska. Obcy zaś ochotnicy i zbiegi neapolitańskie mogli się schronić na okręty państw neutralnych.

Zadziwiać może, jak się to stało że po czternastu miesiącach wolnego bytu, ludność przeszło dwumilionowa dała się bezwarunkowo podbić przez korpus 20,000, a to pomimo odwagi, patryotyzmu i namiętnéj żądzy niepodległości. Sycylijczycy zgubili się w r. 1848 rachując głównie na pomoc obcych narodów, a zwłaszcza Anglików, i mniemając że Anglia zobowiązaną była popierać konstytucyę z r. 1812 dla tego że ją był nadał w jéj imieniu lord Bentink.

Sycylia żyje w ucisku i zawsze dążyć będzie do powstania. Rząd neapolitański nie czyni nic dla téj wyspy; posiada ją ale nią nie rządzi. Nie widzi też ona innego na swoje cierpienia środka, jak tylko zupełną niepodległość. Lecz gdyby zasada rządu zmieniła się w Neapolu, gdyby władza stała się liberalną i dobroczynną, czy możnaby chwalić Sycylijczyków iż pragną podziału królestwa dobrze rządzonego? czy rozsądniéj jest żądać parlamentu odrębnego dla Sycylii, niż byłoby żądać takowego dla Irlandyi lub dla wyspy Sardynii?

Wypowiedzieć tu należy powody, dla których pomijając nawet niedostatki i błędy rządu neapolitańskiego, Sycylijczykowie są tego przekonania, że połączenie wyspy z Neapolem szkodliwem jest dla jéj pomyślności. Powody te pochwycił z wielką trafnością p. Hervé, i do

niego przychodzi się odwołać w tym przedmiocie, chociaż nie należy on do historyków liberalnych.

Od roku 1806 do 1816, przez owe lat dziesięć, podczas których Sycylia odłączoną była od Neapolu, używała ona pod protekcyą angielską pomyślności nadzwyczajnéj, do któréj dziś powrócić nie może. Anglia trzymała w niéj 18,000 wojska, opłacała wojsko sycylijskie, a nadto płaciła znaczną pensyę dworowi który się był schronił do Palerma. Flota angielska która blokowała Tulon, ciągneła z Sycylii żywność po większéj części. Groźna pozycya armii francuzkiéj w Neapolu wymagała koniecznie wzmocnienia warowni sycylijskich. Anglicy wydali na to przeszło 25 milionów franków. Uorganizowali legię krajową, któréj broń i umundurowanie dostarczyły fabryki sycylijskie. Anglia więc wydała przez te dziesięć lat ogromne sumy w Sycylii, nie wymagając po niéj żadnych ofiar prócz płacenia podatków takich jakie zawsze składała.

I nie były to jedyne korzyści jakich używała Sycylia. Systemat kontynentalny sprawił, że Malta i Sycylia stały się składem całego handlu Anglii z morzem Środziemnem, Turcyą i z całem Wschodem. Pomimo usiłowań Napoleona I, towary z Malty i Sycylii wchodziły do Europy. Sycylia dostarczała żywności flotom handlowym. Mieszkańcy jéj wkładali kapitały w spekulacye, znaczne przynoszące im zyski. Bogactwo tyle miało różnych źródeł, że z nich wszystkie klasy ludności czerpały.

Pomyślność ta atoli zależała od chwilowych warunków, które zniweczył pokój. Dwór wrócił do Neapolu. Armia angielska opuściła wyspę. Handel sprowadzony na właściwą drogę, ograniczony do własnego przemysłu, ztrudnością mógł wytrzymać konkurencyę z Maltą. Tym sposobem niesłychana pomyślność chwilowa, zawisła od okoliczności nie mogących się już powtórzyć, wpoiła przekonanie Sycylijczykom, że odłączenie się od Nea-

polu może im jedynie wrócić szczęście i bogactwo, chociażby nawet zmienił się systemat administracyi neapolitańskiéj.

Wyspa ta należała przez czas niejaki od r. 1713 do 1720 do książąt Sabaudzkich w moc traktatów których niema przyczyny tu przytaczać; później zamieniono ją za Sardynię, która należała do Austryi, a zamiana ta przyniosła książętom Sabaudzkim tytuł królewski.

Dziś, patrząc na kierunek powstania r. 1860, łatwo sądzić, że Sycylia więcéj już kiedykolwiek dąży do odłączenia się zupełnego i do niepodległości. Zdawałoby się nawet, że dwór neapolitański przystałby na to, gdyby tym sposobem mógł zasłonić się przed inwazyą reszty krajów, i uniknąć przymierza z Piemontem przeciw Austryi, do czego znów zmierza Garibaldi. Jakkowiek bądź los Sycylii zawisł wtéj chwili od powodzenia lub też nieudania się zamiarów Garibaldego, a nawet powiedzieć można, że przyszłość samego królestwa Obojga Sycylii wiąże się z gwiazdą tego śmiałego partyzanta.

KRONIKA.

Paryż w maju.

Dwojaka jest temperatura moralna w któréj kształtują się pojęcia ludzkości: wielkie idee rodzą się zawsze podczas straszliwéj nawałnicy, wśród grzmotów gniewu i piorunów przekleństwa; urzeczywistnienie myśli następuje wśród głębokiéj ciszy, wtedy kiedy poczęte w burzy wyobrażenia dadzą się wprowadzić w życie prawie bez oporu, przez samą tylko moc zasady, którą Cesarz Francuzów *la force des choses* zowie. Ową siłą rzeczy jest poprostu jaśniejsze pojęcie sprawiedliwości — sprawiedliwości nieodzownéj, bo powszechnéj, która wypłynąwszy z mętnego chaosu, przez tłum przeciekając oczyściła się jak woda cedzona przez piasek, i jak ona, przedstawia się oczom tak przezroczystą, że nawet ci co przeciwko niéj walczą, w końcu zrozumieć ją muszą.

Obrońcy starych pojęć, znużeni daremną walką, jak długo pod wodą pływające nurki, czują wreszcie potrzebę odetchnięcia powietrzem, którem oddycha ludzkość; wytykają więc na świat głowy, a nie widząc już przyczyny swego bytu, zniechęcają się i nikną powoli:

jedni cichaczem wynoszą się z areny — drudzy (a takich bardzo mało) jak „Hrabia Henryk“ giną na okopie Świętéj Trójcy.

Taka jest naturalna koléj rzeczy.

Czasami atoli zdarzają się upiory uporczywie wyłażące z trumny.

Do tych ostatnich należy naczelnik legitymistów francuzkich. W ciężkiem pogrążony zmartwieniu, protestuje, argumentuje, dowodzi, jak tonący ostatniéj deski zbawienia czepia się drukarskiego rozgłosu, i daje o sobie wiedzieć, trzeźwiony wciąż okrzykami maluczkiéj partyi, która dla dodania mu odwagi woła, że nie wszystko zginęło kiedy on żyje!

„Jakakolwiek jest, powiada *L' Union*, opinia francuzów o potędze zasad legitymistycznych, każdy nawet najprzeciwniejszy tym zasadom, uznaje ich reprezentanta — każdy wie, tak dobrze we Francyi jak zagranicą, na czyjéj one głowie spoczywają“.

Dla lepszego zapewne objaśnienia téj wiadomości, a raczéj dla zawiadomienia świata o życiu starszéj linii Burbonów o któréj zdaje się zapominać — stronnicy prawowitości wydali tu teraz spory tom pod tytułem: „Korespondencya polityczna Hrabiego Chambord“.

Jeżeli kiedy, to tym razem sprawdziły się słowa które Talleyrand podwładnym swym powtarzał: „*Surtout pas de zèle!*“. Z książki o któréj mowa, ułożonéj gorliwą ręką, najlepiéj dowiedzieć się można, czego Francya ma oczekiwać od starszéj linii Burbonów. Jestto ciekawy zabytek starożytności.

Zbiór ten mieści w sobie listy pisane pomiędzy latami 1841 a 1859. Przez te lat ośmnaście, Hr. Chambord zamknął się w zupełnéj nieczynności: cała jego rola ograniczała się na złych intencyach; czynu nie było żadnego.

Listy Hrabiego, przez wielbicieli jego podane admiracyi powszechnéj, odznaczają się najzupełniejszą nicością. Po większéj części Hrabia dziękuje w nich za jakąś przypisaną sobie publikacyę — chwali ją, oraz oświadcza niezmiennie żal swój z powodu nieobecności swéj w kraju i nadzieję rychłego powrotu. Chambord lubi także klęski, z okazyi których posyła zawsze obok datku list polityczny do Francyi.

Wygłaszane w tych listach pojęcia o sterze Francyi gdyby ten kiedy w jego ręce się dostał, są zupełnie nieujętne — ale za to uniwersalne zapatrywanie się na sprawy ludzkości i porządek społeczny wszędzie wybija.

Czasami Hrabia naśladuje sławny żart Ludwika XVIII, który na dekretach swoich pisywał: „Dan ośmnastego roku naszego panowania“. W liście z 1848 roku, Chambord oświadcza swoje monarsze zadowolenie przekupkom paryzkim za dobre sprawowanie się w politycznéj zawierusze. Przekupki dotąd pewnie nie wiedzą, jaki je zaszczyt spotkał.

W tymże roku Hrabia przypomina Francyi, „że jego życie, ramie i serce do niéj należy“ rozumie się, jeżeli mu się podda. W liście z 16 maja 1850 pisanym do Księcia Valmy, legitymisty rewolucyjno-napoleońskiego pochodzenia, powiada: „Wszystko złe, które nas gnębi, pochodzi z napadów dokonywanych przeszło od pół wieku na zasady będące podstawą porządku społecznego i politycznego. Jedynem lekarstwem jest powrót do tych świętych zasad“.

Listy z epoki wojny Krymskiéj noszą cechę wielkiego nieukontentowania; co karta znaleść można ubolewania nad Francyą którą uzurpator zmusza walczyć z Rosyą.

Dnia 18 czerwca 1859 r. Hrabia Chambord odpisując jakiemuś Margrabiemu, którego syn zginął pod Magentą, powiada „iż nic boleśniejszego, jak widzieć najczystszą krew francuzką przelewaną tak, za nic!“ Brat Księżny Parmeńskiéj nie pojął przyczyny wojny Włoskiéj — lecz dziwić się można rodzicom, którzy nie tylko pozwalają bluźnić sprawie za którą syn ich oddał życie, ale nadto, podobne listy dają do druku.

Ostatecznie, z listów Hrabiego Chambord'a pokazuje się, że on i jego stronnictwo stracili zupełnie poczucie tego co było szanowne i dobre w starym porządku rzeczy — a nie zrozumieli wielkości ani przyszłości nowego systemu politycznego Francyi. „Wiele zapomnieli — a nic się nie nauczyli“.

Poddani młodszéj linii Burbonów przypomnieli znów publiczności swoich kandydatów, drugą książką, pod tytułem „Księżna Orleańska“, która nie większą od pierwszéj ma donioslość.

Panegiryk Księżny Orleańskiéj jest głównie ważnym z powodu szczegółów, jakie daje o roli odegranéj przez rodzinę królewską w czasie rewolucyi 1848 r. Książkę skreśloną ręką niewieścią a poprawianą przez Akademika, rozpoczyna liryczny rozdział, poświęcony opisowi małżeństwa księżniczki Heleny Meklembursko-Szweryńskiéj z następcą tronu francuzkiego. Autor *pojmuje*, że brat Księżniczki „nie sprzyjał jéj zamęściu i drżał z obawy widząc siostrę odjeżdżającą do kraju tak dla monarchów swoich fatalnego“. Ale jakaż siła może stawić tamy miłości?!

Tu następuje wyliczanie cnót i powabów Księcia Orleańskiego „które musiały porwać wyobraźnię każdéj dziewczyny“. Ustęp ten jest tem oryginalniejszy, że jak wiadomo każdemu, Książe należał do rzędu ludzi bardzo powszednich— całe życie jego nie naznaczone ani jednym czynem, a nawet słowem — tylko w Almanaku Gotajskim zostawiło ślady.

Cóżkolwiek bądź, księżniczka niem'ecka zakochana w królewiczu, znając niebezpieczeństwa, na jakie narażaną bywa we Francyi rodzina panująca — postanowiła poświęcić się dla niego.

Ileż słów, a raczéj ile fałszów niepotrzebnych! Czy nie prościéj było powiedzieć, o czem z resztą wie świat cały, że król Pruski z Ludwikiem Filipem ułożyli to małżeństwo, a książe i księżniczka poddali się ich woli jakby to byli uczynili dla każdéj innéj kombinacyi politycznéj, rozporządzającéj ich osobami. Co do miłości państwa młodych, téj sam autor fałsz zadaje, zapisując nieuważnie, że *pierwsze* widzenie się księcia Orleańskiego z tą którą poślubił przez prokuratora, nastąpiło w Chalons. Małżonkowie więc nieznali się przed ślubem.

Potem następujące malowidło domowego życia rodziny Luwika Filipa może tylko obrzydzić ową mieszczańsko-wolteryańsko-bigoterską mięszaninę, którą król Ludwik ochrzcił nazwą: *krolewskości obywatelskiéj*.

Opis 24 lutego zawiera mimo woli autora, wiele ciekawych wyznań. Oburza on się najprzód na złe obejście się paryzkiego ludu z familią królewską, nazywając go „*multitude en démence*“. Następnie usiłuje wykazać wielkoduszność, jakiéj w dniu tym dowiodła księżna Orleań-

ska — ale z najlepszą wolą dopatrzeć jéj nie można, nawet w panegiryku.

Skoro powstanie wybuchło, Księżna z synami *dozwoliła się zawieść* do izby. Tam, powiedziawszy tylko: „*Nous sommes venus ici, mon fils et moi*“ spytała obok stojącego deputata „co jéj czynić radzi?“ i nie czekając odpowiedzi, wyszła z sali; po drodze zgubiła jednego syna, którego jéj *la multitude en démence* grzecznie podała okienkiem. Odebrawszy dziecko, udała się do Inwalidów, zkąd, przesiedziawszy parę godzin bezczynnie, wyjechała za granicę tego samego dnia wieczorem.

Oto w kilku wyrazach cała bohatyrska historya Księżnéj Orleańskiéj.

Daléj następują listy księżnéj pisywane z wygnania. W jednym z nich 9 lipca 1848 roku, Księżna zowie rzeź która w czerwcu cały Paryż krwią zalała „mądrym i energicznym środkiem“. Z powodu 2 grudnia nie tai swego oburzenia przeciw Uzurpatorowi i upokorzonéj Francyi. Rząd napoleoński atakowany jest co chwila— a jednak książka wyszła w Paryżu, i sprzedaje się swobodnie pod tym uciskiem, nad którym tak litują się mieszkańcy wolnych krajów reszty Europy; wyszła z pod cenzury, nie postradawszy ani jednego drogocennego słowa....

Najlepszy to dowód bezsilności stronnictwa Burbonów: dozwolono mu publicznie zawodzić skargi i rozczulać się nad wygnanką, która przecież część tego tułactwa spędziła w ojczyznie swojéj, w Eisenach; dozwolono czynić z téj pseudo-męczenniczki broń na zbicie idei napoleońskiéj, wiedząc dobrze, że to dziecinna igraszka, że kiedy cała zasada koncentruje się już tylko w jednéj osobie i jest tylko przez jednego reprezentowana, żywot jéj krótki.

Czy krótko czy długo jeszcze będzie istnieć we Francyi zasada prawowitości, litować się trzeba nad ludźmi którzy w tak wielkich dla ludzkości chwilach nie dzielą, szczęścia milionów i zamiast cieszyć się splendorem ojczyzny, gdzieś w ciemnym kącie przyczajeni, jeszcze marząc o wojnach domowych, ze złości gryzą pięści...

Długo oczekiwana wiosna przybyła nareszcie w pierwszym tygodniu maja. Teraz co niedziela aż do końca miesiąca, cały Paryż spływać będzie nad Sekwanę, gdzie

na pochyłéj zielonéj równinie Longchamps zwanéj, odbywają się najpyszniejsze wyścigi, jakie wyobrazić sobie można.

Jest to majowa zabawa Paryżanów, malownicza rozrywka, w któréj coraz więcéj gustują. Kto nie widział, nie wyobrazi sobie tego nieprzeliczonego tłumu powozów, które jak czarna bystra rzeka płyną przez pola Elizejskie i wszystkie aleje lasku Bulońskiego na zieloną łąkę, co jak aksamitny kobierzec ciągnie się od lasu do Sekwany. Rozmaitość ich niesłychana. Wprawdzie czterokonnych powozów nie wiele, ale parokonnych koczów, jednokonnych amerykanek, wiktoryów, kabryoletów, wolantów, niezmiernie wiele, jak nigdy niebyło. Dobry byt szerzy się widocznie we Francyi: w miarę jak znika zbytek, komfort się rozpowszechnia.

Wnosić to można z powozów i mieszkań, bo strój nie dowodzi bynajmniéj zamożności w Paryżu. Piękne ubranie jest tu koniecznością większą niż jadło. Sam nie mało znam takich kobiet, które żeby sprawić sutą na niedzielę suknię i świeży kapelusz, przez cały tydzień jedzą na obiad suchą bułkę ze sałatą; głodne są prawda przez całe sześć dni, ale skoro wystąpią siódmego, cudzoziemiec spotkawszy na przechadzce w lasku te męczennice estetyki czy kokieteryi, pomyśli niezawodnie, że to przynajmniéj hrabiny o krociowym dochodzie. W niedzielę też, w téj pięknéj toalecie i obiad się jada, tem smaczniéj, że się pościło cały tydzień. Jak zakochany Konrad życie swe na wieczory liczył, tak paryżanki liczą je na niedziele.

O kursach paryzkich niema co do powiedzenia: tym co je raz widzieli, zawsze prawie jednaki przedstawiają widok; nawet taż sama publiczność na nich bywa: jestto mieniący się a zawsze jeden obraz, któregojedyną zmianą przez czas na twarzach dokonane metamorfozy. Sztywne *sportsmeny*, podstarzałe *gentlemeny*, mniéj więcéj pomalowane amazonki i kurtyzanki, *jockeye i folbluty*, występują na pierwszym planie: zawsze ich znajdziesz w trybunach i stajniach odgrywających swe role jak aktorów znanéj sztuki— z tą różnicą, że tamci przy lampach malowaną twarzą wieczną młodość udają— a ci nieubłaganym promieniem słońca oświeceni, chcąc nie

chcąc wykazać muszą nowe karby, któremi Saturn ich lata sobie znaczy.

Aktorowie kursów ciż sami od świętéj pamięci. Ludzie dziwnie długo młode role grają we Francyi. Kobiety co jaśniały za Ludwika Filipa, dziś jeszcze znajdziesz z temi samemi do wdzięków pretensyami; mężczyźni co się za Restauracyi już ścigali, dziś z równym zapałem około kobiet i koni się kręcą; główną różnicę teraźniejszych od dawnych kursów stanowią wygrane. Stawka rośnie co rok.

Na ostatnim wyścigu, wygrana tak zwana *cesarska* wynosiła 10,000 fr., *miejska* 28 tysięcy *prix des tertres* 1500 fr., *prix du Trocadero* 2000 fr., *handicap* 4,850 fr., *prix du Lac* 1000 fr. Siedm koni się ścigało: w jednéj gonitwie wygrywa najpierwéj przybiegający i drugi.

Po nader świetnym *sezonie*, teatr włoski zamknął bramy benefisem Tamberlika. Sławny tenor, jak Alboni w swych świetnych czasach, bierze za każdy wieczór w którym występuje, 2000 fr. Tego roku ten ogromny wydatek opłacił się sowicie: kiedy śpiewał Tamberlick, sala zawsze była pełną, często naprzód rozrywano bilety.

Prócz zwykłych sztuk włoskiego repertoaru, grano trzy nowe dla Paryża opery: „*Il curioso accidente*“ Rossiniego, „*Il Crociato*“ Meyerbeera, i „*Mendicante*“ Bragi. Verdemu największa część reprezentacyj przypadła; sztuki jego przedstawiano 35 razy, Rossiniego 30, Belliniego 15, Donizettego 9, Cimarosy 8, Mozarta 7, Bragi 4, Meyerbeera 3, Mercadanta 3. Razem 114 reprezentacyj w ciągu siedmiu miesięcy.

Teraz znów dwie opery zajmują publiczność tutejszą. Teatr Liryczny przedstawia „*Fidelio*“ Beethovena a Opera Komiczna „*Rittę*“ pośmiertną operetkę Donizettego. *Fidelio* zyskuje powodzenie przez *szacunek* jak tu zowią: każdy musi go słyszeć — ale wychodzi nad wszelki wyraz znudzony. Przedstawiany już kilka razy przez niemieckie trupy w Paryżu, uczony ten utwór genialnego muzyka nie może jakoś trafić do ucha paryżanom. Brak życia i świetności tłómaczy to nieupodobanie. Utwór pod względem instrumentacyi wyborny, nie odpowiada wcale wymogom sceny: tak libretto jak partycya grzeszą monotonnością, która w końcu uśpić musi słuchacza najlepszéj woli.

Pani Paulina Viardot sama jedna stanowi powab i przynętę *Fidelia*. Przedziwna ta artystka sądziła, że tak jak stylem swoim potrafiła wskrzesić Glucka, tak wskrzesi Beethovena. Ale różnica pomiędzy nimi wielka. Gluck był zapomniany, lecz nie umarły: wprowadzić go do teatru było równie łatwo jak na gotowy piedestał postawić na powrót posąg zrzucony. Ale nawet natchniony głos i dramatyczna akcya Pauliny, nie ocucą z omdlenia geniuszu, ani nie przerwą nudów publiczności, która nie wie, czy sławny Maestro śpi, czy też sobie z niéj żartuje. Śpiewając *Fidelia* po *Orfeuszu*, pani Viardot łatwo może doznać losu owych namiętnych graczów, którzy na jedną kartę stawią i przegrywają, przez noc szczęśliwie uzbierany majątek.

Jedno-aktowa operetka znaleziona w papierach Donizettego po jego śmierci, jest niby pospiesznie napisany bilecik słodki, w którym obojętny czytelnik nie znajdzie nic prócz oklepanych frazesów. Ale łatwość téj partycyi ogromna: jestto jednym tchem wypowiedziana improwizacya, która nie uderza, ale głaszcze ucho— nie męczy ani tego co mówi, ani tego co słucha. Nie wiem, czy dlatego że łatwość włoskiéj muzyki już się uprzykrzyła, ale mnie ta melodya czyni wrażenie gadatliwéj staruszki, która z uśmieszkiem opowiada wnukom, jak to było za dobrych czasów.

W literaturze znowu przerwa i cisza zapewnie na długo, bo literaci wynoszą się już nad morza, łąki i gaje. Zapowiedziano trzy nowe dzienniki: Pan Cesena ma wydawać *le Nouvelliste*. Artur Ponroy tygodnik pod tytułem: *Nouvel Organe*. Pod napisem *Chorągwi katolickiéj* wychodzić ma dziennik trzeci. Jednym z jego redaktorów będzie ojciec Lacordaire; współpracownikiem kardynał Wiseman; prócz tych dwóch, ogłoszenie zapowiada abonentom, że kardynał Antonelli weźmie także udział w nowym dzienniku. Słychać tu także za rzecz pewną, że były redaktor *Universa*, p. Ludwik Veuillot, będzie wydawał w Rzymie dziennik we francuzkim języku.

Londyn w maju.

Ile w roku miesięcy, każdy nastręcza w Anglii jaką szczególną nowość, zajmującą najsilniéj umysły. Czerwiec zajmuje wystawami kwiatów i ogrodowin, wrzesień wystawami zbiorów żniwa i owoców, grudzień wystawami bydła; upłyniony kwiecień odznacza się szczególnie boksami Sayersa z amerykaninem Heenan, a teraźniejszy maj, jak od wielu lat tak i teraz słynął z wyścigów konnych w Epsom. *Epsom Races* taki rozgłos zyskały na całą Anglię, jak miały igrzyska Olimpijskie i istmijskie w Grecyi. Jako Panhelleni na swe igrzyska, podobnież Anglicy, mężczyzni i kobiety, młodzi i starzy, senatory i klarki zgromadzają się tłumami na gonitwy konno, gdziekolwiek się takowe odbywają, czy to w Newmarket, Doncaster, Manchester, Ascot lub w Epsom. Czem dni świąteczne dla arystokracyi i wojska, tem dni wyścigów konnych są dniami feryj dla ogółu ludu angielskiego i wszystkich bez wyjątku stanów.

Francuzkie wyścigi w Chantilly pod Paryżem, jakkolwiek były świetne tego roku, niczem są w porównaniu z wyścigami epsomskiemi. Podobne do tamtych odbywają się corocznie po wszystkich hrabstwach angielskich. A przecież Francya za dawnych wieków podobno równie, jeśli nie więcéj niż Anglia, słynęła z chowu pięknych i dzielnych koni. W najdawniejszem przymierzu o jakiem historya wspomina między Anglią i Francyą, odgrywają nie lada rolę konie, a przy nich zarazem i miłość. Hugo Capet niewiedząc w jaki sposób mógłby najpewniéj pozyskać dla siebie przychylność króla Athelstana, a brata modro-okiéj Edelswity, którą pragnął pojąć za żonę, posłał był mu w darze parę wyścigowych rumaków, z kosztownym rzędem, ładnemi uździennicami i złotemi wędzidłami. Król francuzki znał zapewne już wówczas upodobanie jakie ma naród angielski do koni, skoro posłał Athelstanowi takowy upominek, i wiedział, iż nim rozbroi niechęć brata Edelswity. I niezawiódł się téż w swych życzeniach.

Tu pozwólcie mi, że zboczę. Wszak i u nas nie nowiną były wiścigi konne, chociaż je jako wielką nowość na wzór angielskich zaprowadzamy. Znane one były u nas nawet wcześniéj, przed epoką Athelstana i Hugona Capeta. Któż nie wie, że Przemysław I założyciel Przemyśla, ustanowił był u nas gonitwy na koniach do *słupa*, które miano z jego rozrządzenia odbyć po śmierci jego? Któż nieprzypomni sobie, jak smutnego doznał losu półbajeczny Leszek V, gdy drugich jeźdźców przez wkopane w ziemię gwoździe przed metą zatrzymał, a sam tym podstępem pierwszy do niéj zdążył? Na tych w naszym kraju gonitwach nieszło wyścigającym się o srebrny puhar, o srebrną lub złotą nawet czarę, ani o wygranie jakiéj stawki lub zakładu w pieniądzach, jak to za naszych czasów się dzieje,— ale szło o zyskanie korony i o panowanie nad całym narodem. Leszek VI który wtenczas wykrył zdradę Leszka V, otrzymał po nim koronę.

Kara za zbrodnię, nagroda za cnotę podobała się wielce ludowi, który zdarzenie to długo przechował w swéj pamięci, i kroniki narodowe nieprzepomniały także zapisać go na swych kartach. Nieuszło to uwagi Bandtkiego, który w „Dziejach Królestwa Polskiego“ następny przypisek o niem dołącza: „Gonitwy konne o królestwo we wsi między parobkami, są zwyczajne w Luzacyi i na Szlązku. W dzień Zielonych Świątek ze świtem w parafii laskowskiéj (Łoskowice, 3 mile od Wrocławia) zaczyna się gonitwa. Kto na koniu swym stanie najpierwéj u mety (u jeziora Prochnik), ten jest królem służącéj młodzieży, kto na ostatku przybędzie, jest Rochwistem. Cała młodzież chodzi potem po wsi, wozi Rochwista w umajonéj biedzie na dwóch kołach, a gdzie kałuża, tam on włazi i tarza się w błocie. Gospodarze dają królowi z drużyną różne podarunki, a za te sprawia się uciecha w karczmie, gdzie Rochwist na karę gra rolę Arlekina.“

Teraz wracam do przerwanego wątku mego pisma, do wyścigów angielskich, a zarazem do ich historyi. Za średnich wieków, według świadectwa, poety Sir Bavys z Southampton, odbywały się wyścigi w Zielone Świątki, właśnie w ten sam dzień kiedy lud nasz szlązki z pod Wrocławia zwyczaj ma uganiać się konno do je-

ziora Prochnik. Jakoż, jako dawne gonitwy angielskie tak i teraz gonitwy epsomskie, zawsze przed tem świętem się odprawiają. Za owych czasów nieznano jeszcze dżokiejów! wyścigi były zabawą panów czyli rycerstwa (*knights*) a odległość do mety wytykana na trzy mile angielskie. Stający najpierwéj u mety zyskiwał stawkę 40 funtów „*rady golde*,“ co na teraźniejszą monetę znaczy 80 fst. Nie było zaś wówczas zwyczajem, jak teraz, na gonitwy wysyłać konie dwóroczniaki (*two year-odds*) mdłe i jak smyk cienkie wysmukłe źrebce, lecz jeźdźce występowali na rosłych dobrze zbudowanych dzielnych rumakach.

Po zdobyciu Anglii przez Normanów, wyścigi konne odbywały się na Smithfield. Epoka ta miała być bardzo wesołą, bo zdobywcy zwykli zawsze ludy podbite zajmować rozrywkami, by je od poważnych odciągnąć celów. Kronikarz ówczesny Fitzstephen opisując widowiska teatralne i wyprawianie różnych krotochwil i kuglarstw, wspomina między innemi także o wyścigach konnych za panowania Henryka II. „Podczas puszczenia się w bieg koni wyścigowych — pisze on — tudzież innych uznanych za dzielne i rącze, głośne powstają okrzyki; wszystkie wtenczas pośledniejsze konie usuwają się na bok, aby nie zawadzać w drodze. Trzech dżokejów, a czasami dwóch tylko, według rodzaju zakładu, wyjeżdza w pogotowiu do wyścigów. Każden z nich bywa wprawny do jazdy i umiejący tak zręcznie kierować koniem, żeby niedać się przeciwnikom swym wyprzedzić. Same też konie nie są między sobą bez dziarskiéj emulacyi: drżą na całem ciele, niecierpliwią się, przebierają nogami i w bezustannym są ruchu. W końcu, za danym znakiem ruszają — pędzą i gonią z wzrastającą coraz szybkością. Dżokeje zaś zagrzani tak wznoszącemi się okrzykami ludu jakoteż nadzieją zwycięstwa, lecą jak na przepaść, kłując konie ostrogami, wykręcając biczem i ćwicząc je, zachęcając oraz słowami i krzykiem.“ Z wszystkiego tego widać, iż na pierwotnych wyścigach było wiele gestykulacyi i przesady w akcyi, nakształt owego *houpe la!* na nowoczesnych końskich hecach. Śmieszny to i dziki zwyczaj, a przecież wszystkie prawie wyścigi na stałym lądzie w ten sposób są odbywane, a osobliwie, jeśli komu

zdarzyło się je widzieć na rzymskiem Corso. Dżokeje angielscy wstydzą się takich namiętnych gestykulacyj. Jeden z nich najsłynniejszy, a który przed kilku laty umarł, dosiadał konia na wyścigach z senatorską Wilberforsa postawą — a przecie wygrywał.

Następnie po niejakim czasie, wyścigi konne tak dla zabawy jak i dla zysku były nieco podupadły, a nastała epoka odznaczająca się szybkością jazdy. Królowie angielscy i możni lordowie lubowali się więcéj w rączości koni pociągowych, nie okazując najmniejszéj ochoty do nowoczesnego *turfu*. Król Jan utrzymywał w swych stajniach szybkich wierzchowców, i rad był z taką szybkością przejeżdżać się po swym kraju, jak carowie Aleksander i Mikołaj po swojem imperyum. Znali tę słabość króla dworzanie, i jeśli który potrzebował od niego jakiéj łaski, ażeby być pewnym pozyskania jéj, dawał mu w darze rumaka niedającego rość trawie pod kopytami.

Podobne upodobanie w rączych koniach miał także Edward III. I niedziw, król ten był arcyczynny, a w braku dróg wtenczas w Anglii i podróżowaniu w lektykach lub kolebkach jak wybornéj struktury pojazdy zwano — niepodobieństwem było pilne sprawy państwa załatwiać z pośpiechem. Król więc dbający o pośpiech, musiał siadać na koń. Płacił od 20 do 25 marków za cwałujących wierzchowców, co nie małą było zachętą do hodowania ich w stadninach krajowych. Pośledniejsze konie przynosiły wtenczas 13 fst. 6 s. 8 denarów, co i tak na teraźniejsze pieniądze oznacza wartość 250 fst. A zatem i za owych czasów dobry koń miał w Anglii dobrą cenę. Jakim zaś król Edward był lubownikiem koni, już z tego sądzić można, że kiedy mu król Nawarry w podarunku przysłał rumaka, król wręczył masztalerzowi co go przyprowadził 100 szylingów, a znaczyło to prawie tyle co teraz sto funtów szterlingów.

Późniéj rasa koni angielskich znacznie polepszoną została przez mieszanie jéj z rasami cudzoziemskiemi i właśnie to polepszenie chowu koni stało się najwięcéj powodem do ustanowienia gonitw konnych.

Posiadanie poprawnéj i szlachetnéj rasy koni, wyrodziło się z czasem w namiętność, kończącą się ruiną niejednéj wielkiéj fortuny. Ogromne sumy, za jakie za

panowania królowéj Elżbiety konie wyścigowe nabywano, nastręczały już wówczas przedmiot dla piór satyrycznych. Jerzy hr. Cumberland, pierwszy tego marnotrawstwa dał przykład, i miał dotąd licznych naśladowców. Majątek po majątku na stajnie i na tak zwany *Sport* sam tracił, i tak wielu się i po nim rujnowało.

Gonitwy publiczne miały pierwéj być znane w Szkocyi niż w Anglii; lecz wyścigi prywatne i zakłady na konie były już za panowania Elżbiety upowszechnione.

Za jéj następcy Jakuba I w Anglii a VI w Szkocyi, gdzie ten król już był się dobrze zapoznał ze sposobem odbywania publicznych gonitw i niezmiernie był w nich zamiłowany, chów koni wyścigowych znacznie się w Anglii poprawił. Rasa koni w stronach północnych wówczas była już dość sławną z dzielnych koni, a to przez krzyżowanie rasy szkockiéj z węgierską, a tych znowu rasa poprawioną została przez krzyżowanie jéj z hiszpańskiemi dżenetami, które po rozbiciu się sławnéj Armady hiszpańskiéj pod Galloway, były na brzeg wypłynęły. Ulepszenie rasy dało naturalnie popęd do próbowania biegu koni na gonitwach w Szkocyi, i ten zwyczaj wkrótce przeniósł się do Anglii, tak że ustanowiono pod protekcyą króla regularne gonitwy w Newmarket. Sam król na nich bywał, przedłużając swój pobyt często do późnéj pory, że nie mógł dojechać do zamku Royston, i musiał nieraz wśród bezdroży po wiejskich karczmach zatrzymywać się na nocleg. Za tego króla pomnożono kursa koni na gonitwach, a wygrywające konie były po imieniu przez poetów i w pieśniach ludu opiewane.

W skutek téj zachęty od króla, gonitwy niebawem pomnażały się po różnych miejscach, mianowicie: w Royston, York, Croydom, Sibblecotes i Brackley. Błonia pod Brackley słynące z gonitw konnych pamiętne są w historyi. Na nich odbywały się sławne turnieje za Ryszarda Lwie Serce. Za średnich wieków, podle wszystkich ludniejszych miast, na miejscach gdzie były błonia równe i wygodne, jak np. w Knavesmire pod Jorkiem, zwyczajem było wyprawiać turnieje. Ztąd dziejopisarze angielscy wnoszą, i domysł ich ma wiele prawdopodobieństwa za sobą, iż na miejscach gdzie dawniéj miewano turnieje, pozaprowadzano późniéj goni-

twy koni. I tak, gdzie niegdyś rycerstwo zjeżdżało się w pancerzach i z całym przepychem wojennym, aby w szrankach gonić na ostre i łamać z sobą oszczepy, otrzymując nieraz śmiertelne od przeciwników rany — tam teraz zbierają się tłumy spokojnego ludu, by ścigać w szrankach wzrokiem pęd wierzchowców, jak ten lub ów innych prześciga. Co za zmiana wieku i obyczajów!

W tem miejscu winienem nadmienić, że na gonitwach, jakże za czasów Jakuba I odbywano, czy to chodziło o wypróbowanie szybkości koni, czyli o zyskanie nagrody, zwyczajem było, że właściciele koni sami się na swych rumakach wyścigali. Tak się też działo na gonitwach w Brackley roku 1612. Pewien Henryk i Tomasz Throgmorton w dzień ś. Michała jeździli na siwych klaczach na wyścigi o najpotrzebniejszy z stajennych rekwizytów — o dziesięć kwarterów owsa.

Podczas przejażdżek króla Jakuba po kraju, szlachta niewiedząc, czemby go najprzyjemniéj bawić, wyprawiała dla niego gonitwy konne. Na jednym z wyścigów takowych w Croydom, które miejsce wtenczas tak z nich sławne było jak teraz Epsom, zdarzyło się, że p. Ramsay rodem szkot, wybatożył (*horsewhipped*) hr. Montgomery anglika. Wielki z téj przyczyny powstał rozruch, a że do zniewagi przymięszała się obraza narodowości, bezmała nieprzyszło do krwi przelewu.

I za Karola I hodowano starannie konie, nietylko w celu rozrywki ale i dla wojny. Za jego panowania zaprowadzono pewien system, jak i czem konie należy karmić, w jakim stanie utrzymywać stajnie, jak siły koni wzmacniać, i jak je ujeżdżać. Za naszych czasów, w których kawaleryi często przychodzi rozbijać czworoboki piechoty najeżone bagnetami, nie od rzeczy będzie wspomnieć, w jaki sposób zaprawiano wtedy konie do wojny, by się niestrachały i nie rzucały w bok dobiegłszy do linii nieprzyjacielskiéj. Ażeby oduczyć je od tych narowów, używano roku 1628 takowego środka. Masztalerz dozierający konia przeznaczonego do wojny, przychodzil doglądać go ubrany w zbroi, dawał mu obrok na bębnie, strzelał mu nad uszami z pistoletu, a po nakarmieniu wyjeżdżając na nim niby na polną musztrę, przypuszczał ataki na porozstawiane szeregami zbroje i kirysy, by rumak je rozbijał i tratował pod no-

gami. To przecież zdało się na coś, bo miało rzeczywisty cel. Ćwiczenie to z rozkazu rady wojennéj było wykonywane.

Kromwel jako z charakteru tak i z gustów swoich był prawdziwym *gentlemanem* swojego wieku, i pomimo wielorakich zatrudnień i purytanizmu, nieprzytłumiał bynajmniéj w sobie pociągu do rozrywek turfowych. Za protektoratu jego gonitwy konne odbywały się w Hyde-Parku, a jeśli znajdowali się tacy, co czoła na nie marszczyli jako na światową grzeszną zabawę, to przynajmniéj on nie był między nimi. Koniuszym jego stadniny był Dick Pace, i posiadał wyborną chowu swego klacz „Coffin Mare" słynącą na zawsze w rocznikach angielskiej murawy, czyli tak zwanego *turfu*. Za jego rządów widocznie wzmagało się upodobanie w gonitwach, ile że po restauracyi, gdy sir Edward Bisshe (Clarencieux) był zjechał na lustracyę do Oxfordshire (r. 1688) mało z przedniejszych mieszkańców przybyło na jego przyjęcie, z przyczyny — jak kroniki ówczesne podają — że większa część obywatelstwa była na wyścigach w Brackley.

Lecz i za restauracyi chów koni nie był zupełnie zaniedbany, i owszem rozpoczyna nową niejako dla niego epokę sławny *Dodsworth*, którego imie jako protoplasty w genelogicznéj księdze „*Stud Book*" angielskich stadnin figuruje, a którego Karol II sprowadził był z Arabii. Od jego czasu do przedniéj rasy angielskich koni przymieszała się krew arabska. Rodowód téj arabo-angielskiéj poprawnéj rasy znajduje się, według zwyczaju przejętego od Arabów, spisany w rzeczonéj księdze. *Stud Book* jest niejako herbarzem wszystkich koni szlachetnéj krwi *fullblod*, *halfblod* jakoteż innych z niemi spokrewnionych.

Za dawnych czasów wygrywający na gonitwach otrzymywali srebrny dzwonek; Karol II zmienił takowy na srebrną czarę lub puhar 100 fst. wartości. On także wzniósł w Newmarket osobną budowę *Stand-house* dla spraw wyścigowych, i tym sposobem ustalił na zawsze regularne odbywanie wyścigów w Newmarket.

Nagroda puharu sięga jednakże dawniejszych czasów. Wyścigano się o nią już roku 1610 w Chester, w dzień S. Jerzego, i zarazem o srebrny dzwonek. Szczególniej-

szych przy téj sposobności używano ceremonij, na jakie tylko fantazya i mieszczański gust owych czasów zdołały się zdobyć. Nagrody te dla wygrywających z wielką uroczystością wynoszono na plac gonitwy. Na przodzie orszaku szli olbrzymi strasznéj postaci, za nimi postępował sam Ś. Jerzy, potem *Sława z Merkurym* na rydwanie z obłoków; za rydwanem szły alegoryczne figury: *Pokój, Obfitość, Zazdrość i Miłość;* daléj banda trębaczy, rycerze i giermki. Każda z tych alegorycznych figur za przybyciem na plac miała mowę do burmistrza i aldermanów (ławników) miasta. Wszyscy jeżdzcy do wyścigów byli gentlemanie, a może i właściciele koni wyścigowych. Gonitwy te zakończyły się świetną ucztą, którą burmistrz Amery, bogaty kupiec żelaza, wyprawił był dla turfiarzy. Z tem wszystkiem, w skutek królewskiéj opieki i podwyższenia wartości nagród, gonitwy konne, zdaniem pisarzy angielskich, utracały w wieku siedemnastym wiele z pierwotnego swego charakteru jako zabawa narodowa. Dawniéj odbywały się jedynie dla rozrywki, rzadko dla zysku, a miano głównie wzgląd na ulepszenie chowu koni. Nierobiono z gonitw jeszcze profesyi, nie było ani podstępów, ani szalbierstw, nieznano wówczas klasy ludzi *blacklegami* zwanych. Najsurowsi nie upatrywali nic nagannego w wyścigach; poczytując je za niewinną zabawę jak łowy lub polowanie z chartami i sokołami; ubolewali tylko, gdy się do nich wciskało kosterstwo i karciarstwo. Najżarliwszy nawet z purytanów z wieku królowéj Elżbiety, poczciwy John Northbrooke niewidział w gonitwach nic złego, i chociaż jak najostrzej powstawał przeciw grze w kości i w karty, przeciw teatralnym kuglarzom, polecał przecie wyścigi jako pożyteczne zatrudnienie. Burton, znakomity autor dzieła: „*Anatomy of Melancholy*“ drukowanego 1660 r., pisze o gonitwach: iż są rozrywką wielkich ludzi, dobrą przez się, lubo wielu panów goniąc na wyścigach, odbiega cwałem swych fortun.

Król Jakób II mało miał czasu, a Wilhelm III mało ochoty do wyścigów. Jednakowoż ostatni chociaż holender, nie uczynił nic na przekor obyczajowi narodowemu, owszem przeznaczając znaczne wygrane na nagrody i założywszy szkoły do ujeżdżania koni, zyskał wiele popularności w kraju.

Epoka Jerzych odznaczyła się najbardziéj ubieganiem się za publicznemi zabawami, z zaniedbaniem spraw publicznych. Za panowania ich wkradł się zwyczaj zawieszania posiedzień parlamentowych w dzień wyścigów w Epsom; jak to i bieżącego roku się stało. Naczelnik gabinetu Palmerston i poprzednik jego Derby mieli w Epsom wyścigowe konie, i zapewne obaj ciekawi byli przyjrzeć się wyścigom ich o jedną i tę samą nagrodę zwaną „Derby“. I tak publiczny interes często ustępuje prywatnemu. Nikt jednakże z prawodawców przeszłego stulecia nie pilnował namiętniéj wyścigów, jak sławny Fox, i choć tryumfy odnosił w senacie, nikt nieszczęśliwszym od niego niebył w spekulacych turfowych. Trzy fortuny, jedną po drugiéj utracił w Newmarket; a pomimo tego widziano go w senacie z niewzruszonym umysłem przewodniczącego na obradach narodowych.

Złe zbyt obszernie wtedy górowało, że prawodawcy rozmiłowani w turfie ściągnęli na się chłostę satyryków. Jeden z nich Warton uszczypliwie zapytuje: Czyż tacy mają być naczelnikami narodu, co mniéj się znają na trybunie, jak na stawkach w Newmarket? Czy tacy co zamiast strzedz równowagi europejskiéj, pilnują dżokejskiéj wagi dla koni? Po tych i tym podobnych zapytaniach innych, do samych winowajców w tych się słowach odzywa:

Go on, brave youths, till in some future age,
Whips shall become the senatorial badge;
Till England see her thronging senators
Meet at Westminster in boots and spurs;
See the whole house, with mutual frenzy mad,
Her patriots all in leather breeches clad;
Of bets, not taxes, learnedly debate,
And guide with equal reins a steed or state *).

*) Toż samo dosłownie po polsku:

Daléj dzielna młodzieży! póki w przyszłych wiekach
Batóg nie stanie się senatorskiem godłem,
Póki Anglia nie ujrzy swoich Senatorów
Cisnących się do Westminsteru w butach i ostrogach,
Nie ujrzy całéj Izby wspólnym zarażonéj szałem
I patryotów swoich, przybranych w skórzane spodnie,
Rozprawiających uczenie o zakładach nie o podatkach,
I tym samym cuglem kierujących rumakiem i państwem.

Już w początkach epoki Jerzych zniesiono nagrody w srebrnych dzwonkach, czarach i puharach, a natomiast weszło w zwyczaj dawanie nagród pieniężnych, jakoto kiesę stu gwineów. W téj samej epoce zapadła uchwała parlamentu przeciw okrutnemu obchodzeniu się z końmi wyścigowemi. W tym czasie najstarszy syn króla, a późniéj rejent i król pod imieniem Jerzego IV, idąc za panującą wówczas modą, zapalił się był podobnież do rujnującego chowu koni wyścigowych, a bardziéj jeszcze do wysokich zakładów na gonitwach, na wielką pociechę wytrawniejszych znawców, umiejących korzystać z niedoświadczenia.

Jego „Baronet“ i „Escape“ były to dzielne konie, i wielkie stawki wygrywały. Zdarzyło się jednakże roku 1791 w Ascot, że „Escape“ największy wtenczas ulubieniec, nad spodziewanie całego klubu dżokejskiego niedopisał na wyścigu. *Jockey Club* niemogąc tak nadzwyczajnego zdarzenia naturalnym trybem sobie wytłumaczyć, ile że, zawczasu wie on zwykle, który koń ma i musi nawet wygrać (dziewięć razy na dwunastu jak słyszałem), posądził królewicza o podstęp i wymazał z listy swych członków. Zniewaga była wielka. Nastąpiły eksplanacye na uniewinnienie go. Starano się późniéj nawet o przypuszczenie znowu królewicza na listę, czem jednakże on wzgardził. Która strona była winna, dotąd nie wykryto. Czyn tylko tego pozostał pamiętnym w rocznikach dżokejstwa i królewskości.

Gonitwy za owego czasu odbywały się z wielką okazałością i przepychem. Kareta po karecie, a większa część sześciokonnych, zajeżdżały przed tak zwany *stand*, z panami, paniami i bogato ubraną liberyą. Teraźniejsze nawet królewskie odwiedziny w Ascot, dają słabe tylko wyobrażenie, w porównaniu ze świetnością z jaką się gonitwy wtenczas odbywały. Teraz ledwie kto pamięta imiona tych, na których w owe czasy zwracały się wszystkich oczy. W podobnym poczcie odznaczały się familie: Fitzwilliam, Harewood, Portland, Cleveland, Grafton i Mellish. Potomstwo ich zubożało, gdyż wielkie ich fortuny rozbiły się na wystawności i gonitwach, lub przeszły do masztalerzy i trenerów. A gdyby który z ich potomstwa posiadał nawet „Childersa,“ „Eclipsa“ i „Highflyera“, niemógłby przecie z pewnością rachować

czyby się mu udało choć w części podłatać uszczuploną ojcowiznę.

Gonitwy w Epsom datują swój początek od dwóchset lat, czyli od czasu, kiedy król Jakub przebywał w pałacu Nonsuch. Lecz wówczas tylko kiedy niekiedy je odbywano. Od roku 1730 dopiero poczęto je odprawiać co rok regularnie, a teraz odbywają się dwa razy na rok. Dawniejszemi czasy bywały w Epsom stawki „*Ladies plates*“, i damy się o nie ubiegały. Nie było wtedy zbytecznego natłoku pospólstwa i być go niemogło: podróż bowiem przed stu laty była uciążliwa i powolna; potrzeba było kilka godzin, żeby z Londynu przybyć do Epsom. Dziś przy kolejach żelaznych to się zmieniło, i nieprzebrane tam kupią się tłumy ludu. Na jednego człowieka jak dawniéj bywało, jest teraz z półtysiąca ludzi różnego stanu. Dla tego też zmiany zaszły w ilości samych stawek.

Roku 1780, kiedy po pierwszy raz ścigano się o „*Derby*“ niebyło więcéj jak 36 subskrybentów po 50 gwineów; za dzisiejszych zaś czasów bywa ich do 200 po 50 fst. O ile to różna takowa wygrana od girlandy z sosnowych gałązek, jaka była w nagrodę dawana zwycięzcom na igrzyskach isthmijskich, lub od wieńca z pietruszki, jakim ich wieńczono na igrzyskach olympijskich! Jak ogromny przedział między nagrodami pierwotnych wieków a wieku naszego, i jaka różnica ich wewnętrznéj wartości!

Nagroda *Derby* ustanowioną została w Epsom 80 lat temu przez hr. Derby, który wielkim był miłośnikiem gonitw konnych, i jego też dotąd nosi nazwę; podobnież druga *Oaks*, nazwana tak od siedziby w któréj hrabia mieszkał. O pierwszą odbywa się bieg jednego dnia, o drugą nazajutrz. Pierwsza jest najbogatsza, na wygranie jéj przeto najdzielniejsze konie wyprowadzają.

O nią właśnie we środę przed Zielonemi Swiątkami były wyścigi. Biegało trzydzieści koni. Koń tą razą szczęśliwy co najpierwszy dobiegł do mety, był „Thormanby“; dobiegł jéj na długość $1^1/_2$ konia przed „Wizardem.“ Po tych dwóch najbliżéj biegł „Horror“ trzeci; „Dangu“ czwarty. Pierwszego właścicielem był p. Merry, siodlarz; drugiego p. Nichols; trzeciego kapitan Christy; czwartego hr. Lagrange. Te cztery numera były naj-

celniejsze, jako zostające w niejakimś związku z wygraną. Po nich pierwszy biegł „Mainstone“, koń lorda Palmerstona; a dwunasty po nim „Cape Flyaway“ hr. Derby. Obaj lordowie byli obecni swéj porażce. Inne tegoż zawodu konie były: „Umpire“ „Sir William“, „Buccaneer,“ „Resters“; „Nutbourne“ okulawiał na przednią nogę wśród biegu a „Loifer“ i „Wallace“, ostatnie dobiegły mety. Wyliczam umyślnie różne te imiona, aby dać lubownikom naszych „muraw“ (turfu) poznać, jakie w téj chwili są znakomitości stadnin angielskich.

Od opisu zabawy przechodzę teraz do zysków z wygranéj, najważniejszego w tym razie rezultatu. P. Merry, właściciel wygrywającego konia „Thornamby“, po odtrąceniu summy dla drugiego konia „Wizard“, dla sędziego i innych wydatków, zyskał 6,050 fst. — Wartość stawki zakłady tudzież jak mówią, przyniosły mu przeszło 70,000 fst. Piękny to obrok na wypas konia.

Najgorzéj ze wszystkich wyszedł „Umpire“ koń amerykański, który umyślnie był sprowadzony, aby pobił na tym wyścigu wszystkie konie angielskie. Właściciel jego p. Broek, z przechwalaniem się właściwem Amerykanom brał na siebie przed gonitwą jakąbądź część z 10.000 fst., w nadziei że „Umpire“ wygra. Wszyscy więc amerykanie szli na niego w zakłady, a pośród nich był także ów głośny boksarz Heenan, na 1,100 fst. Lecz „Umpire“ niedopisał na wielki zawód amerykanów, którzy rachowali z pewnością, iż prócz honorowego *pasa* na boksach, o który się Heenan kułakował z Sayersem, zdobędą dla Ameryki wieniec niebieski na angielskim turfie. Lecz podwójnie ta nadzieja ich omyliła. Prawo do *pasa* zostało wątpliwem, potyczka bowiem na kułaki była przerwaną, a szermierz Heenan po długich korowodach, w końcu pogodził się z Sayersem. Ten zaś tak ochłonął z kułakostwa, że został człowiekiem pokoju, i jak pogłoska chodzi, miał się zaciągnąć do zastępu ochotników strzeleckich, by w razie obcego na Anglię najazdu mógł jeszcze raz użyć swych bitnych pięści na obronę kraju.

Opisawszy wyścig o „Derby“, nie wiele mam do powiedzenia o gonitwie dla zyskania „Oaks“ która się następnego dnia, we czwartek odbyła. Koń „Butterfly“

wygrał stawkę *Oaks*, dobiegłszy przed innemi mety (stand) na pół szyi. Tak ściśle ważą się i obrachowują losy wygranéj na wyścigach.

Na tem kończę majowy rys obyczajów angielskich. Do skreślenia go wydatniéj zasięgnąłem nieco z dawnéj historyi, na okazanie, że obyczaje społeczne równie jak charakter narodowy bywają wyrobem wieków. Inaczéj, pozbawione żywotnych soków i tętna, są znikomemi.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Wydawnictwo Bibl. Polskiéj Turowskiego skończyło *Herby Rycerstwa* Paprockiego w 27 zeszytach in 4o. Do wydania tego dodało wielce starannie wypracowany index przez Wilhelma Gąsiorowskiego, toż wiadomość o życiu i pismach Bartłomieja Paprockiego najzupełniejszą a najdokładniejszą ze znanych dotąd, napisaną przez biegłego bibliografa Żegotę Paulego. Tym sposobem Herbarz ten w nowym tem wydaniu zyskuje na wartości wewnętrznéj i staje się ozdobą Biblioteki. Obfity ten pisarz wydał 22 książek w ojczystym, 17 w czeskim a jednę w łacińskim języku; które prawie wszystkie jako pochodzące z 16go i z początku 17 wieku należą do rzadkości bibliograficznych. — W temże wydawnictwie wyszedł w pięciu zeszytach przedruk *Z kroniki Sarmacyi Europejskiéj* Alexandra Gwagnina i zawiera *Opisanie Polski*; w. ks. litewskiego, ziemi ruskiéj, pruskiéj, inflanckiéj, żmudzkiéj. —, W dwóch zeszytach wydano: *Życie Jana Zamojskiego* kanclerza i hetmana przez ks. Bohomolca.

Z drukarni Uniwersyteckiéj wyszło dziełko: *Wody Lekarskie* okręgu rządowego krakowskiego. Stan zdrojowiska w Krynicy 1859 skreślił Dr. M. Zieleniewski lekarz rządowy przy zdrojach w Krynicy.

W drukarni Wywiałkowskiego wyszedł: *Dyariusz* o fundacyi kościoła i konwentu pod tytułem Ojca Świętego Norberta dla wiadomości potomnych wieków wynotowany. — Jest to wydanie z dawnego rękopisu opowiadającego założeniu kościoła i klasztoru ś. Norberta w r. 1636. — Wydanie téj książeczki zaleca się starannością i pięknością.

W drukarni Czasu wyszło: *Opisanie* niektórych przedmiotów znajdujących się na 3ciéj rolniczo-gospodarskiéj wystawie c. k. Tow. Rol. Gosp. Krakowskiego. — Jest to traktat o ziemniakach, gdzie można znaleść jakie są najlepsze gatunki, jakie cechy, własności, oraz z jakich miejsc można

dostawać najlepsze ziemniaki. Następnie jaki grunt przez częste sadzenie ziemniaków wysila się a jaki coraz lepszym się staje. Jak można późne ziemniaki zamienić na spieszne? — Autorem tego dziełka jest p. August Hamilton.

Nakładem i czcionkami Karola Budweisera w Krakowie wyszła spora książka nabożna pod tytułem: *„Ołtarz złoty czyli zbiór nabożeństwa dla chrześcian katolików z przydaniem pieśni nabożnych z ksiąg przez kościół święty potwierdzonych dla użytku wiernych ułożony.“* Wydanie drugie poprawione i powiększone. Za pozwoleniem cenzury do ksiąg treści religijnéj. Na czele dany jest obrazek rytowany przedstawiający Matkę Boską Częstochowską. Dzieło to rozpoczyna się kalendarzem kościelnym, tablicą świąt ruchomych od r. 1861 do 1890 wykazującą kiedy które w każdym z téj kolei lat przypadnie; następnie kalendarz polski i ruski część tę zakończa.

Początek modlitew poprzedzony zbiorem katolickiego nabożeństwa — potem radami do życia pobożnego. Najprzód idzie Nabożeństwo poranne od str. 33 do 55; — potem Nabożeństwo mszalne rozpoczynające się mszą na Boże Narodzenie do str. 75; — w dalszym ciągu Nabożeństwo nieszporne do str. 122; — i Nabożeństwo wieczorne do str. 132. Po téj części następuje układ bardzo dogodny bo nabożeństwo tygodniowe na każdy dzień tygodnia z przydaniem *Godzinek, piesni i litanij* przy każdym dniu. Dalsza część jest o śś. Sakramentach, przygotowania i modlitwy — poczem Nabożeństwo na wszelki czas. Idzie póżniéj Dział że tak powiemy szczególny bo najprzód Modlitwy do *śś. Patronów i patronek polskich*, potem *Modlitwy do niektórych patronów i patronek* a wreszcie *Dopełnienie modlitw w pojedyńczych potrzebach i położeniach;* zakończa *Droga Krzyża Jezusowego czyli Stacye Jerozolimskie Gorzkie żale i zbiór pieśni nabożnych.*

Dzieło całe obejmuje str. 616 w 8ce zwyczajnéj drukowane na ładnym papierze, czcionkami świeżymi ładnymi. Tanie w stosunku do objętości i ładności wysłowienia. Zaleca się przed wielu innymi dobrym rozkładem głównych części, a dobrem połączeniem pojedyńczych modlitew w pewnéj intencyi. Pieśni hymnów śpiewów więcéj obejmuje nad inne przy każdym rodzaju nabożeństwa, mianowicie tych, które najczęściéj i najpowszechniéj używane, a których czasem napróżno szukać po innych modlitewnikach.

Lwów. Józef Supiński wydał dzieło pod tytułem: *Myśl fizyologii powszechnéj.* Autor tłomacząc układ świata zmysłowego, porządek towarzyski i rozwój dziejowy ludzkości, opiera je na działaniu dwóch sił kardynalnych przyrody mianowicie siły *rzutu*, odpychającéj dążącéj do ciągłego tworzenia cząstek jednostek, indywiduów, i siły *przyciągania* owładającéj i podgarniającej pod siebie po pewnym okresie czasu siłę poprzedniczą, sprawującéj rozkład i przeobrażenie się wszystkich cząstek, jednostek; tworzącéj więc i utrzymującej całość wszechświata. W dwóch ostatnich rozdziałach przebiega główniejsze epoki dziejowe i wykazuje w nich skutki działania spomnionych dwóch sił kardynalnych. Autor uważa się za pierwszego twórcę przemysłu zastósowania teorii owych dwóch sił do układa-

du społeczeńskiego, i zastrzega sobie autorską onego własność. Książka obejmuje stronnic 360 w 8ce. Znaczną jéj część, pięćdziesiąt ostatnich stronnic zajmują dopiski, zawierające wiele ciekawych różnych wiadomości, i świadczące zarazem o erudycyi autora. Wydawca p. Kajetan Jabłoński, opuścił część dopisków, a pozostałe skrócił z przyzwoleniem autora, jak o tem w dołączonéj nocie oznajmia, dla zniżenia ceny książki, lecz zarazem z uszczerbkiem dla czytelników P. Supiński ogłasza zarazem iż ma na ukończeniu rękopis pod tytułem: *Szkoła polska gospodarstwa społecznego.* Będzie to ekonomia polityczna oparta na zasadach wyłożonych w mniejszem dziele z wykładem zastosowanym do natury społeczności naszéj.

— Włodzimierz hr. Dzieduszycki posiadający znakomity gabinet ornitologiczny, samych ptaków krajowych rozpoczyna u Pillera druk swego własnego dzieła, obejmującego *opis ptaków krajowych.* Najprzód zajęto się odbiciem dwunastu tablic chromolitografowanych, przedstawiających szczególniejsze rodzaje i okazy ptaków krajowych znajdujących się w gabinecie ornitologicznym autora. Całe dzieło w wydaniu ozdobnem, wyjdzie in 4to w formacie zastósowanym do wielkości spomnionych tablic, które do niego dołączone będą.

— P. Nowicki profesor przy tutejszem gimnazyum drukuje w drukarni stauropigialnéj obszerne dzieło entymologiczne zawierające w kilkunastu arkuszach druku opis owadów krajowych. W ich liczbie znajduje się siedm rodzajów wynalezionych pierwotnie przez autora. Szkoda że p. Nowicki napisał dzieło swe po łacinie, i w tym języku one wydaje.

— W księgarni Wilda wyszedł Szkic biograficzny: *Stanisław Staszic* napisany przez Władysława Zawadzkiego. Oprócz szczegółów samego żywota zebrał autor jeszcze dokładny spis dzieł wydanych przez Staszica, do czego dołączył opis treści niektórych. Dowiadujemy się z téj monografii że Staszic wydał 18 dzieł różnéj wielkości; Dzieła zaś jego wyszły w Warszawie w 9ciu tomach zebrane — w wydaniu tem był poemat oryginalny *Ród ludzki* w trzech tomach in 4o wydanie ozdobne rycinami — poemat ten małéj wartości, lecz że rozwijał doktryny filozoficzne z 18 wieku wywołał prześladowanie W. Ks. Konstantego, który kazał poemat skonfiskować i przez całą zimę palił nim na kominku w Belwederze. — Niepotrzebna złość, bo i bez tego niktby téj niesmacznéj pisaniny nie czytał.

Praga. Uczony J. J. Hanusz znany z kilku dzieł, a mianowicie z ogłoszonéj r. 1842 we Lwowie Mitologii słowiańskiéj (*Wissenschaft des slawischen Mythus*) wydał teraz w języku czeskim: Mitologiczny kalendarz słowiański czyli Zabytki pogańsko-świątecznych obrzędów u Słowian (*Bajeslovny Kalendarz slovansky, czili pozustatky pohanskosvateczny obrzaduv slovanskych. V Praze* 1960 w 8ce str. VIII. 264 i tabl.). W dziełku tem krytycznie opracowanem starał się autor przez troskliwe zestawienie pojedynczych obrzędów ludowych przechowanych dotąd u różnych szczepów słowiańskich i przez porównanie takowych z podobnemi zabytkami innych narodów, objaśnić prawdziwe ich znaczenie oraz wykazać, co z nich pogań-

skich sięga czasów, a co za wpływem chrześciaństwa dodane zostało. Praca p. Hanusza odznaczająca się również doborem i obfitością materyjałów, uważana być może za pierwszy węgielny kamień do systematycznéj i umiejętnéj budowy mitologii słowiańskiéj, na jakiéj nam dotad zbywa; badaczy zaś naszych zajmie pod niejednym względem, wyświecając początki mgliste niektórych uroczystości ludu naszego, jakiemi są: kolendy, smigust, haiłki, sobótki, kupało i t. p.

Warszawa. Zeszyt majowy Biblioteki Warszawskiéj zamieścił następujące artykuły:

Jan Huniad wojewoda, napisał Karol Sosnowski.

Burgrafowie dramat w trzech częściach Wiktora Hugo. Tłumaczył Kazimierz Kaszewski.

Jerzy Niemierzyc podkomorzy kijowski, starosta owrucki i krzemieniecki. Przyczynek do historyi panowania Jana Kazimierza przez Ł. Łukaszewicza.

Kobieta. Studyum historyczno-obyczajowe II. Wieści historyczne, p Zygmunta Kaczkowskiego. — O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskiem, przez Władysława Taczanowskiego. — Legendy i pieśni ludu polskiego nowo odkryte. Podał do druku Wacław Aleksander Maciejowski. Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Piotr Medyceusz, opera Księcia Poniatowskiego. — Pokusa pięcio-aktowy dramat Feuillet'a — Gladyatory, Nisarda. Sprawozdanie z dorocznego posiedzenia Akademii Nauk. Kurs literatury Filareta Chasles i Kurs ekonomii politycznéj pana Baudrillat. — Wiadomości literackie. — Kronika literacka. Biblioteka polska J. K. Turowskiego przez Aleksandra Adamowicza. Słówko o mennicy Łobżonickiéj przez J. Łukaszewicza. Poemata mniejsze i strofy ulotne Jana Chęcińskiego. Warszawa 1860. — Ziarna i plewy Pisma oryginalne i tłomaczone przez Władysława Sabowskiego. Warszawa 1860. — Tebe czyli zburzenie Auto-Dubby, powieść kaukazka przez W. Dawida. Warszawa 1860. — Lazerica ustęp z narodowych pieśni serbskich, przekład Romana Zmorskiego. Warszawa 1860. — Przez Kazimierza Kaszewskiego. Kilka słów z powodu zdania pana Szajnochy o dwóch groszach łanowych, i opisu Zjazdu Koszyckiego, przez tegoż. Przez F. Z. Pan Starosta Zakrzewski Wydał Michał Grabowski Kijów 1860. Zabobon czyli Krakowiacy i Górale Zabawka dramatyczna ze śpiewkami w 3 aktach, p. Jana Nepomucena Kamińskiego, Warszawa 1859. Stary Biuralista, przez Antoniego Nowosielskiego Kijów 1860. Dawne obyczaje i zwyczaje szlachty, i ludu wiejskiego w Polsce i w ościennych prowincyach. Warszawa 1860.

Rozmaitości Rzadkie druki dzieł polskich. List Zofii księżny Brunszwickiéj do Andrzeja Opalińskiego, późniéj marszałka w koronnego. Wyjątek z listu Henryka Kałussowskiego. — Wiadomości z Nauk. Robert Brown przez X. J. W. Charna p. J. B. Korespondencya. Odezwa do miłujących mowę ojczystą, przez Stanisława Mikuckiego.

Z wiadomości literackich podajemy co następuje:

— Druk tomu 3 „Encyklopedyi powszechnéj" w tych dniach się kończy i bez przerwy rozpocznie się tom 4. W nim mamy już koniec litery *B* i początek litery *C*. O ile się zdaje, że sześć tomów zajmą litery A, *B*, *C* i *D*, za to *E*, *F*, *G*, *H*, złożą tom jeden, jak *J* i *I*, *L* i *Ł*; na dalszych

literach, jako *O*, *T*, *U*, *V*, *X*, *Y*, *Z*, *Ź*, znajdą się oszczędności, które wróżą, że w XX tomach cała ta wielką publikacya zamkniętą zostanie. Obecnie drukuje się *Bo* i jest blizkie końca. Wielu spółpracowników nadesłało już artykuły do litery *C*.

— „Tygodnik illustrowany,“ który tak przychylnego doznał przyjęcia, że liczy z górą 3 500 prenumeratorów, coraz się więcéj rozwija i udoskonala. Z przygotowanych materyałów wyższéj wartości, możemy te wspomnieć: „Obrazki Karpat,“ w których nietylko mamy piękniejsze strony téj uroczéj krainy, ale i lud góralski, pasterzy, na miejscu fotografowanych. Szereg życiorysów znamienitych mężów polskich, zajmie wszystkich uwagę. Zabytki starożytności krajowych, jak zbroje dawne, kostiumy, znajdą pomieszczenie: słowem, równie redakcya, jak wydawca, położyli usilne starania, ażeby pismu temu nietylko nadać powab popularny, ale rzeczywistą wartością zrobić Tygodnik illustrowany księgą, która będzie ozdobą każdéj biblioteki prywatnéj.

Poznań. Doktór Antoni Mieczyński napisał obszerną rozprawę o życiu Sebastyana Klonowicza. Składa się z trzech części, z których pierwsza obejmuje życiorys, druga pogląd na pisma Klonowicza, trzecia wiadomości bibliograficzne. Są tam w niéj nieznane dotąd szczegóły. Dowiadujemy się z niéj, że Klonowicz w 9 roku życia był na Węgrach, a w 19 w czeskim Kromołowie; że następnie udał się do Krakowa, zkąd przeniósł się do Lwowa, gdzie przez cztery lata przebywał; od r. 1580 udał się do Lublina i tam aż do śmierci pozostał. Około r. 1586 został rajcą lubelskim, a przed r. 1600 burmistrzem; obok zaś tego był wójtem psarskim, Psary należały do księży Benedyktynów: ztąd pochodzi stosunek jego przyjacielski do Benedyktynów Sieciechowskich, a mianowicie do słynnego ich opata, potem biskupa kijowskiego, księdza Wereszczyńskiego, którego pisma Klonowicz tłumaczył. Téj zażyłości z zakonnikami zawdzięczamy Flisa. Co niezmiernie ważną jest rzeczą w badaniach tych, to dowody Dra Mieczyńskiego, że 42 zwrotek w tym poemacie jest podrobionych. Dobrze byłoby, żeby szanowny autor przyłożył rękę do wydania krytycznego wszystkich pism Klonowicza, jak już mamy Miaskowskiego. Przyrzekano nam pisma Jana Kochanowskiego w starannéj edycyi, ale na próżno dotąd oczekujemy spełnienia obietnicy.

— Wdowa po Ludwiku Osińskim ma zamiar, przy pomocy jednego z miłośników piśmiennictwa krajowego, wydać zbiór całkowity wszystkich prac jego. Oddawna należało to uczynić dla uczczenia pamięci zasłużonego profesora, którego imię długo miało wielki rozgłos w kraju. Czas, by położyć także chociażby najskromniejszy kamień grobowy z prostym napisem na mogile ziemnéj, któréj ślad już znika na cmentarzu powązkowskim.

— „Rozrywek dla młodocianego wieku,“ S. z Ż. Pruszakowéj, skończył się tom drugi, czyli sześć poszytów. Oprócz wielu zajmujących artykułów tak treścią, jak artystycznem obrobieniem, zwracamy uwagę czytelników naszych na dwa obszerne życiorysy pióra redaktorki: Józefa Paszkowskiego, półkownika b. wojsk polskich, i ks. Karola Antoniewicza, sławnego kaznodziei i pisarza.

— Wydawca Album wileńskiego, p. Kazimierz Wilczyński przygotowywa nową publikacyą: „Ołtarzyk ostrobramski“ ułożony przez jednego z kapłanów, znanego powszechnie ze swéj pobożności i wymowy kaznodziejskiéj; zawierać będzie: 1) Historyą Ostréj bramy J. I. Kraszewskiego 2) Nabożeństwo szczególne do N. P. Ostrobramskiéj, zebrane z dawnych ksiąg, i nabożeństwa przygodne i całoroczne. Cała książka składać się będzie z tysiąca kilkuset stronnic: zdobić ją będą 24 obrazki, rytowane na stali przez celniejszych mistrzów w Paryżu, podług starożytnych obrazów, znajdujących się w dawnych kościołach polskich.

— Antoni Wieniarski, znany powieściopisarz, napisał komedyą „Chłopi i koloniści,“ która ma być przedstawioną na Teatrze Rozmaitości.

— Aleksander Tyszyński osiadłszy w ustroni wiejskiéj, w gubernii wileńskiéj we wsi Miassocie, i objąwszy gospodarstwo, długi czas mało co dawał wiedzieć o sobie. Teraz dowiadujemy się że ciągle pracował w téj zaciszy i przygotowywał rękopism do druku p. n.: „Książka o biegu dziejów czyli Logika filozofii praktycznéj.“ Treść tego dzieła sam podaje w liście do K. Wł. W.

„Jestto przebieżenie w zarysie zewnętrznych i wewnętrznych dziejów powszechnych od początku do czasów naszych, dodanie wniosku o przyszłych i wreszcie wyprowadzenie ztąd reguły dziennéj dla każdego. Wszyscy chcą filozofii praktycznéj, ale filozofia praktyczna nie da się wyprowadzić z żadnéj z tych logik, jakie są dotąd: jeżeli filozofia nasza krajowa stać się ma z gruntu nową, powinna wyjść z logiki z gruntu nowéj. Filozofia dziś wprawdzie, jakto mówią, wszędzie zbankrutowała (widzę to i w niemieckiéj, któréj pismo, w poznawaniu pism ludzkich, zajęły mnie nad wszystko, i w biegu któréj staram się być zawsze); nie idzie jednak za tem, iżby i żyć przestała: może to być skutkiem przyczyny takiéj, iż za żywy jest na te lata rozkwit innych pierwiastków ludzkich; może być skutkiem winy nie filozofii ale filozofów i t. p.; a jednak jestto pewna, że literatura żadnego kraju nie może się nazwać rzetelnie bogatą, kraj rzetelnie znaczącym, jeżeli nie odznaczy ich filozofia, czy to dlatego, że stan téj gałęzi wpływa na stan zastosowań t. j. uprawy innych gałęzi w tym kraju, czy też dlatego, że zjawienie się téj gałęzi, jest znakiem dojścia krajowego myślenia do kwiatu myślenia.“

— Stanisław Bratkowski, znany autor „Teoryi pisania listów,“ wydanych w r. 1829 w Warszawie, ogłosił teraz prenumeratę w Paryżu na nowe wydanie poprawne i powiększone p. n.: „Rzecz o pisaniu listów dla użytku młodych Polek i szkół żeńskich“. „Wzory (pisze w prospekcie były) dostarczane w dawniejszych czasach przez ś.p. Klementynę z Tańskich Hoffmanową: dosyć wskazać to źródło, aby zapewnić o właściwości wyboru. Są także listy pisane przez same Polki. Do wzorów są dołączone niektóre listy wielkich pisarzy naszych, a mianowicie Krasickiego Na końcu kilka listów francuzkich w tłumaczeniu, dla obznajomienia i porównania.“

— W Wilnie główny redaktor Kuryera Wileńskiego, któreto pismo coraz więcéj się rozwija i nabiera przeważnego znaczenia w naszéj prassie peryodycznéj, założył drukarnią zasobną, odpowie-

dnią dzisiejszym potrzebom i podejmuje nakłady. Z dzieł wyszłych z druku, przytaczamy: 1) Skarbiec dyplomatów papiezkich, cesarskich, królewskich, książęcych, uchwał narodowych, postanowień różnych władz i urzędów, posługujących do krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy, Rusi Litewskiéj i ościennych im krajów, zebrał i w treści opisał Ignący Daniłowicz, tom I. Z pozgonnych rękopismów, znajdujących się w bibliotece Muzeum wileńskiego, wydał Jan Sidorowicz. 2) O Tryptyku z wystawy archeologicznéj krakowskiéj i kilka z tego powodu uwag nad architekturą i rzeźbą gotyckiego stylu, napisał Józef Kremer. 3) Chatka ojca Toma czyli Życie Murzynów w stanach niewolniczych Ameryki Północnéj, romans pani Biczer Stow (Beecher Stowe). 4) Wyjście Izraelitów, powieść z angielskiego 5) Walentyna, dramat w pięciu aktach Freitaga, przełożył D. C. Chodźko.

— Zakład typograficzny Józefata Ohryzki w Petersburgu ciągle czynny, odznacza się równie ozdobnemi jak starannemi wydaniami. Oprócz pomnikowego przedruku Voluminów Legum, których już otrzymaliśmy cztery tomy, wyszły z téj drukarni: 1) Zasady ekonomii politycznéj z niektóremi zastosowaniami do ekonomii społecznéj, z angielskiego John Stuart Mill'a. Tłomaczyli R. P. i B., nakład jednego z tłumaczy. 2) Dzieje żywota i utworów Goethego, oraz zarysy wieku jego i spółczesnych mu mężów znakomitych, podług ogłoszonych i nieogłoszonych drukiem źródeł. Dzieło C. H. Lewesa, z angielskiego przełożył i własnemi uwagami w tekscie samym i dopiskach poczynionemi powiększył A. Nowosielski, 2 tomy. 3) Uwagi o nadużyciu spirytusowych napojów. 4) Snoby, utwór humorystyczny Thackeray'a, tłumaczenie z angielskiego. 5) Żywoty biskupów wileńskich.

— Drukarnia J. Zawadzkiego w Wilnie wkrótce zacznie drukować „Silva rerum,“ powieść staropolską K. Wł. Wójcickiego w 2 tomach. Małe z niéj wyjątki przed kilku laty ogłosił Dziennik Warszawski. Osnowana na podaniach krajowych, obejmuje okres czasów, głównie ostatnich czasów rzeczypospolitéj do r. 1830.

— Dzieło Eustachego Marylskiego, „Pomniki Polaków na cmentarzach zagranicznych,“ już wyszło z pod prasy drukarskiéj. Obejmuje spis wszystkich rodaków, spoczywających na cmentarzu katolickim drezdeńskim, a zamyka je pomnik grobowy księcia Józefa Poniatowskiego nad Elsterą. Format zastosowany do „Cmentarza Powązkowskiego“ K. Wł. Wójcickiego, jako niejako dalszy ciąg jego. Zacny nasz autor i ziemianin, pragnąc zebrać wszystkie pomniki rodaków rozsypane po obcych ziemiach, nie ustaje w poszukiwaniach znaczne potemu zebrał zasoby. Zgłosił się w tym celu do znamienitego rzeźbiarza Henryka Dmochowskiego, zamieszkałego Washingtonie w Ameryce, który wkrótce wraca do kraju Z listu tego artysty, datowanego 28 marca r. b. z Washington'u, przywiedziem tu zajmujący ustęp: „W połowie przyszłego miesiąca jadę na południe do miasta Savannach. To miasto wystawiło piękny i okazały pomnik Kazimierzowi Pułaskiemu, który zginął pod jego murami w r. 1779. Postaram się o dokładny cieniorys (fotograf) tegoż pomnika, a opisanie sam zrobię. Innych Polą-

ków w Ameryce nie wiem nagrobków; po większéj części nie bogaci rodacy nasi tutaj, nie mogą się zdobyć na wydatek podobny i skromnie w cieniu leżą. Jest w West-Point pomnik wystawiony dla generała Kościuszki przez uczniów tamecznéj szkoły wojskowéj, któréj on był pierwszym założycielem, na wzór dawnéj szkoły kadetów u nas. We Francyi w mieście Tours wzniosłem pomnik przyjacielowi memu W. Pietkiewiczowi, na który rysunek miałem od ś. p. Dawida d'Angers. Kolosalny biust Kazimierza Pułaskiego, mojéj roboty, będzie stał wkrótce w Kapitolu."

— Traiczny wypadek, opisany przez Łukasza Górnickiego, sprawy księżnéj Ostrogskiéj, służący za przedmiot do dramatów J. I. Kraszewskiemu i Szujskiemu, upowszechnił się w ogóle, lubo nie dość jeszcze wyjaśniony co spowodować mogło Zborowskiego, pana świetnego rodu, że tak zawzięcie ścigał poza granicami rzeczypospolitéj nieszczęśliwego Dymitra Sanguszkę i zamordował jako banitę, biorąc na siebie obowiązek kata. Teraz wyszedł śliczny sztych nagrobku Sanguszki, wydany staraniem kapłana czeskiego Franciszka Petery. Są to na glansowanym papierze dwie ćwiartki w 8ce. Na pierwszéj napis: „Nahrobek Dimitra Sanguszka vojvody Litevskeho 3. únvra 1554 w Javomiri zabitêho objeveny v chrámê sv. Mikuláse u venném meste Jaromiri v Cechah od Kneze. Frantyska Petery Rohoznickêho farare nekdy Belokradskeho, onda Museu Kralovst Ceskeho a dedictvi sv. Jana Nepomuckého dne 19 Listopadu 1859." Na drugiéj rysunek nagrobku. W okrągłym wieńcu, na polu tarczowém, w zupełnéj zbroi, z wzniesioną szablą ponad głową na koniu, jest postać męża słynnéj Halszki. Kamień grobowy stanowi prostokąt. Na nim czytamy następne napisy: „Hoc. loco conditur. Corpus. Clari. Martinus. Zborowski. Trucidavit Thu. Lieszy. Knize. Dimithr Sandusckowycz. Starosta. Czyrkawski. Y Kaynowsky Rodu. Wyelkiego. Knize. Lithewskie. Olgierdowa. Kthurego zamordowal. y zabił Nieszliachethnitk. Marczin Zborowski. Niemyawszy. do. niego. zadny. przicíny. 1554." Napis ten mieści się nad i pod wizerunkiem Dymitra. Po bokach są napisy, łączące się nagłówkiem: „Litvaie. Ducis. Dithr. Saduskovie. Ex. Magifica Olgierdoru. *Fallia* nati. Capitaei. Cyrkowie—et. Kayonie Quem " Pomnik ten, który rzuca wieczyście plamę na morderstwo Zborowskiego, zapewne znajdzie miejsce w Tygodniku illustrowanym. Przedmiot to ważny i zajmujący.

— Tomasz Padurra, zamieszkały pod Kijowem w ustroni wiejskiéj, który tyle lat wieści o sobie nie dał żadnéj, nadesłał dwa wyjątki z oryginalnego poematu, p. n.: „Podróż Czajld Harolda po Słowiańszczyznie," wierszem polskim z pierwszéj pieśni, z drugiéj po rusku z przekładem polskim. Nie mamy wyjaśnienia, który tekst za główny uważać, ale możemy sądzić o rozmiarach wielkich tego utworu, widząc w pierwszéj, strofy oznaczone numerem 352, drugiéj 266. Z tych ustępów już wnioskować można o wysokiéj wartości poetycznéj tego utworu.

— Gdy śmierć Adama Jochera przerwała wszelkie nadzieje dalszego ciągu oczekiwanego „Obrazu bibliograficznego," p. Adam Zawadzki, który firmę domu swego tak świetnie utrzymuje i użytecznie, zamierza, jako dalszy ciąg

téj publikacyi, podług już planu F. Bentkowskiego prowadzić. Plan to lepszy i dogodniejszy. Tym sposobem trzy pierwsze tomy będą stanowić początek zamierzonego dzieła, które niepowątpiewamy, że znajdzie chętny pokup u miłośników rzeczy ojczystych. W r. b. ma się dawno zapowiedziany przez nas rozpocząć druk wszystkich pism Józefa Korzeniowskiego tak prozą, jak wierszem. Piękna to myśl i śliczny dar dla literatury ojczystéj. Wnijdą tu oprócz dawniejszych utworów tego pisarza dramatów i powieści, wszystkie utwory do ostatnich czasów; a gdy co nowego napisze (o czém nie wątpimy, przy takiéj dojrzałości talentu i tak młodym jeszcze uczuciu artystycznem), wejdzie w tomy ostatnie. Publikacya ta w ozdobnem i staranném wydaniu obejmie z górą dwadzieścia tomów.

— Franciszek Maciejowski, sędzia appelacyjny Królestwa, ukończył już ostatnią redakcyą „Historyi prawa rzymskiego"

Wrocław. Ks. Augustyn Knoblich kapelan kościoła Bożego Ciała w Wrocławiu ogłosił tamże w języku niemieckim: Żywot świętéj Jadwigi księżny i patronki szląskiéj (*Lebensgeschichte der heiligen Hedwig, Herzogin und Landespatronin von Schlesien. Breslau* 1860., w 8ce, str. XIII. 272 z rycinami) zalecający się nie tylko głębokim poglądem i sumiennem opracowaniem podług wszelkich znanych dotąd źródeł ważnego i w dziejach Polski okresu, w którym przypada żywot św. Jadwigi (r. 1174—1243) ale nadto powabnym stylem i ozdobnem wydaniem, na jakie księgarnia Schlettera (H. Skutsch) kosztów nie żałowała. Autor podał najprzód wiadomość bibliograficzną o dziełach dotyczących św. Jadwigi; daléj sam żywot w trzech oddziałach, a w dodatku biografie innych patronów dyecezyj wrocławskiéj, jako to: bł. Cesława, św. Jacka, bł. Bronisławy i bł. Jana Sarkandra, oraz opisy i dzieje miejsc sławnych pobytu św. Jadwigi na Szląsku. Przyłączone dwie piękne ryciny podług rysunku F. Koski wyobrażają wizerunek św Jadwigi podług najlepszych wzorów starodawnych wykonany i jéj posąg z pierwszéj połowy XIV. wieku znajdujący się dotąd w zamkowym kościele w Brzegu. — Ks. Knoblich obiecuje wydać także swe dzieło w przekładzie polskim; będzie to więc już trzecia biografia św. Jadwigi w języku polskim oddzielnie wydana, począwszy od r. 1724 w którym Ludwik Miske franciszkan: Żywot św. Jadwigi w Krakowie ogłosił.

Gdańsk. Nakładem księgarni Th. Bertlinga wyszło dziełko pod tytułem: *Polska na Parnasie*, obejmujące obok textu polskiego 25 poezyj Franc. Morawskiego, Ad. Mickiewicza, Adolfa Bronica, Boh. Zaleskiego, Włodz. Wolskiego, Kar. Brzozowskiego, J. M. Jaśkowskiego, J. P. Kraszewskiego, Deotymy, J Szujskiego, A. E. Odyńca, Wład. Syrokomli, Sowińskiego, Konst. Gaszyńskiego, Gabr. N. Żmichowskiéj, A. Naruszewicza, J. Godebskiego, K. Brodzińskiego, także przekład takowych wierszem niemieckim przez p. Henryka Nitschmann dokonany. Książeczka ta mająca oraz niemiecki tytuł: *Ausgewählte Gedichte der Polen, in's Deutsche übersetzt*, liczy 103 str. w 8ce. Przekład dość płynny i wierny, chociaż może wybór nie zawsze szczęśliwy.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother, Rządca druk.